



• **Oksana Zabuzko:**
Ukraina kończy
rosyjski blef
• **Tuwim**, jakiego nie znaliście



WYSOKIE OBCASY
Katarzyna Grochola
Na jednej liście
z Janem Pawłem II



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Polski nauczyciel

Hejtowany, zmęczony, niedoceniony

► 4-5

FOT. TONY GARCIA/GETTY IMAGES

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Donald I
Trump
zakłada
dynastię ► 12



Poeta i feministka
w klatce,
czyli Fame MMA
► 26

FOT. SHUTTERSTOCK

Wehrmacht 1939
Dobrze ubrani,
za wszystko płacą
► 40

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Agnieszka
Kublik

Nauczyli Polaków nienawidzić, a teraz im przykro

Za co niektórzy Polacy chcieliby j...ć PiS? Łatwiej byłoby wyliczyć, za co by nie chcieli. Ale spróbujmy. Chcieliby za wywołanie w Polsce wojenki między „gorszym sortem” a resztą. Za kłamstwa. Za szczucie (na mniejszości seksualne, etniczne, wyznaniowe, słabszych, kobiety, niepokorne grupy zawodowe, od nauczycieli przez prawników po pielęgniarki, nastolatki...). Za niszczenie ludzi. Za kradzież publicznej kasy. Za przewały wyborcze. Za przyznawanie sobie prawa do łamania prawa. Za ograniczanie innym prawa do życia po swojemu.

Za to, że nauczili nas, niezależnie od politycznych sympatii i poglądów, nienawidzić. Za to, że chce się „tamtych” j...ć. Wiedzieli, że grają na skrajnych emocjach. Taki był plan. A teraz się obrażają. Jak na przykład Marcin Romanowski.

Fundusz Sprawiedliwości to jeden z największych skandalii 8 lat rządów PiS. Pieniądze na pomoc dla ofiar przestępstw przelewał tam, gdzie ludzie Zjednoczonej Prawicy potrzebowali kupować sobie wyborców. Od 2019 do 2023 r. na 224 mln zł przyznane w nadzwyczajnym trybie aż 200 trafiło do okręgów, z których startowali politycy Zbigniewa Ziobry. Najwięcej, bo aż 19 mln, przyznano w okręgu, w którym startował Romanowski. Wiceminister sprawiedliwości, któremu podlegał FS. I który ma

już 11 zarzutów za te gigantyczne przekrety; chodzi o ponad 112 mln zł.

I właśnie on złożył zawiadomienie do prokuratury w sprawie piosenki nuconej na Campusie Polska. Twierdzi, że „doszło do wykroczenia w związku z bulwersującymi, wulgarnymi zachowaniami”.

Co nucili młodzi? Tak, „j... PiS”. Tak, jak nuci-

li i krzyczeli na ulicach przed październikowymi wyborami, bo PiS kradł im przyszłość.

Nie tylko przepuszczając nasze wspólne pieniądze, których brakowało na służbę zdrowia, szkoły, komunikację publiczną, psychiatrię dziecięcą i młodzieżową. Również odbierając prawa kobietom, psując szkołę i uniwersytety, dewastując przyrodę, tłamsząc niezależne myślenie, nakręcając niechęć wobec odmienności.

A teraz Romanowski, odpowiedzialny za to, że młodzi mają takie nieskomplikowane emocje wobec PiS, protestuje przeciwko temu, że te emocje istnieją. I że dla higieny psychicznej, dla odciążenia traumatycznej przeszłości, trzeba dać im upust.

Jako dorosły powinien umieć zmierzyć się z konsekwencjami swoich wyborów. Trzeba umieć przyjąć emocje, które się obudziło. I nie mylić przyczyn ze skutkami. To nie pan, panie były wiceministrze, jest ofiarą tych młodych ludzi. To oni są ofiarami ludzi takich jak pan. ●

Andrzej rysuje



Hiszpania

Jeśli już się bić, to na pomidory



La Tomatina, lokalna tradycja, która wypączkowała na przełomie lat 40. i 50. z ustawek lobuźów, stała się produktem masowej turystyki – co roku pomidorami obrzuca się 30 tys. ludzi, gdy rodowitych mieszkańców Buñol jest 9 tys. Ale jaki fajny produkt! Dopóki nie pomyśli się o suszy, która w Hiszpanii jest już całoroczną normą.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

89BG4EP

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 31.08-1.09.2024 r.

Nowy David Gilmour

Dinozaury nie wymarły i mają się świetnie

Ma 78 lat i od niemal dekady nie wydał nowej płyty. Bo i po co, wszystko już osiągnął. W 1967 r. dołączył do Pink Floyd, początkowo jako koncertowy zastępca kolegi ze szkoły, Syda Barretta, pogrążającego się w chorobę. W 1985, roku odejścia charyzmatycznego Rogera Watersa, został liderem zespołu, jednego z najważniejszych w historii rocka. I wciąż nim jest – wszak Floydzi powrócili przed dwoma laty piosenką „Hey, Hey, Rise Up!”, by zaprotestować przeciwko inwazji na Ukrainę.

Oryginalne, ciepłe, głębokie brzmienie jego gitary nie tylko stało się elementem stylu Pink Floyd, ale i posłużyło innym artystom. Pracował z Paulem McCartney’em, Eltonem Johnem, Bryanem Ferry’em i Grace Jones. Z Kate Bush nie tylko nagrywał, pomógł jej pozyskać kontrakt płytowy. W jego trzecią solową płytę, „On An Island”, zaangażowali się Zbigniew Preisner i Leszek Możdżer.

Jest człowiekiem mającym i poważanym, Komandorem Or-



deru Imperium Brytyjskiego, otrzymanym nie tylko za muzyczne zasługi, ale i działalność charytatywną. Szczęśliwie żonaty z Polly Samson, piśkarką, u której zamawia teksty do piosenek, kiedy jest potrzeba.

Długo jej nie było – patrz „spełniony i majątny” – aż pojawiła się wraz z lockdownem. Gilmour grał online stary repertuar, umilając fanom izolację – i poczuł, że ma jeszcze coś do powiedzenia. Twierdzi, że „Luck and Strange” to najlepsza rzecz, jaką nagrał od „The Dark Side of the Moon”. Najważniejsi brytyjscy krytycy, którzy mieli szczęście usłyszeć krążek, zgadzają się, że to najlepszy solowy Gilmour. My, zwykli śmiertelnicy, sprawdzimy to już w ten piątek. ●

Jarek Szubrycht

Cytat tygodnia

To wiele wyjaśnia: stanowisko w sprawie Krymu, odmowy pozwolenia Ukrainie na korzystanie ze Starlink, poparcie dla Trumpa



GUY VERHOFSTADT

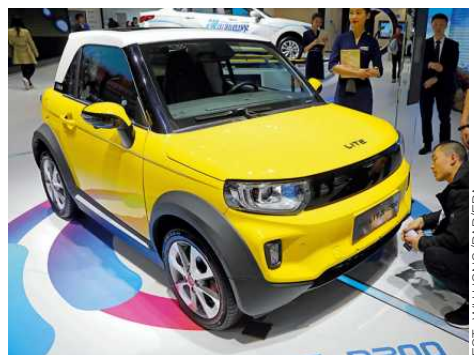
były premier Belgii i jeden z europejskich liderów, o ujawnionej liście inwestorów, którzy pomogli Elonowi Muskowi kupić Twittera

Chińczycy już nie trzymają się mocno

100

PROC. DODATKOWEGO CŁA

na elektryczne samochody z Chin nakłada Kanada. Obecne wynosi 6,1 proc. Kanadyjczycy dołączają do wojny handlowej Zachodu z Pekinem z przytupem – aby „wyrównać szanse kanadyjskich robotników”, premier Justin Trudeau zapowiada też cła na wyroby z aluminium i stali. Kanada idzie w ślady USA i UE, przerażonych ofensywą chińskiej motoryzacji, bezkonkurencyjnej cenowo dzięki państwowym dotacjom do produkcji baterii i transportu morskiego. **Więcej ► Wyborcza.biz w tekstach Andrzeja Kublika**



1 września 1939 kontra 24 lutego 2022

Biało-czerwone flagi są potrzebne

Minęło 85 lat i nadal nie odrobiliśmy wszystkich lekcji z kampanii wrześniowej.

Co zrobić, żebyśmy tym razem naprawdę nie oddali ani guzika?

Wielński



We wrześniu '39 Polska zawałła się jak domek z kart. Ciosów Niemców nie wytrzymała armia: nieprzygotowana do starcia, nienowoczesna i źle dowodzona. Męstwo i ofiarność dowódców oraz żołnierzy to było za mało, by stać czoła napastnikowi, tym bardziej że drugi uderzył od wschodu.

Polskie państwo też nie było gotowe na wojnę. Przywódcy już w pierwszym tygodniu opuścili Warszawę, planując dalszą ucieczkę do Rumunii. Uciekali ministrowie, wojewodowie, urzędnicy, pozostawiając obywateli na pastwę losu.

Wystarczył niespełna miesiąc, by Polsce przetrącono kręgosłup. Opór Niemcy i Sowietów dusili potem punkt po punkcie. W ogólnym rozrachunku bohaterstwo i poświęcenie nie miały żadnego znaczenia. II Rzeczpospolita została podzielona, zaczęła się okupacyjna gehenna. Klęska naszej armii i państwa otworzył drogę do ludobójstwa, zaplanowanej eksterminacji języka, kultury, całego narodu. Nie tylko naszego.

Mówienie, że wolność i suwerenność nie są dane raz na zawsze, to w obecnych, burzliwych czasach w zasadzie frazes. W kolejną rocznicę hitlerowskiego najazdu powinniśmy te słowa jednak głośno przypominać.

Powinniśmy też przypominać przykrą prawdę o tym, co dzieje się z państwami, które nie są w stanie się obronić. Bo historia zatacza koło. W Europie znowu wyrosła siła gotowa do demolowania międzynarodowego ładu i zmniejszania siłą granic. Choć nie można porównywać polskiej wojny obronnej z 1939 r. i rosyjskiej inwazji na Ukrainę z roku 2022, to jest ewidentne, że Ukraina musiała stawić czoła równie krytycznemu zagrożeniu, jak 85 lat temu Polska. Rosjanie tak jak naziści planowali wykreślić podbity kraj z mapy świata, wymordować jego elity, wykreślić kulturę.

O dziwo, wbrew prognozom ekspertów najlepszych wywiadów zachodniego świata, Ukraina nie zawałła się jak domek z kart w 72 godziny, a przywódca kraju ani przez chwilę nie myślał, by opuścić Kijów. – Potrzebuję amunicji, a nie podwozki – powiedział Wołodymyr Zeleniśki prezydentowi Bidenowi, który proponował mu ewakuację do Polski, gdy rosyjskie wojska podchodziły pod stolicę. Ukraińska armia była gotowa do walki, dowódcy okazali się doskonali i niezwykle kreatywni, wykorzystując przyslaną zza granicy broń w sposób, który zachodnim wojskowym nie przyszedłby do głowy. Wojna w Ukrainie jest daleka od rozstrzygnięcia, ale pewne jest to, że Rosja nie jest w stanie przetrwać w Ukrainie kręgosłupa.

Cóż, Ukraińcy do pełnoskalowej wojny z Rosją szykowali się od 2014 r., odkąd zagarnęła Krym i część Donbasu. Linia frontu pod Donieckiem, gdzie nieustannie dochodziło do walk, gdzie ciągle ginęli ludzie, stała się kuźnią wojskowych kadr.

Nie mieli też złudzeń, że muszą być w stanie zatrzymać Rosjan sami. Zdawali sobie sprawę, że Realpolitik oraz pokutujące w zachodnich społeczeństwach i wśród polityków stereotypy mogą związać demokratycznym europejskim liderom ręce tak, jak wiązał appeasement w latach 30. Wszak już kilka lat przed pełnoskalową inwazją Rosji dla Zachodu problemem było przekazanie Ukrainie pocisków przeciwpancernych dla piechoty, bo to mogłoby „sprovokować Moskwę”. I rzeczywiście – po 24 lutego 2022 pełna mobilizacja NATO czy Unii Europejskiej nie nastąpiła automatycznie.

Natomiast rok przed napaścią Niemiec na Polskę, Warszawa i Berlin współpracowały w rozbiórze Czechosłowacji. Rządzona przez obóz sanacji Polska uważała się za mocarstwo. Rozpamiętując spektakularne zwycięstwo w wojnie z bolszewikami, nie dostrzegano, że sposób prowadzenia wojny zasadniczo się zmienił. Rozdmuchiwano za to propagandę i kult marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, przedstawianego jako wodza, który, zgodnie ze słowami skomponowanej na jego cześć ballady, „wyprowadzi Polskę z każdej zawieruchy”. Z pomocą, gdyby coś jednak poszło nie tak – uspokajali obywateli przywódcy, wojskowi, radio i gazety – niezawodnych sojuszników. Mimo że już było wiadomo, jak Paryż i Londyn „wsparty” hiszpańską republikę, Austriaków, Czechów...

Polska miała być silna, zwarta, gotowa i nie oddać ani guzika. Jak niewiele wart był ten slogan, zweryfikowano już w pierwszych dniach wojny obronnej.

Dyskusję o przyczynach wrześniowej klęski przykrywamy biało-czerwoną martyrologią. To zrozumiały odruch. Łagodzimy w ten sposób traumę przeżywaną przez kolejne pokolenia. W PRL przez 45 długich lat trzy generacje Polaków w ten sposób odreagowały propagandę, która eksploatowała hasło upadku sanacyjnej Polski, by uzasadnić wkroczenie Armii Czerwonej na Kresy i powojenne podporządkowanie Moskwie.

Rzecz jasna unicestwienie II RP Niemcy i Rosjanie dogadali jeszcze przed wybuchem wojny w tajnym protokole do układu o nieagresji, w polskiej historiografii określanym jako układ Ribbentrop-Mołotow, a w zachodniej prościej, jako pakt Hitlera i Stalina, lecz w PRL mówić, że ZSRR był sojusznikiem III Rzeszy, nie było można.

Dalekosiężny, nieprzewidziany skutek tego kłamstwa był taki, że w reakcji na nie w społeczeństwie ukształtował się wyidealizowany obraz II Rzeczypospolitej, która w porównaniu z siermiężną nieporadnością PRL miała być krajem mlekiem i miodem płynącym. Gdy więc trzeba było opowiedzieć o jej upadku, szukano wymówek, mówiąc

o zdradzie sojuszników i osamotnionej walce.

Martyrologia i tzw. wychowanie patriotyczne wydają się wielu z nas podejrzanym, na widok flag i ojczyźnianych haseł uruchamiają się dzwonki alarmowe. Sceptycyzm każe nam doszukiwać się za nimi niskich pobudek, a znajomość historii i psychologii społecznej sprawia, że kojarzymy je z prawicą. Boimy się ich używać, świadomi, w jak mroczne nacjonalistyczne rewiry mogą prowadzić.

Lecz martyrologiczną narrację wokół września '39 trzeba utrzymać. Naprawdę Polska walczyła osamotniona. I naprawdę była dla Niemców poligonem zbrodni. Piloci Luftwaffe techniki bombardowania doskonalili na naszych miastach, metod represji pacyfikacji dowódcy piechoty uczyli się na ludności, członkowie Einsatzgruppen zdobywali doświadczenie w „oczyszczaniu” podbitego terenu. Trzeba o tym przypominać także w kontekście wojny za naszą wschodnią granicą. Putin napadł na Ukrainę z podobnymi założeniami, co Hitler na Polskę. Mamy obowiązek przypominać światu, na kim się wzoruje.

Martyrologia i tzw. wychowanie patriotyczne wydają się wielu z nas podejrzanym, na widok flag i ojczyźnianych haseł uruchamiają się dzwonki alarmowe. Lecz martyrologiczną narrację trzeba utrzymać

Biało-czerwone flagi też są potrzebne. Jedno z zaniedbań polskich demokratów w III RP polegało na tym, że populistom z PiS pozwolono zawłaszczyć narodowe symbole. A oni narodową flagą wycierali sobie gęby, wyprowadzając z publicznej kasy miliardy złotych, rzekomo na krzewienie patriotyzmu, odkrywanie historycznej prawdy i opowiadanie o niej światu. Rozmiar tego bezceństwa podłanego bogoojczyźnianą retoryką dopiero do nas dociera. Wielu ludzi, którzy wpinali w klapy biało-czerwone flagi, spotka prokuratora, który przedstawi im zarzuty nadużyć władzy, niegospodarności, malwersacji, udziału w zorganizowanej grupie przestępczej. Ale równolegle z rozliczeniem zwyczajnych przestępstw demokracji muszą odzyskać narodowe symbole, by móc w czas największego zagrożenia jednoczyć wokół nich ludzi.

Oby nie nadeszło – ale musimy pamiętać, że godło, flaga, narodowe barwy są bronią taką samą, jak czołgi i HIMARS-y; psychologia naprawdę zna „efekt flagi”, kiedy niezależnie od poglądów obywatele wspólnie stawiają czoła zagrożeniu.

Natomiast tym, w czym specjalizuje się obecna prawica i co uprawia-

ła sanacja, a czego robić nie wolno, jest aroganckie chybotanie sojuszami i rozdmuchana propaganda.

Z przerażeniem obserwowaliśmy, jak rząd PiS z uporem zniechęcał do siebie sojuszników. O tym, że wybuch wojny jest nieuchronny, szefowa amerykańskiego wywiadu narodowego poinformowała premiera Morawieckiego już 19 listopada 2021. Avril Haynes specjalnie w tym celu przyleciała do Warszawy. Mimo tej wiedzy PiS zorganizował trzy tygodnie później w Warszawie zjazd przywódców populistycznych i skrajnie prawicowych partii. O których wiadomo, że są utrzymywane przez Rosję. Po spotkaniu Marine Le Pen, szefowa francuskiego Zjednoczenia Narodowego obwieściła, że Ukraina to strefa wpływu Rosji. A wkrótce potem PiS zabrali mniejszości niemieckiej pieniądze na naukę języka w szkołach i przegłosował Lex TVN – prawo, które miało wywłaszczyć amerykańskich właścicieli największej niezależnej telewizji w Polsce.

Podkopywanie relacji z państwami, które w razie ataku miałyby nam przyjść z odsieczą, w obliczu pewnej wojny było wręcz samobójcze. Tak jak niespodziewane zerwanie z walczącą Ukrainą podczas zeszłorocznej kampanii wyborczej, co miało zwiększyć poparcie dla PiS. Ponoć tylko retoryczne, ale słowa mają siłę – więc Kreml i jego pomagierzy natychmiast to podchwycili, a zachodni koalicjanci przyjęli z tym większym niedowierzaniem.

Z przerażaniem obserwowaliśmy też, jak rząd PiS najpierw wyhamował rozpoczęte po aneksji Krymu programy zbrojeniowe, a potem, gdy Rosjanie uderzyli z pełną siłą, rozkręcił zakupy nowego sprzętu. Na niespotykaną skalę i jednocześnie na chybką, bez głowy, konsultacji sojusznicznych i uwzględnienia własnej gospodarki, własnych producentów. Warte dziesiątki miliardów złotych kontrakty zawierano bez żadnego planu, brano, co kto miał na półkach, często ten sam typ sprzętu obstalowując u kilku producentów (logistyka, głupcze!) – byle minister Mariusz Błaszczak, niekryjący prezydenckich ambicji, mógł ogłosić, że Polska wystawi największą armię lądową w Europie. I by na dwa miesiące przed wyborami można było pokazać kupiony naprędce sprzęt na defiladzie z okazji święta Wojska Polskiego.

A skoro nie było wyszkolonych polskich pilotów, to za sterami kupionych w Korei Południowej samolotów FA-50 siedzieli lotnicy koreańscy. Kupić czołg czy samolot to najprostsze – trzeba wyszkolić załogi, obsługę, stworzyć infrastrukturę, zapewnić części zamienne. Dla propagandowego przekazu to niepotrzebne detale, dla funkcjonowania armii kwestia być albo nie być. Ale dla Błaszczaka i jego mocodawcy, Jarosława Kaczyńskiego, liczyło się, że „silni, zwarci, gotowi” niosło się przez Polskę. Że „efekt flagi” i wspólne symbole zawłaszczono na chwilowe partyjne potrzeby.

Historia sprzed 85 lat pokazuje, do czego prowadzi takie myślenie. ●

Bartosz T. Wielński

Kto uczy nasze dzieci

Edukacja jest kobietą

Współczesne „Silaczki”. Obraz nauczycieli widziany oczami uczniów, rodziców oraz samych nauczycieli.

Wawrzyniec Świącicki

W ostatnich latach polska edukacja miała pod górkę. Nauczyciele zostali silnie doświadczeni przez przeprowadzoną naprędce reformę edukacji, kryzys wywołany pandemią COVID i nauczaniem

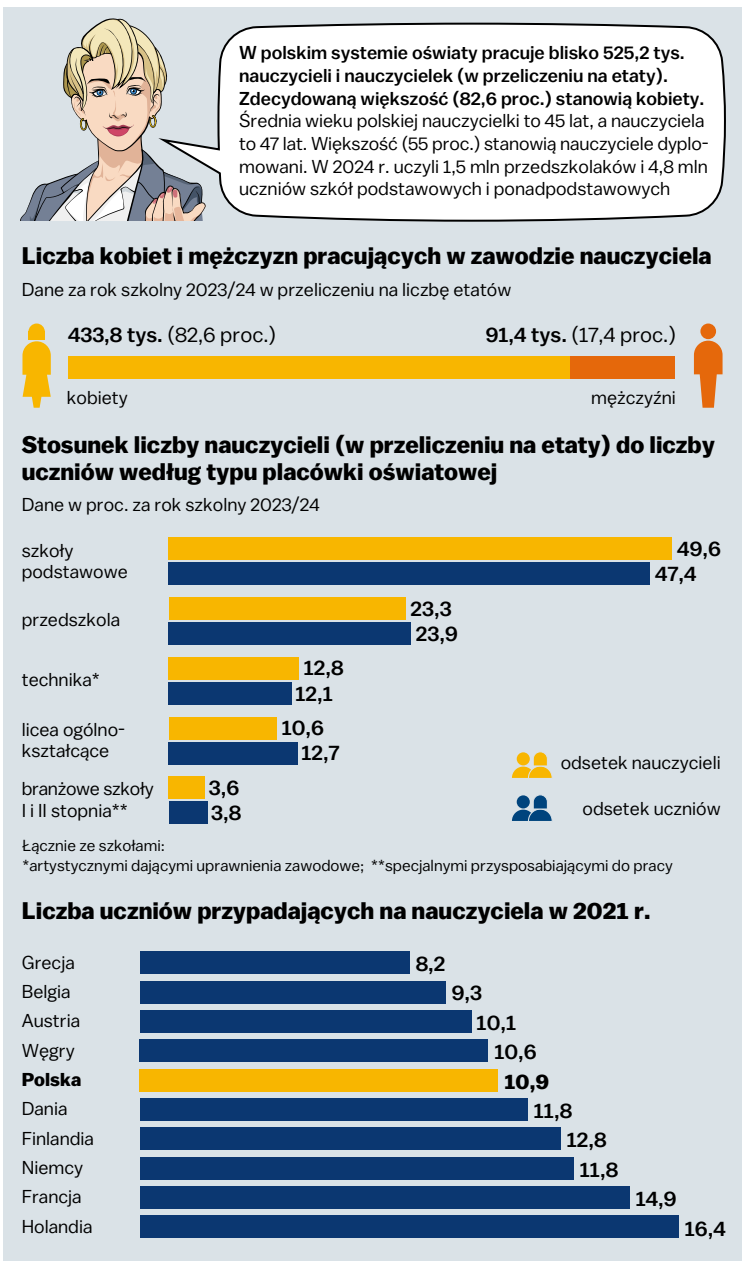
zdalnym, do którego polska szkoła była nieprzygotowana. Silne piętno na tej grupie zawodowej odcisnął również strajk nauczycieli oraz sposób, w jaki się zakończył. To wszystko, w połączeniu z re-

latywnie niskimi płacami, powoduje narastający niedobór kadry. Młodzi nie są zainteresowani wyborem kariery nauczycielskiej, a doświadczeni pedagodzy coraz częściej zmieniają zawód.

Dobrze więc, że rządzący zdecydowali się na podwyżki, przynajmniej częściowo poprawiające sytuację materialną nauczycieli. Bo jak wynika z badania brytyjskich ekonomistów Jacka Brittona oraz

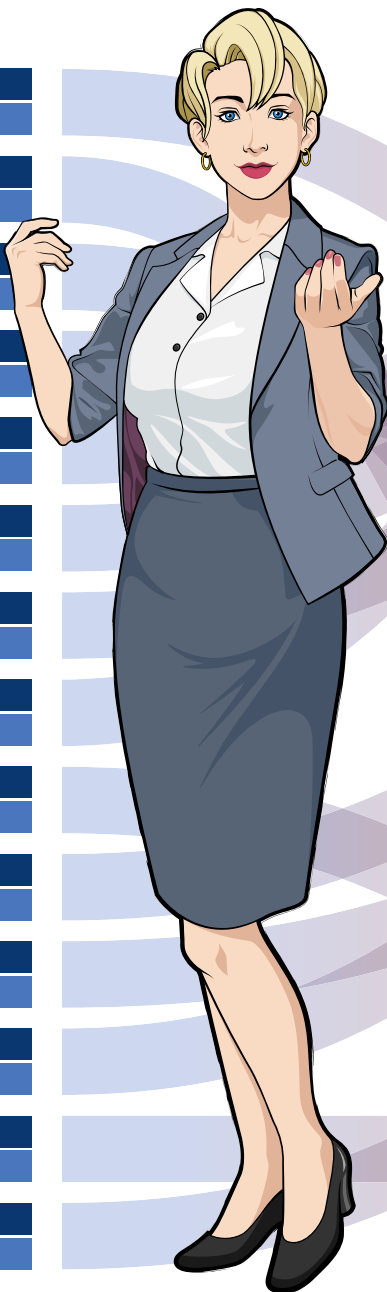
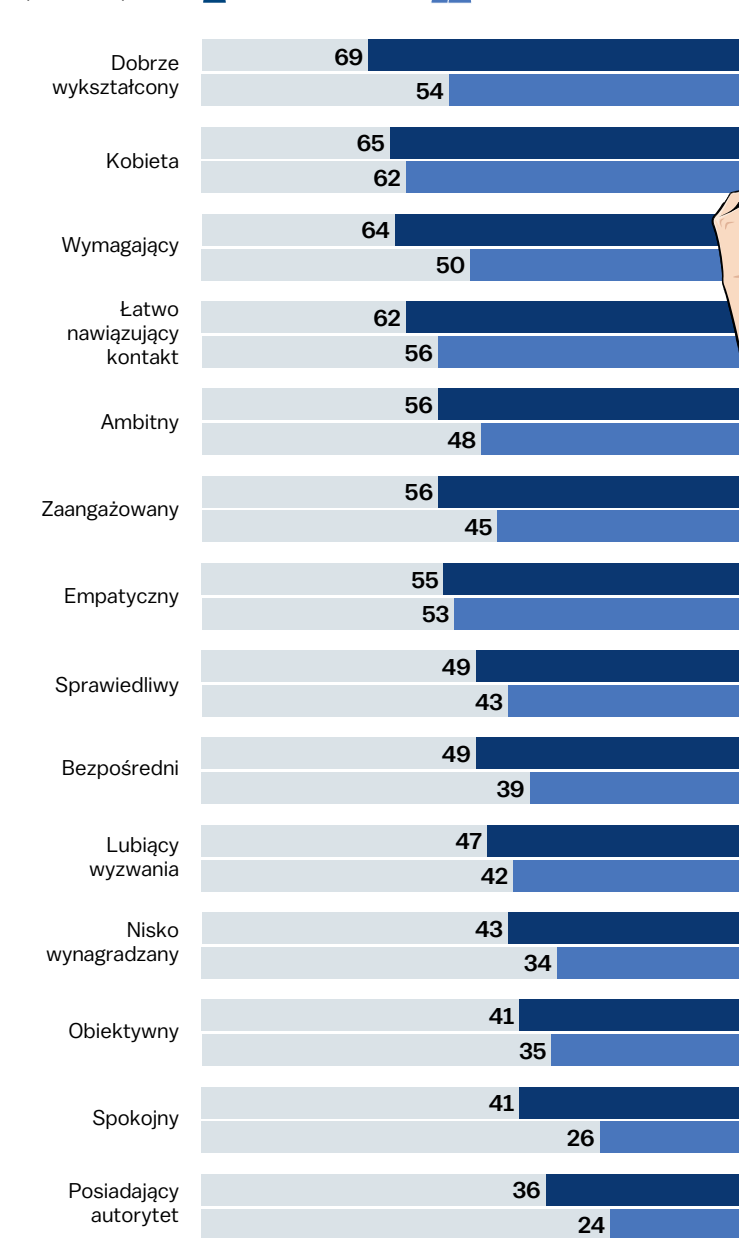
Carol Propper, podwyżki plac nauczycieli opłacają się nie tylko tej grupie zawodowej, ale całemu społeczeństwu. Im wyższa płaca nauczycieli, tym lepsza jakość nauczania i lepsze wyniki uczniów.

Czy w Polsce jest wystarczająco dużo nauczycieli



Cechy typowej nauczycielki/nauczyciela

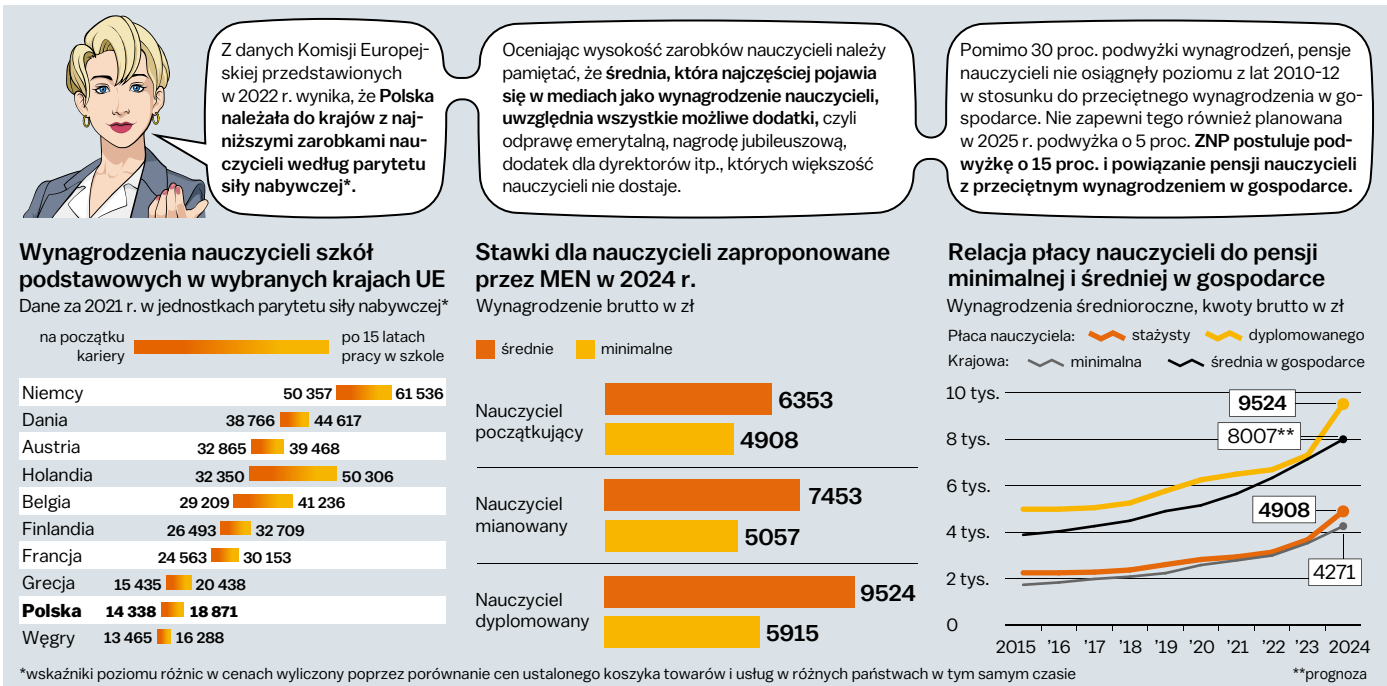
Odpowiedzi w proc. zdaniem uczniów zdaniem rodziców



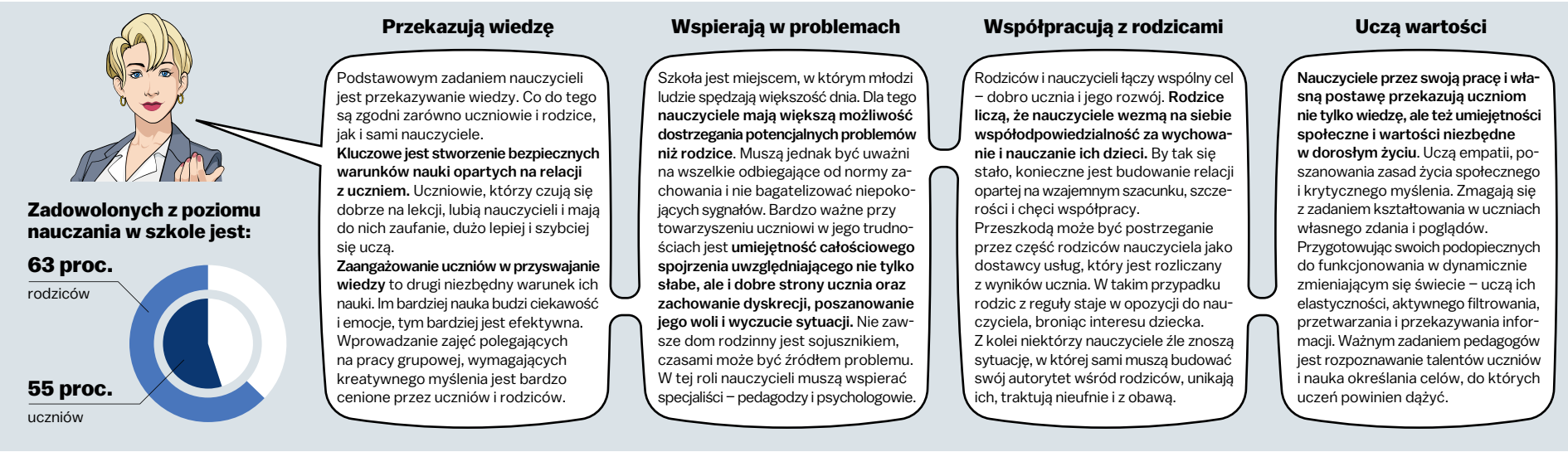
Ścieżka kariery zawodowej



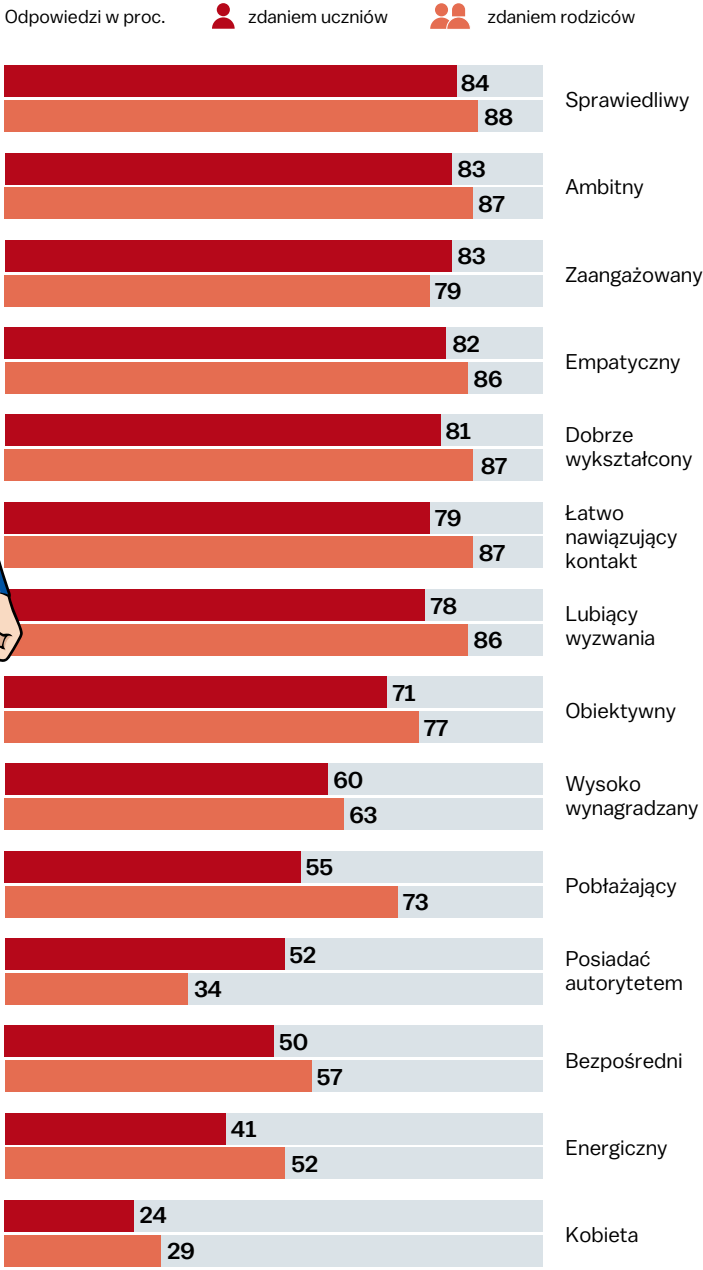
Ile zarabiają nauczycielki i nauczyciele



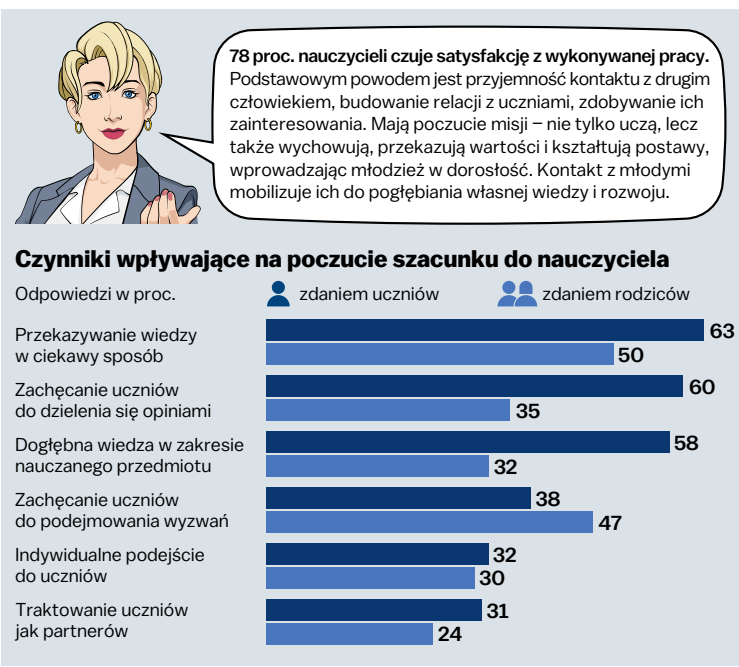
Role jakie pełnią nauczycielki i nauczyciele



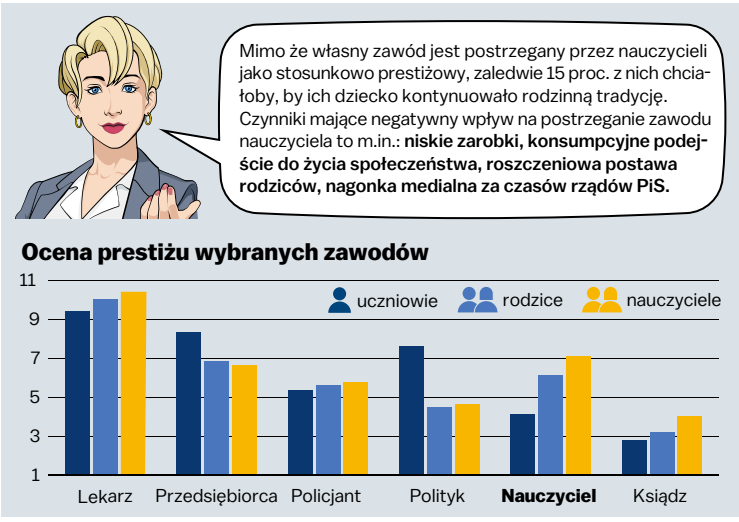
Cechy nauczycielki/nauczyciela idealnego



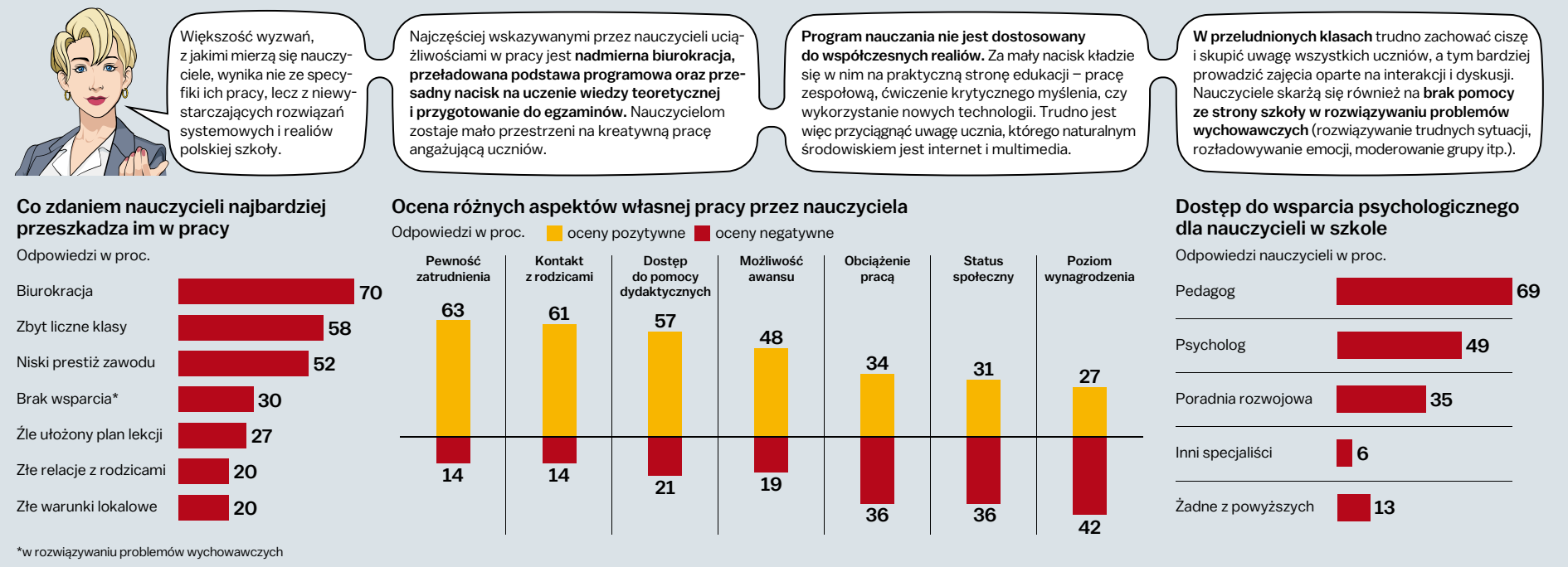
Źródła satysfakcji zawodowej



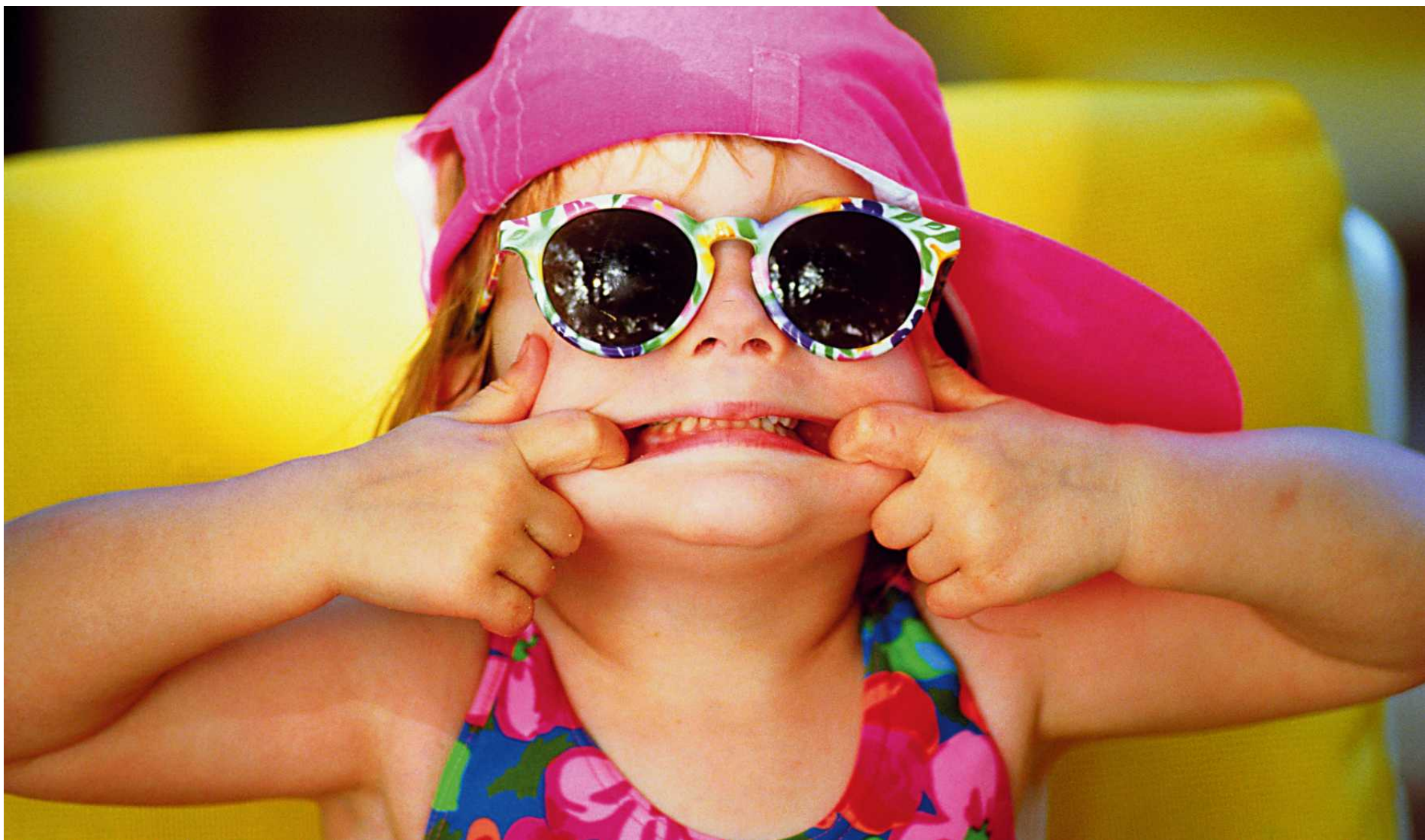
Prestiż zawodu nauczyciela



Największe wyzwania w pracy nauczycielek i nauczycieli



POLACY, JESTEŚCIE DZIECIOFOBAMI



FOT. BOB THOMAS/GETTY IMAGES

Dziecko płacze w samocie. Ludzie mówią: krzyczy, bo jest źle wychowane. Bo jest w nich przekonanie, że dziecko można wychować, zaprogramować.

Z **MICHAŁEM RADOMIŁEM**
WIŚNIEWSKIM, AUTOREM KSIĄŻKI
„ZAKAZ GRY W PIŁKĘ. JAK POLACY
NIENAWIDZĄ DZIECI”
ROZMAWIA **EMILIA DŁUŻEWSKA**

EMILIA DŁUŻEWSKA: „Urlop powinien być czasem odpoczynku i ładowania baterii. Hotelarze przygotowali rozwiązanie (...). Czym są obiekty dedykowane wyłącznie dorosłym turystom?”. No właśnie, czym?

MICHAŁ RADOMIŁ WIŚNIEWSKI: Po pierwsze, kapitalistycznym wynalazkiem pozwalającym zaoszczędzić na infrastrukturze dla dzieci, przewijakach.

Po drugie, dyskryminacją. Rozumiem, że dzieci nie są wpuszczane do klubów, gdzie gra głośna muzyka, pali się papierosy, pije alkohol i zachowuje nieobyczajnie, bo tu argumentem jest ich dobro, ale hotelom nie chodzi o to.

A o co?

– O produkt, reklamę – obietnicę ciszy i spokoju z dala od dzieci. Ale to bzdura, bo prze-

cież nie wszystkie dzieci są głośne i nie wszyscy dorośli są cisi, zwłaszcza w czasie wakacji. W hotelach na wczasach all-inclusive jest z reguły bardzo głośno nie ze względu na dzieci, ale z powodu muzyki i dorosłych z nieograniczonym dostępem do napojów alkoholowych.

To wyczulenie na hałas generowany przez dzieci to stosunkowo nowa rzecz. Wychowywałem się w latach 80. na PRL-owskim osiedlu. Nie pamiętam, by ktoś narzekał, że hałasujemy. Dźwięk bawiących się na dworze dzieci był naturalnym dźwiękiem tła i nikt nie zwracał na niego uwagi. Wybijał się raczej dźwięk samochodu podjeżdżającego pod blok. Dziś jest na odwrót. Zwłaszcza że dzieci bawiących się na podwórku jest mało.

W żadnej dzielonej przestrzeni nie osiągniemy ciszy absolutnej. Jasne, warto dążyć do tego, by było hałasu mniej, ale nie kosztem wykluczania innych osób. A jeśli chcemy mieć ciche miejsce, to możemy je po prostu tak nazwać. Przykład to Strefa Ciszy w Pendolino. PKP nie mówi: „To strefa bez dzieci”. Może tam jechać ktokolwiek, o ile będzie cicho.

Hasło „bez dzieci” jest często doklejane do opisu, który sam w sobie nikogo nie wyklucza. Dlaczego restauracja oferująca „pięknie skomponowane smaki, a nie nuggetsy z kurczaka” reklamuje się jako „nie dla dzieci”?

– Bo mamy wpajane, że dzieci nie interesuje dobre jedzenie. Owszem, w dzieciństwie występuje czasem zjawisko neofobii, niechęć do próbowania nowych rzeczy. To ewolucyjny mechanizm: wolę trzymać się tego, co znam, bo nowe jedzenie może się okazać trujące. Można jednak dzie-

cko oswajać z nowym, trzeba tylko cierpliwości.

We Francji nie ma specjalnych menu, dzieci jedzą to, co dorośli. W Japonii dziecko idzie do restauracji i widzi modele jedzenia, zdjęcia, rysunki: nie musi umieć czytać, żeby coś dla siebie wybrać.

W Polsce restauratorom najłatwiej wrzucić do menu naleśniki i nuggetsy, bo „dzieci to lubią”. Więc dziecko przychodzi do restauracji i dostaje wybór: naleśniki albo nuggetsy. Oswaja się z nimi, tym bardziej nie chce próbować nowych i kółko się kręci. A potem dorosły człowiek przeżywa szok, bo widzi dziecko jedzące cukiernię.

Kto nam wpoił takie przekonanie?

– O tym właśnie opowiada moja książka: skąd się biorą przekonania u ludzi, dlaczego mamy zaprogramowane jakieś poglądy? Jako narzędzia używam memetyki, czyli śledzę, jak rozchodziły się memy – pamiętajmy, że to nie tylko śmieszne obrazki z internetu, ale też po prostu nazwa jednostek informacji, które osadzają nam się w głowie bez udziału świadomości. Takim memem jest właśnie „dzieci nie lubią warzyw”, który powielany jest na przykład przez filmy animowane, jak niechęć do brokułów we „W głowie się nie mieści”.

Memy to również powód, dla którego dzieci mają tak zły PR. Podsycają go media społecznościowe promujące ostre opinie i żarty oparte na powielaniu tego, co już wiemy; media tradycyjne, które polują na tematy budzące emocje, konfliktowe. Efekt – setki komentarzy, w których wiadać schematy myślowe, jak przekonanie, że płaczące w miejscu publicznym dziecko jest z pewnością „wychowane bezstreso-

wo”. To kolejne pojęcie, które nie ma żadnego umocowania w rzeczywistości, ale łatwo w nie uwierzyć, bo dzieci zniknęły, więc ludzie ich nie znają.

Jak to zniknęły? Wchodzę do windy w pracy – dziecko. Wchodzę do supermarketu – dziecko. Naprzeciwko mieszkania mam podstawówkę.

– Nie chodzi o to, że fizycznie ich nie ma, choć akurat dzieci z roku na rok jest w Polsce coraz mniej. Raczej o to, że straciłmy kontakt z dziećmi – wielu dorosłych nie zna bliżej żadnego dziecka, nigdy z nim nie rozmawiało. Polacy zwracają uwagę na dziecko, dopiero kiedy im przeszkadza. W Szwecji, gdzie przez krótki czas mieszkalem, jeśli w tłumie idzie dziecko, ludzie się rozsuwają, żeby go nie potrącić. W Polsce mają pretensje, że biega po supermarketach, a oni je mogą najechać wózkiem. No nie wiem, to może patrz przed siebie i nie najedź?

To jeden z przejawów szerszego wzorca: jesteśmy przyzwyczajeni, że silniejsza osoba nie musi zwracać uwagi na słabszą. Tak samo wyglądała dyskusja o pierwszeństwie na pasach – kierowcy uważali, że to pieszy ma się pilnować, bo „cmentarze są pełne tych, którzy mieli rację”. Zejdź mi z drogi, bo cię zabiję!

I tu wracamy do tematu ciszy: w gruncie rzeczy chodzi o pytanie, komu wolno być głośnym. Silniejszemu wolno i dlatego w autobusie ludzie nie podchodzą do drących się kiboli, tylko do rodzica z dzieckiem. A dzieci są notorycznie strofowane. Celują w tym starszki. Jakby osoby, które w hierarchii siły są niemal na samym dole, czuły ulgę, że znalazły kogoś, kto jest jeszcze niżej.

Może to wynika z dobrych intencji?

– Nie sądzę. W Polsce niby jesteśmy wychowani na ideach „Solidarności”, ale zafiksowaliśmy się na tych mówiących nie o wspólnocie, ale o prawach człowieka rozumianych jako prawa jednostki, czyli nasze prawa. Troska służy nam jako narzędzie przemocy, dyscypliny. Obca osoba podchodzi do płaczącego na ulicy dziecka i mówi: „Nie płacz”.

W Szwecji też przez media przetaczała się debata o dzieciach, które powodują dyskomfort w przestrzeni publicznej, miała jednak inny przebieg. Tam specjaliści mówili: „Widzisz rodzica z krzyczącym dzieckiem, zapytaj, czy mu pomóc. Przytrzymaj drzwi, pomóż wyprowadzić wózek”.

Czemu mam to robić, skoro to nie są moje dzieci? – pytają sceptycy.

– Prawdziwy dzieciofob nie powie: „nie moje”, tylko „cudze”: „Co mnie obchodzą cudze dzieci?”. Fascynuje mnie, jak negatywną emocją naładowana jest ta fraza. „Cudze dziecko” – jak „cudzoziemiec”. Ktoś z założenia podejrzany, wrogi.

Czytałam komentarze ludzi, którzy nie chcą tej odpowiedzialności. Piszą: „Czas skończyć z udawaniem, że wszystkie dzieci nasze są”. To złe?

– Może właśnie zacznijmy udawać, że są nasze. Bo na razie nie widzę, żeby Polacy choćby udawali. Jest takie powiedzenie, że do wychowania dziecka potrzeba wioski. Pytam więc, gdzie jest ta wioska? Dlaczego zamiast niej są nasze dzieci, o które trzeba dbać, i cudze, które nie są naszym zmartwieniem?

Efekt jest taki, że społeczeństwo nam pęka i w którymś momencie nie da się go już zsząć. Zobacz, co się dzieje z edukacją: ci najaktywniejsi rodzice, o najwyższym kapitale społecznym, którzy mogliby najwięcej zdziałać, przenoszą dzieci do lepszych szkół: prywatnych, społecznych, edukacji domowej.

Nie przeniósłbyś dziecka ze szkoły, w której od miesiąca nie ma matematyki, bo nie ma nauczyciela, za to na apelach przebiera się za „żołnierza wyklętego”?

– Oczywiście, że bym przeniósł. Dlatego ta dyskusja nie powinna być sprowadzana do indywidualnych wyborów. Nie oceniam rodzica, który przenosi dziecko do prywatnej szkoły, bo to jest osoba postawiona w trudnej sytuacji, z której szuka wyjścia. Oceniam społeczeństwo i państwo, które do tej sytuacji doprowadzają, bo to państwo nie powinno dzielić dzieci na lepsze i gorsze: te, których rodzice mogą je zabrać z systemu, oraz te, które w nim zostaną i mają sobie radzić.

Mówisz, że nie oceniasz jednostek, a jednocześnie piszesz: „Polacy nienawidzą dzieci”. Przesadzasz?

– Siegam po mocne hasło, żeby przebić się przez informacyjny szum. Nie twierdzę, że wszyscy Polacy nienawidzą wszystkich dzieci, ale wszyscy są częścią systemu, który jest dzieciofobiczny: dyskryminujący, zbudowany na nierównowadze władzy i na przemocy.

Zawsze, kiedy mówię, że w Polsce jest problem z dyskryminacją dzieci, znajduje się ktoś, kto od razu odpowiada: „Gdzie tam?”.

Ja też miałam taki odruch: to nie w porządku, bez przesady, ja lubię dzieci.

– Rozumiem, ale znów – chodzi nie o jednostki, ale o system. Jak powiesz, że w Polsce kobiety czy osoby LGBTQ są dyskryminowane, to wiele osób się z tym zgodzi, przynajmniej do jakiegoś stopnia, bo ten problem jest nazwany i opisany.

A z dzieciofobią się nie konfrontowaliśmy, bo była czymś normalnym, przezroczystym. Musimy dopiero sobie uświadomić, że dzieci są w Polsce systemowo dyskryminowane.



FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jak?

– Najlepszym symbolem jest właśnie rozwieszanie tabliczek „Zakaz gry w piłkę”, tworzenie stref nieprzychylnych dzieciom. Na bardziej abstrakcyjnym poziomie przez to, że nie myślimy o nich jak o osobach, tylko przedmiotach. Weźmy to dziecko płaczące w samolocie. Ludzie mówią: „Krzyczy, bo jest złe wychowane”. Bo jest w nich przekonanie, że dziecko można zaprogramować tak, żeby do takiej sytuacji nie dopuścić.

Przecież wielu dorosłych nie czuje się w samolocie komfortowo, ale oni piją albo biorą tabletki.

Kiedyś w dyskusji na Facebooku napisałem: „Wiesz, że nie wytrzymasz z płaczącym dzieckiem, to kup sobie słuchawkę”. Usłyszałem, że jestem roszczeniową „madką”, że czemu ktoś ma wydawać pieniądze, bo komuś innemu zachciało się mieć dziecko. Bo dziecko to w naszej świadomości zachcianka jak nowy samochód albo markowe buty.

Mówiąc „cudze dziecko”, podkreślamy, że należy do kogoś innego?

– Myślenie o dziecku jako własności rodzica jest w naszym społeczeństwie mocno zakorzenione. Najwyraźniej wychodzi to w dyskusjach o przemocy fizycznej wobec dzieci, na którą do dziś jest w Polsce przyzwolenie. Coraz mniejsze, ale telewizja wciąż zaprasza Krzysztofa Bosaka czy Janusza Korwina-Mikkego, którzy mówią, że klaps to nie bicie i wychodzi dziecku na dobre. To fetyszowanie rodziny – prawo rodzica jest ważniejsze niż prawo dziecka.

U konserwatystów szczególnie wyraźnie widać podział na „moje” i „cudze”. Cudze dzieci niech się mierzą z kryzysem w edukacji, moje za kilka tysięcy miesięcznie pójdą do urszulanek, jak dzieci Morawieckiego. Cudze żony niech umierają w szpitalu na sepsę, moja w razie czego wyjedzie do kliniki aborcyjnej za granicą.

Lewicowe osoby często mówią o krzyczącym dziecku z równą niechęcią.

– Częściowo dlatego, że dzieciofobia nie została w ogóle przepracowana, ani na prawicy, ani na lewicy. Nawet na tym powierzchniowym poziomie: uznaniu, że w jakiś sposób mówić o dzieciach nie wypada.

Druga rzecz jest taka, że po lewicowo-liberalnej stronie macierzyństwo przez lata było traktowane jako element opresji. Niepodstawnie. Od 30 lat mamy niezwykle surową ustawę antyaborcyjną. Ta dyskusja tak nas wyniszczyła, że cała sfera reprodukcyjna jest kojarzona z opresją. Nawet jeśli racjonalnie wiemy, że tak nie jest.

Mówisz o antydziecięcych memach. Ja widzę mnóstwo przekazów, że dzieci są super, macierzyństwo mnie dopełni. Czemu niby te pierwsze działają, a te drugie nie?

– Bo zostały już w pewnym stopniu zidentyfikowane i rozbrojone. Przynajmniej od dekady rozmawiamy o macierzyństwie bez lukru, o tym, że życie z małym dzieckiem bywa męczące, że nie wygląda jak sesja zdjęciowa z kolorowego pisemka. Dlate-

go stwierdzenie, że fajnie mieć dziecko, jest traktowane z nieufnością, jak propaganda.

Dużo lepiej niosą się negatywne memy. Ludzi pociąga narracja „odkrywania prawdy”, sugestia: to wszystko fałsz, my wam pokazemy, jakie dzieci są naprawdę.

Jakie więc są?

– Na przykład „wychowywane bezstresowo”. Ani w pedagogice, ani w psychologii nigdy nie było takiej koncepcji jak „bezzstresowe wychowanie”. W Polsce to pojęcie wciąż ma się dobrze. Ludzie go używają, bo nie mieści im się w głowie, że dziecko robi coś, czego oni nie mogli zrobić, bo na przykład rodzice by ich stłukli. Trudno jest się zmierzyć z tym, że było się w dzieciństwie ofiarą przemocy ze strony rodziców. Łatwiej powiedzieć, że dziecko jest wychowane złe, bo bezstresowo. Czyli co, powinno być stresowane?

A nie chodzi o to, że powinno mieć stawiane granice?

– To „stawianie granic” jest często kontynuacją przemocy przebraną w progresywne szatki. Najpierw było lanie pasem, potem Superniania z karnym językiem, a teraz zawieranie z dzieckiem kontraktu i trzymanie się go niezależnie od okoliczności. Tylko jak można mówić o kontrakcie w sytuacji, kiedy jedna strona jest całkowicie zależna od drugiej? Jak niby dziecko miałoby takiego kontraktu nie zawrzeć?

Wkurza mnie mówienie o stawianiu granic, bo sam fakt, że jesteś dzieckiem, oznacza, że twoja wolność jest ograniczana na masę sposobów: nie masz własnych pieniędzy, nie decydujesz o tym, co jesz, jak spędzasz wolny czas.

To droga na skróty zamiast dokształcania się, żeby wiedzieć, jak rozwija się mózg dziecka, co jest na różnych etapach zdolne rozumieć, jak się z nim komunikować. Ludzie nie mają na to czasu i siły, podobnie jak nie mają ochoty zastanawiać się, czy na pewno mają rację. Stawiają te granice dla zasady albo ze strachu, że wychowają „małego terrorystę”. Niesamowicie określenie. Bierzesz najbardziej niewinną, najsłabszą istotę na świecie i nazywasz ją tak, jak kogoś, kto wejdzie z kalachem i porwie samolot.

Żeby sobie w nim powrzeszczeć.

– Wiadomo. A serio: określenie „mali terroryści” buduje poczucie, że jesteśmy z dziećmi na wojnie. Że nie chodzi o obcowanie z osobą, która ma swoje pragnienia, potrzeby, preferencje, tylko o to, żeby nie dać sobie „wejść na głowę”.

Przy czym nie chodzi o to, by dziecko zawsze stawiało na swoim. Uczenie go elastyczności, szanowania zasad społecznych nie jest przemocą – o ile się rozmawia, tłumaczy, a nie stawia granice „dla zasady”.

Nasze postrzeganie dzieci zmienia się w zależności od tego, co jest dla nas wygodne. W miejscach publicznych oczekujemy od dziecka więcej samokontroli niż od niejednego dorosłego – żeby nigdy nie hałasowało, nie miało zachcianek. A kiedy nam

wygodnie, traktujemy je jak zwierzątko, za które trzeba decydować.

Te przekonania przekładają się na to, jak jest urządzony świat, często dosłownie. Dziecko i osoby z niepełnosprawnościami napotykają te same bariery: strome schody, ciężkie drzwi, zbyt wysoko umieszczone włączniki światła, bo nie widzimy problemu w tym, że są zależne od innych: pełnosprawnych, dorosłych.

Ty też jesteś przecież dorosły. Nie boisz się, że ludzie poczną się pouczać? Oto przychodzi kolejny facet, który mówi matkom, co robią złe.

– Nie chcę nikogo pouczać. To książka nie o tym, co matki robią złe, ale o tym, czemu myślimy o dzieciach w określony sposób, skąd te myśli się w nas biorą i jakie są ich konsekwencje. Dlaczego pierwsze, co przychodzi ci do głowy, jak słyszysz „dwulatek”, to „bunt dwulotka”? Skąd ta fraza wzięła się w twojej głowie?

Zdaję sobie sprawę, że to drażliwy temat, że ludzie biorą go bardzo osobiście. Mówimy, że patriarchyta krzywdzi też mężczyzn, to powiedzmy sobie, że dzieciofobia krzywdzi też dorosłych. Choćby rodziców, którzy wsiadają do samolotu przerażeni, że ich dziecko zacznie płakać.

Rozbrójmy myślenie, zgodnie z którym dziecko to nie osoba, tylko wizytówka rodzica i jeśli powoduje czyjś dyskomfort, to twoja wina, bo za mało je stresowałeś. Zatrzymajmy się, zróbmy reset przekonań, ulóżmy je od nowa. Zapewniam: wszyscy wyjdziemy na tym dobrze. ●



Michał R. Wiśniewski

- (ur. 1979) – pisarz, publicysta, specjalizuje się w kulturze popularnej i cyfrowej oraz współczesnych obyczajach. W 2019 r. nominowany do Nagrody Conrada za debiut roku. Autor powieści „Jetlag”, „God Hates Poland” i „Hello World” oraz książek „Wszyscy jesteśmy cyborgami. Jak internet zmienił Polskę” oraz „Zabójcze aplikacje. Jak smartfony zmieniły nasz świat”.

• Jego nowa książka, **„Zakaz gry w piłkę. Jak Polacy nienawidzą dzieci”** (wyd. Czarne) ukazała się 28 sierpnia.



Śruba, czyli życzenia na nowy rok szkolny

Na myśl o powrocie do szkoły po wakacjach walczą z bólami brzucha, głowy, mają stany lękowe. Nauczyciele.

Urazińska



Czy wszyscy nauczyciele są kompetentni i empatyczni? No, skąd!

Znałam nauczyciela języka angielskiego, który już na pierwszej lekcji powiedział, że woli, by nie zadawać mu pytań, bo to mu przeszkadza w prowadzeniu lekcji. A lekcje przypominały nudne wykłady, prowadzone zresztą po polsku.

Po takich zajęciach człowiek się uwsteczniał i utwierdzał w przekonaniu, że nauczyciele mają w nosie swoją pracę. Po szkole chodziły pogłoski, że anglista trafił do placówki po znajomości. Jestem skłonna uwierzyć, że nie dla swych niezwykłych kompetencji.

Pamiętam drobną, nerwową panią od fizyki, która wywalila mnie z hukiem za drzwi, uzasadniając, że robię głupie miny, czym rozpraszam ją i innych. Lata minęły, a ja wciąż mam to doświadczenie w pamięci – rażącą niesprawiedliwość i upokorzenie.

Bo ja po prostu za grosz nie rozumiałam tej fizyki, więc to i bezradność pewnie malowało się na nastoletnim obliczu. Może przelękając łzy na szkolnym korytarzu nie przeżyłam jakiejś potężnej traumy, która odbiła się na moim życiu, ale wstyd i poczucie niezrozumienia pamiętam dość dobrze.

Dużo później, już jako mama ucznia państwowej szkoły muzycznej, przyglądałam się z bliska pracy nauczycieli muzyki na lekcjach indywidualnych. Eteryčna pianistka nie była w stanie pojąć, że siedmiolatek ma problemy z dynamiką. Potrafiła krzyknąć, gwałtownie trącić dziecko w łokieć, bo źle trzymało rękę, albo poinformować ucznia po egzaminie, z którego dziecko wyszło z czwórką, że „to jest dramat, równia pochyła”.

Matka jednego z uczniów mówiła, że jej syn miał sińce na plecach po tym,

jak pani profesor demonstrowała mu poszczególne takty „grając” je na sucho na plecach dziecka.

Tamten chłopiec nie spał, płakał, nie chciał chodzić na lekcje.

Mój syn zaczął obgryzać paznokcie. Usłyszałam: „może pani ma rację i ja się nie nadaję”. Zanim przekonał się, że to nieprawda, zanim kolejna nauczycielka pokazała mu, że nauka gry może być przyjemnością i rozbudziła w nim miłość do muzyki, musieliśmy uruchomić maszynę zmiany nauczyciela instrumentu głównego. Ta procedura w państwowej muzycznej szkole była stresująca i skomplikowana.

Zapytałam eteryčną pianistkę: „Lubi pani uczyć?”. Westchnęła: „A wie pani, że nie bardzo. Wolę grać”. Gra w teatrze, jest świetną akompaniorką. Jako nauczycielka pozostawia po sobie fatalne wspomnienia u uczniów i ich rodziców. Bo przejmuję kolejne roczniki.

A zatem, czy wszyscy nauczyciele są kompetentni i empatyczni? No, nie. Ale znam fatalną stomatolożkę, która przyznaje, że nienawidzi swojej pracy, a studia skończyła dlatego, że ojciec się uparł i finansował korepetycje.

Spotykam nieuprzejme sprzedawczynie, kierowców autobusów, którzy prowadzą nerwowo i wyraźnie nie lubią swojej pracy. A glazurnik tak krzywo ułożył mi płytki w łazience, że całą rodziną wymienialiśmy fugi na mniej kontrastujące, bo wtedy mniej wiadać było fuszerkę. Znam też, o zgrozo, dziennikarzy, którzy nie umieją pisać.

Czemuś nie mówimy o tym, że stomatolodzy są roszczeniowi, dziennikarze niedouczeni, sprzedawczynie nieprzyjemne, a glazurnicy to partacze. A nauczycielom się dostaje równo – za system, za dzieci, za frustracje rodziców. I za to, że w wakacje nie prowadzą lekcji.

Kilka dni temu rozmawiałam z Michałem Wiatrowskim, szkolnym psychologiem, który od lat pracuje w łódzkiej podstawówce. Wiele razy wcześniej opowiadał mi o problemach uczniów, o kryzysie emocjonalnym młodzieży.

Ale tym razem nie chciał mówić o uczniach. Wolał się skupić na nauczycielach. – Gdy myślą o powrocie uczniów po wakacjach, czują potężny strach. Mówią o tym, że nie mogą spać, walczą z bólami brzucha, głowy, odczuwają obniżony nastrój, stany lękowe – wymieniał.

Wspomniał nawet, że ten stan przypomina PTSD. I że często to rodzice sprawiają, że nauczycielom odechciewa się uczyć.

Bo to dorośli – czasem z powodu złych wspomnień szkolnych, które niosą przez resztę życia – szkoły nie cierpią, a swoje lęki i niechęć z przeszłości przekładają na własne dzieci i na szkolną rzeczywistość tych dzieci. A dokładniej – na nauczycieli.

– Przed wywiadówką boli mnie brzuch – usłyszałam niedawno od nauczycielki wczesnoszkolnej. – Wiadomo, że system oświatowy nie jest idealny, polska szkoła bywa opresyjna. A i ja, choć skończyłam dwa kierunki studiów, wciąż się dokształcam i szanuję swoich uczniów, też nie jestem idealna.

Ale w konfrontacji z niektórymi rodzicami czuję się, jakbym była kiepsko opłacaną pomocą domową. Uczeń nie robi postępów? Moja wina, pewnie kiepsko ucze. Bije kolegów i ubliża nauczycielom? Moja wina, nie mam autorytetu. Kiedyś tłumaczyłam, dlaczego stawiam minusy za bałagan w szafkach, a jakaś matka wycełowała we mnie tipsem i rzuciła: „Rozumiem, że się pani w życiu nie powiodło, ale niech się pani na dzieciach nie wyżywa”.

A geograf w szkole ponadpodstawowej opowiadał mi o upokorzeniu: – Kiedy słyszę, od rodzica, że jestem utrzymywany z jego podatków, więc powinienem wziąć się do roboty. Kiedy uczeń odbiera klasówkę z jedynką i stwierdza: „mnie to wali, przynajmniej nie skończę, jak pan”.

Kiedy na wywiadówce zwracam uwagę matce, że córka nie przychodzi na lekcje, zawała kolejne sprawdziłny i może nie dostać promocji do następnej klasy, a matka na to, że to mój

problem, bo: „pan jest od uczenia, jak dupa od srania”.

A propos dupy, przypomina mi się rozmowa ze znajomym, zaangażowanym ojcem z ambicjami i sporymi oczekiwaniami wobec świata. Okazało się, że wiedza i umiejętności jego dziecka nie zostały wystarczająco ocenione na jakimś ważnym sprawdzianie czy konkursie poza szkołą.

Komentarz rozczarowanego ojca? Uwaga: „Trzeba będzie podkreślić śrubę w dupie pani Kasi, bo się nie stara”. Nie, to nie o córkę chodziło, choć i wówczas komentarz byłby skrajnie nieprzyjemny, tylko o nauczycielkę w państwowej placówce oświatowej. Za mało się starała. Źle nauczyła zdolne dziecko.

Na szczęście to wszystko skrajności. Przejaskrawienia. I tak, jak nauczycieli niekompetentnych i ze złą wolą jest pewnie na lekarstwo, tak i roszczeniowych, pogardliwych rodziców jest mniejszość. Chcę w to wierzyć. I tego z okazji nowego roku szkolnego wszystkim życzę. Dzieciom najbardziej, bo to o nie przecież chodzi, prawda? ●

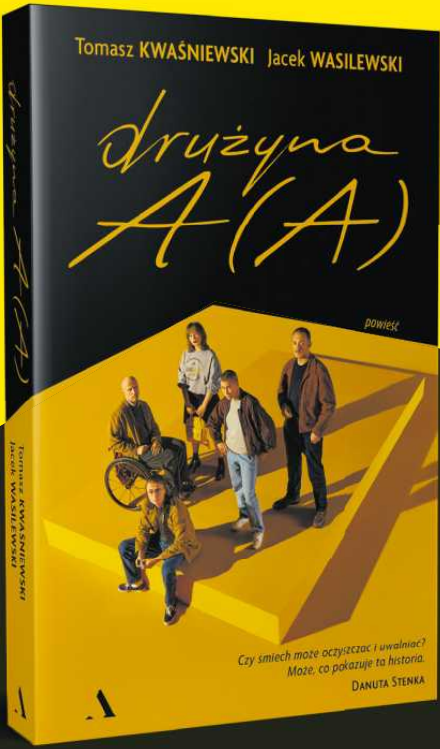
Agnieszka Urazińska

BELFER, DO TABLICY!

- Nieudacznik czy skarb narodu? Justyna Suhecka sprawdza, kim jest polski nauczyciel
 - Nauczyciele mają dość. Uczniowie mają dość. I rodzice też mają dość polskiej szkoły. Czemu – bada Agnieszka Jucewicz
 - „Mam w klasie czwartoklasistów, którzy z trudem czytają”. Co widzi nauczyciel
 - „Całą rodziną składamy się na czesne. Żeby moje dzieci nie przechodziły piekła publicznej szkoły”. Aleksandra Szytło z perspektywy matki
 - Nauczycielka z 42-letnim stażem: Ja myślę, że jak ktoś nie będzie pracował za 10 złotych, to i za 100 nie będzie
- Wszystko o polskich nauczycielach na Wyborcza.pl/magazyn**

REKLAMA

Kraj/34331242



Zabawna i poruszająca opowieść o zaufaniu, wsparciu i sile zespołu.

SAM MOŻESZ WSZYSTKO, W GRUPIE JESZCZE WIĘCEJ!

*Czy śmiech może oczyszczać i uwalniać?
Może, co pokazuje ta historia.*
Danuta Stenka

**POWIEŚĆ W KSIĘGARNIACH 11 WRZEŚNIA.
FILM TWÓRCÓW HITU JOHNNY W KINACH 20 WRZEŚNIA.**

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl



Thermomiks i krawat Kaczyńskiego zamiast idei

Oprócz bańki „jeb... PiS” są i tacy, którzy wołają, żeby po zwycięstwie zachować zimną krew, podać rękę przeciwnikowi



Marcin Matczak

Wielkie umysły dyskutują o ideach, przeciętne o wydarzeniach, a małe o innych ludziach”. Te słowa przypisuje się Eleonor Roosevelt, ale podobno po raz pierwszy pojawiły się w autobiografii Charlesa Stewarta z 1901 r.

Autor relacjonuje w niej rozmowę przy stole, w której historyk Henry Thomas Buckle powiedział: „Ludzie dzielą się na trzy klasy inteligencji: najniższą klasę można rozpoznać po tym, że zawsze rozmawia o osobach, następną po tym, że zawsze rozmawia o rzeczach, najwyższą po tym, że preferuje dyskusję o ideach”.

Czasami chciałoby się poaspirować do tej najwyższej klasy, pogadać o sprawach najważniejszych, czyli o starych Polakach i o tym, o czym oni tam sobie myśleli. Ale czasy się zmieniły.

W dobie TikToka nawet cytata przekraczająca dwie linijki to może być za dużo do przetworzenia na raz.

Zadowolamy się więc często klasą środkową, żeby nie powiedzieć średnią, i konsumujemy rzeczy albo – jak w krótszej wersji tego bon motu – wydarzenia. Nie ma tu zresztą wielkiej różnicy, bo i rzeczy, i wydarzenia są konkretne, nie abstrakcyjne, jak idee. Nowe auto sąsiada czy właśnie kupiony thermomix są tu i teraz. To konkret, podobnie jak ostatnia wygrana Igi Świątek czy odwrotnie założony krawat Jarosława Kaczyńskiego. A o konkretnych mówić jest łatwiej niż o abstraktach.

News zniknie, zegarek po dziadku nie

Inni jednak rzeczy i wydarzenia od siebie mocno oddzielają. Byung-Chul Han, wschodząca gwiazda niemieckiej filozofii, napisał książkę o „nie-rzeczach”, żeby tę różnicę pokazać. Informacja o wydarzeniach jest nietrwała, przepływa nam przez palce i znika. A rzeczy trwają – jak zegarek po dziadku czy suknia ślubna po prababci. Dlatego Han w dobie Spotify, kiedy w telefonie można mieć szafę grającą z całą muzyką świata, kupił sobie starą pozytywkę: rzecz odtwarzającą w końcu jedną i tę samą melodię, która przez to trwa.

Może więc, żeby w tej konsumpcji wydarzeń nie przesadzić, powinniśmy czytać tylko tygodniki albo miesięczniki, zamiast odwiedzać serwisy z newsami? Te pierwsze mają szansę przefiltrować wydarzenia ziarno od plew i nie zaśmieczać nam umysłów byle czym.

Klimat mamy jednak taki, jaki mamy, i najczęściej kończymy w klasie najniższej. Żyjemy przecież w dobie różnej maści pudełków i plejad, kiedy gadanie o osobach, czyli stare dobre plotkowanie, to nadal ulubiona rozrywka. Dlatego – jak radzi mi doświadczony kolega – w wersji papierowej można felietonowi nadać tytuł ideowo-filozoficzno-poetycki. Ale w internecie musi być konkretnie i najlepiej z nazwiskiem właśnie. Wtedy się klika.

Zresztą sam Charles Stewart, autor tej autobiografii z początku felietonu, mówił, że kto tych trzech poziomów – gadania o ideach, rzeczach/wydarzeniach i ludziach – w swoim własnym gadaniu nie jest w stanie połączyć, powinien zostać wysłany do przytułku dla nudziarzy.

Kilka lekcji ze środkowego palca trenera Legii

Slucham więc tej rady. Chciałem napisać felieton o idei triumfalizmu i o tym, dlaczego jest zła. Ale może lepiej napiszę o fuckach Gonçao Feio, trenera Legii, który je pokazał w kierunku kibiców Broedby Koppenhaga, po tym, gdy Legia Duńczyków wyeliminowała? Wygrał i nie wytrzymał – musiał te dwa środkowe palce wystawić.

Mamy tu więc i człowieka, o którym można pogadać, i wydarzenie, które wzbudziło emocje. Jest więc dobrze. Ale co nam ten człowiek i to wydarzenie mówią? Czy po zwycięstwie, a jeszcze przed fuckami szanowaliśmy Gonçao mniej czy bardziej?

Mnie się zdaje, że bardziej – pokazał, że zna się na robocie, zrobił to, co do niego należało, czyli odprawił przeciwnika z kwitkiem. Przed fuckami był Gonçao wielki, a po fuckach mocno zmalął. Nie umiał wygrać dorośle i godnie. Ancelotti by tak pewnie nie zrobił, stąd słusznie ludzie mówią o nim „Don Carlo”.

Gonçao triumfował, zapominając, że zwycięstwo, często, niestety, mylone z odwetem czy nawet zemstą, najlepiej smakuje na zimno. I tu przechodzimy do sedna dzisiejszego felietonu, a więc do rozliczeń z PiS i tegoż PiS-u „jeb...niem”.

Otóż zdaje mi się, że czym innym jest jeb...nie agresora, który atakuje ważne dla Polaków wartości, wyśmiewa przeciwników, robi o nich specjalne audycje w propagandowej TVP i generalnie zachowuje się jak ktoś, kto myśli, że nigdy nie przegra. Wtedy jeb...nie tego kogoś jest moim zdaniem uzasadnione.

Ale jak ten agresor w końcu przegra, leży i niezdarnie macha rączkami, to kpiny, wyśmiewanie i sztydzenie są jak te fucki Gonçao Feio.

Nie tylko zupełnie niepotrzebne, nie tylko psujące wcześniejsze pozytywne wrażenie, ale być może grożące polityczną dyskwalifikacją (w sprawę Feio zaangażowała się UEFA!). Dlatego wolę ludzi, którzy bezlitośnie, ale spokojnie pokazują karygodne czyny tej poprzedniej ekipy i w ten sposób politycznie wygrywają, niż tych, którzy nie mogą wytrzymać z rozemocjonowa-

nia, krzycząc: „I kto teraz jest debeściak?”.

I nie chodzi mi o to, co się zdarzyło na Campusie. Mam dużo tolerancji dla krzyków młodzieży bawiącej się na dyskotecie. Za prawdziwą gówniarzerię uważam natomiast tych dorosłych, którym rozliczanie PiS nie wystarcza, bo im właśnie chodzi o PiS-u jeb...nie. To oni idą w ślady trenera Legii, myślarzami wyłącznie swojej drużyny, dla której te fucki to była ekspresja kibicowskiej tożsamości.

Ale oprócz „drużyny”, oprócz własnej bańki, są jeszcze inni, którzy ten mecz i to, co się po nim dzieje, oceniają. I oni wołają, żeby po zwycięstwie zachować zimną krew, podać rękę przeciwnikowi i zostawić go sam na sam z faktem, że odpadł. A następnie przekazać do odpowiednich organów suche fakty o przekrętach i dopingu, które stosował. Dzięki temu nie tylko nie zaryzykuje się własnej dyskwalifikacji, ale prawdopodobnie doprowadzi tych drugich do dyskwalifikacji dłuższej niż jednosezonowa.

Państwo i prawo w Polsce po ośmiu latach ośmieszania i wykorzystywania do partykularnych celów potrzebuje powagi i szacunku.

Nie buduje ich bufonada, satysfakcja z dokopania, tak jak szacunku dla Legii nie budują fucki jej trenera. Triumfalizm jest głupi i bezproduktywny, o czym mogliśmy podyskutować, przechodząc od człowieka, przez wydarzenie, aż do idei – za co serdecznie Państwu dziękuję. ●

Indiana Jones

Oczami duszy widzimy już Tuska w generalskim mundurze i tuskozomowców pałujących ludzi za noszenie w klapach marynarek znaczków z logotypem PiS.

Michał Rusinek



Wakacje to czas względnej beztroski, kiedy to staramy się mniej przejmować rzeczywistością – jak mawiał Wojciech Młynarski – otaczając nas coraz bardziej. Staramy się cieszyć tym, co mamy: chwilą wytchnienia, ładną pogodą i widokiem na bliższą (tańsza opcja) lub dalszą (droższa) okolicę. Chyba że jesteśmy profesorem Wojciechem Polakiem. Wówczas udzielamy wywiadu Mariuszowi Kamienieckiemu z „Naszego Dziennika” i snujemy katastroficzne wizje naszej przyszłości.

Uściślijmy jednak: zaimek „nasza” dotyczy w tym przypadku tej samej wspólnoty, którą obejmuje zaimek „nasz” w tytule organu prasowego o. Tadeusza Rydzyska. Wywiad nosi tytuł „Bezprawie władzy Tuska” i zaczyna się od kwestii podważania przez rząd kompetencji Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej. Działania rządu nazywane są „bezprawnymi” lub wręcz „łamańcami prawnymi”. Donald Tusk rzekomo wpada w „furię” lub zachowuje się „niegrzecznie”, co napeł-

nia profesora Polaka niepokojem, gdyż „działania władzy Tuska to pogrążanie kraju w otchłaniach autorytarnych. To ma znamiona systemu totalitarnego”.

Największy niepokój w profesorze Polaku wzbudza bardzo konkretna wizja: „Nie-wykluczone, że totalna władza powoła własny skład TK, a wtedy jednym z pierwszych wniosków byłaby delegalizacja Prawa i Sprawiedliwości” – pyta (stwierdza?) redaktor Kamieniecki. Profesor Polak zapewnia, że do tego nie dojdzie, dopóki prezydentem jest Andrzej Duda, ale „zdaje się, że Donald Tusk i jego ekipa liczą na to, że w przyszłym roku na fotelu prezydenta RP usadowią swojego człowieka i wtedy będą mogli sobie uchwałać, co tylko zechcą. Mają większość sejmową, a ich prezydent klepie wszystko, co mu podłożą do podpisu. Dlatego ekipie trzymającej władzę chodzi przede wszystkim o to, żeby przy pomocy Państwowej Komisji Wyborczej pozbawić PiS pieczęty, co utrudni działalność i uniemożliwi przeprowadzenie jakiegokolwiek kampanii wyborczej”. Będzie to „koniec demokracji w Polsce”, jak twierdzi profesor Polak, cytując jednak lojalnie – jak na naukowca przystało – Jarosława Kaczyńskiego. Warto zwrócić uwagę na dwa określenia: „totalna władza” i „grupa trzymająca władzę”.

To pierwsze jest uwspółcześnieniem dobrozmianowej „totalnej opozycji”, która już nie jest opozycją, ale pozostała „totalna”, bo ma rzekomo totalitarne zapędy. To drugie jest określeniem wprowadzonym w 2002 roku przez Lwa Rywina, ale żyjącym już własnym życiem, nadal jednak wyłącznie w dyskursie o charakterze insynuacyjnym.

Następnie profesor Polak przechodzi do futurologii. Jego zdaniem „Tusk widzi prezydenturę jako ukoronowanie swojej politycznej kariery”, a „Rafała Trzaskowskiego wysłać do Brukseli na unijnego komisarza”, natomiast „z Szymonem Holownią w ogóle się nie liczyć” i ma „lekcjeważący stosunek do Władysława Kosiniaka-Kamysza”. Jeśli wygra wybory prezydenckie, to zdelegalizuje PiS i wprowadzi dyktaturę, w której „nikt nie będzie się liczył z żadnymi normami, z żadnymi przepisami prawa czy obowiązującymi zwyczajami”. Zresztą już jest tak, że „ta władza stosuje metody typowe dla Białorusi czy Korei Północnej”.

Może i więc w naszym kraju zapadnie znowu totalitarna noc, ale – jak pisał Herbert – „synowie ziemi nocą się zgromadzą/śmieszni karbonariusze spiskowcy wolności”. Polak snuje podobną wizję: „Powoli zacznie się kształtować podziemie polityczne. Zatem będziemy mieli tajne pisma, powstaną struktury chroniące ludzi przed aresztowaniami z przyczyn politycznych, będą lokale, gdzie ludzie niewygodni dla władzy będą się ukrywali, a więc tak jak to było za komunę w stanie wojennym”. Oczami duszy widzimy już Tuska w generalskim mundurze i tuskozomowców pałujących ludzi za noszenie w klapach marynarek znaczków z logotypem PiS.

Profesor Polak sięga także do imaginarium rozbiorowego: „Do tego będzie drugi obieg informacji, lekcje, podczas których dzieci będą się uczyły prawdziwej historii, bo w szkołach jej nie poznają”. Zapewne z zakazanych podręczników do HiT-u Wojciecha Roszkowskiego, które będą nielegalnie drukowane na powielaczach. Znowu wraca wizja stanu wojennego, bo to dla niego wizja najważniejsza: „Powoli zacznie być budowane społeczeństwo alternatywne, tak jak to było po 13 grudnia 1981 roku”. Pod koniec wywiadu pojawiają się prawdy ogólne: „Za-

wsze jest tak, że jeśli siłą się tłumi wolność słowa, jeśli się łamie zasady prawa, zasady demokracji, która jest pewną grą, na którą się umówiliśmy, i jeśli te zasady są deptane, jeśli łamane jest prawo, jeśli się niszczy opozycję, co jest typowe dla systemów autorytarnych czy wręcz totalitarnych, to skutki tego będą oplakane”. Cóż, ciekawe, że profesor Polak nie dostrzegł autorytarnych zapędów w czasie rządów PiS-u, nie widział łamania prawa, naginania reguł demokratycznej gry.

Zwróćmy uwagę na coś jeszcze. Profesor Polak jest autorem wielu publikacji o stanie wojennym i „Solidarności”. Tamta epoka: odstręcza go i pociąga zarazem, boi się jej powrotu i podświadomie go pragnie. Chciałby być jak Indiana Jones, który – w ostatnim filmie – odbył podróż w czasie i był świadkiem obłężenia Syrakuz podczas II wojny punickiej. Profesor Polak marzy natomiast o podróży w czasie do stanu wojennego. Przypomina z rozrzewnieniem: „Wtedy były powielacze prymitywne w porównaniu z dzisiejszymi możliwościami, bo każdy ma dzisiaj drukarnię na biurku – myśle o drukarce, gdzie wydrukowanie tysiąca ulotek to jest tylko kwestia zakupu tuszu i kilku ryz papieru. Możliwości są większe i podziemie będzie z nich korzystało”. Jest to wizja w stylu: nie podpowiadam, ale pokazuję możliwości. Tylko co to właściwie za możliwości? Widać przecież, że profesor Polak nie żyje we współczesnym świecie. Jeśli w Polsce zapanowałby totalitarny reżim – choć z pewnością nie za sprawą obecnej władzy – to „społeczeństwo alternatywne” zorganizowałoby się przecież w internecie. Odlóżmy więc z westchnieniem „Nasz Dziennik” i spróbujmy się cieszyć końcówką wakacji. Letni wiatr – ten realny, nie wiatr historii – niechże rozwieje anachroniczną wizję profesora Polaka. ●

CZY TAK POSTĘPUJE RACJONALNY LIDER

Mnóstwo ludzi PiS korzystało finansowo z politycznych układów i Kaczyński się nie denerwował. Dlaczego zdenerwował się na Szydło i jej męża?

Dominika Wielowieyska

Drogi Beaty Szydło i Jarosława Kaczyńskiego się rozchodzą. Ona chciała być królową Małopolski, prezesowi PiS się to nie podobało. Ale w tle jest dodatkowa przyczyna irytacji Kaczyńskiego: interesy prywatnej szkoły, którą zarządza Edward, mąż byłej premierki. Konflikt ulubienicy ludowej części elektoratu z prezesem może budzić zdumienie. To spory problem dla partii, osłabia ją i wprowadza dezorientację wśród wiernych wyznawców. Szydło jest kochana przez twarde elektorat PiS, czego niezłym dowodem są wybory europejskie – w Małopolsce i Świętokrzyskiem dostała ostatnio 285 tys. głosów, w 2019 r. zebrała aż 525 tys. Premier Szydło to symbol, dobra PiS-owska matka, która dała ludziom 500+, rozumie „zwykłego człowieka”, mówi jego językiem.

A teraz Kaczyński chce ją pozbawiać funkcji wiceprezeski PiS. Czyści małopolskie struktury z jej ludzi. Wygląda to na strzał w kolano. Racjonalny lider nie pozbywa się tak popularnej postaci.

Jednak spór zaszedł tak daleko, że rozejm nie jest możliwy. Szydło bardzo ciężko zniosła to, że Kaczyński pozbawił ją funkcji premiera w 2017 r. Nie może wybaczyć Mateuszowi Morawieckiemu, że ją zastąpił.

A że nie mogła przez lata wyładować złości na prezesie, więc kompensowała sobie to złością na Morawieckiego.

„Polityka” napisała ostatnio, że Szydło podejrzewała, iż to ludzie Morawieckiego stali za rozsiewaniem plotek na temat jej syna Tymoteusza Szydły, który porzucił stan kapłański.

Moi rozmówcy to potwierdzają. Jednak czy złościenie się na Morawieckiego nie jest próbą spychania do podświadomości bardzo przykrej prawdy, że Tymoteusz stał się ofiarą ambicji swojej mamy?

Sama apelowałam o to, aby zostawić go w spokoju, bo ta decyzja to jego prywatna sprawa. Jednak nie można pomijać, że pani premier latem 2017 r. święcenia kapłańskie syna wykorzystwała do piarowego spektaklu, by ratować swoje notowania. Elektorat był wzruszony, sceny pani Beaty wędrującej z synem księdzem wśród łąk zboża świetnie działały na emocje wyborców. Dodatkowo premierka z prominentnymi politykami PiS w towarzystwie kamer powtórzyła spektakl na Jasnej Górze.

Ale sprawy przybrały niespodziewany obrót: Tymoteusz Szydło postanowił opuścić stan księżowski. I oczywiście było, że wszyscy zaczęli roztrząsać, co takiego się wydarzyło, że tak wielka feta ku czci rodziny i wiary katolickiej zamieniła się w totalną klęskę. Nie trzeba było Morawieckiego, by wywołać taką, a nie inną reakcję społeczną.

Gdy Beata Szydło kilka miesięcy po show z synem księdzem w roli głównej straciła posadę szefowej rządu, z niechęci do Morawieckiego sprzymierzyła się z największymi wrogami eksbankiera, czyli ze Zbigniewem Ziobrą i jego Solidarną Polską. Jednocześnie uznała, że po tych upokorzeniach przynajmniej Małopolska zostanie jej bastionem, którym rządzić będzie osobiście i niepodzielnie. Tu rozdawała karty przez ostatnie lata.

Ale Kaczyński nie lubi, gdy ktoś próbuje się wywyższać i demonstrować niezależność od Nowogrodzkiej. Po tegorocznych wyborach samorządowych PiS, choć wygrał w Małopolsce, miał problem z wyłonieniem władz samorządowych województwa.

Kaczyński forsował Łukasza Kmitę jako kandydata na marszałka małopolskiego,

osoba bliska Terleckiemu, słynna była kura-tor oświaty Barbara Nowak.

„To nie może być prawda, ktoś musiałby stracić kontakt z rzeczywistością” – napisała na platformie X Szydło. Argumentowała, że dotychczasowy szef krakowskiego PiS to młody, energiczny człowiek i wyrzucenie go jest błędem. Kaczyński stwierdził, że „być może pani premier ma tutaj jakieś inne zdanie, ale to jest w tej chwili bez znaczenia”.

Za buntowniczą postawę królowa Małopolski została zdetronizowana. Interia zauważyła, że triumf pani premier zamienił się w klęskę, bo marszałek Smółka miał dostać polecenie, by działania w regionie konsultować z Nowogrodzką. Informacje o „odcięciu” Smółki od Szydło podawał też „Newsweek”. Pozostał jej tylko buntownik Witold Kozłowski – i to ta postać jest kluczowa w historii degradacji Szydło.

Kozłowski był marszałkiem województwa w latach 2018–24. Został nim dzięki byłej premier. Moi rozmówcy z PiS twierdzą, iż Kaczyński jest przekonany, że niedawna obrona Kozłowskiego przez Szydło ma drugie dno. Chodzi o Szkołę Zarządzania i Handlu w Oświęcimiu, którą kieruje Edward Szydło.



ale część radnych PiS się zbuntowała i nie chciała go wybrać. Prezes podejrzewał, że za buntem stoi Szydło. Nie chciała Kmity, bo to oznaczało, że utraci wpływy w regionie. Szydło tłumaczyła na Nowogrodzkiej, że problemem jest sam Kmita, którego radni nie lubią, bo jest arogancki, a ona na bieg zdarzeń nie ma wpływu. Powszechnie uważano, że w sejmiku mamy do czynienia z kłótnią między Ryszardem Terleckim a radnymi PiS, którzy Kmitę nie znosili. Kaczyński był jednak przekonany, że za buntem stoi Beata Szydło.

Dopiero za szóstym razem udało się wybrać władze województwa, Nowogrodzka ustąpiła i marszałkiem został Łukasz Smółka, a wicemarszałkiem – główny buntownik, człowiek Szydło, Witold Kozłowski. Była premierka teoretycznie mogła triumfować, bo to jej ludzie zajęli eksponowane stanowiska w regionie.

Kaczyński dawał jednak do zrozumienia, że choć ustąpił, to zniewagi nie puści płazem. Pozbawił człowieka Szydło – Andrzeja Adamczyka – funkcji szefa małopolskich struktur i zastąpił go Kmitą. Nie oszczędził też szefa krakowskich struktur PiS, również związanego z Szydło. Jego miejsce zajęła

Już w 2016 r. OKO.press opisało to przedsięwzięcie. „Szkoła, której dyrektorem jest mąż Beaty Szydło, jest maszynką do zarabiania milionów złotych z unijnej kasy, kontrolowaną przez kilka prywatnych osób. Szkoła dostała przez 10 lat 25 mln zł unijnych dotacji na organizację szkoleń”.

A co działo się później? I jaką rolę odgrywał tu Witold Kozłowski? W 2018 r. komitet polityczny partii rekomenduje kandydatów na marszałków w województwach, w których PiS wygrało. Nie pada jednak nazwisko dla Małopolski – pisała Interia. Spekuluje się, że faworyzowany przez Szydło Kozłowski uzyskał negatywną opinię. Politycy PiS dali sobie wtedy czas na dalsze rozmowy. Ostatecznie Nowogrodzka stawia na Kozłowskiego.

Dzięki zabiegom Szydło, która przez ostatnie lata była częstym gościem w urzędzie marszałkowskim. Wpadała, by zjeść śniadanie lub obiad z Kozłowskim.

Tymczasem w sieci można znaleźć takie informacje: w 2019 r. Małopolska Agencja Rozwoju Regionalnego z rąk marszałka Kozłowskiego dostała promesę na prawie 37 mln zł na realizację projektu „Bony suk-

cesu”, w ramach którego regionalni przedsiębiorcy będą otrzymać środki na specjalistyczne usługi doradcze. Agencja nadzorowana przez samorząd bardzo blisko współpracuje ze szkołą Edwarda Szydły.

„Małopolska Agencja Rozwoju Regionalnego S.A. jako partner Stowarzyszenia na Rzecz Szkoły Zarządzania i Handlu w Oświęcimiu – Społeczna Szkoła Zarządzania i Handlu realizuje projekt #StrefaEfektywnejTransformacji dofinansowany z #UE” – czytamy na facebookowym profilu agencji.

Na stronie MARR jest też informacja, że projekt „Nowa praca w lepszym klimacie” realizowany jest w ramach Programu Fundusze Europejskie dla Małopolski 2021–27. Wartość projektu – około 20 mln zł, w tym 17 mln zł z UE. Jednym z trzech partnerów agencji jest Stowarzyszenie na rzecz Szkoły Zarządzania i Handlu w Oświęcimiu.

– Prezes uważa, że za obroną Kozłowskiego stał też interes tej szkoły pana Edwarda – słyszę w PiS.

Ale przecież wiele osób z partii korzystało finansowo z różnych politycznych układów i Kaczyński się nie denerwował?

– Tak, ale każdy, kto korzystał, był bezwzględnie posłuszny, więc prezes na to przyzwalał. A Beata posłuszna nie była.

Zapytałam więc byłą premier o jej konflikt z prezesem i o współpracę szkoły Edwarda Szydły z instytucjami związanymi z małopolskim samorządem. Nie odpowiedziała.

Za to wcześniej na platformie X wbiła szpilę Terleckiemu: „Dziękuję tak chętnym do komentowania kolegom i koleżankom za troskę o moją pozycję polityczną.

Ja sobie radzę dobrze. Nie musiałam, jak niektórzy małopolscy politycy, uciekać z Krakowa do innego okręgu ze strachu przed utratą miejsca w Sejmie”.

Terlecki startował w Nowym Sączu. Zmianom kadrowym poświęciła dużo miejsca. „PiS, dzięki pracy swoich lokalnych struktur, niezmiennie od lat, notuje w Małopolsce bardzo dobre wyniki wyborcze. Wręcz najlepsze w skali kraju. Mimo to część działaczy w Małopolsce opowiadało się za dokonaniem wielu drastycznych ruchów kadrowych na stanowiskach lokalnych pełnomocników partii.

Mam nadzieję, że nowa wizja przyczyni się rzeczywiście do jeszcze lepszych wyników, do przyciągnięcia nowych wyborców i do napelnienia struktur partyjnych niezbędnym entuzjazmem. Wiele osób powinno pamiętać, że jest w Sejmie i Senacie dzięki ciężkiej pracy ludzi, którzy właśnie są dymisjonowani – i dziękować im za pomoc”.

Lecz takie uwagi mogą Kaczyńskiego – dla którego najważniejsze jest, by nikt nie urosł nadmiernie i nie rościł sobie praw do samodzielnego zarządzania jakimś regionem – tylko utwierdzać w podjętych decyzjach.

Niedawno, też na platformie X, Szydło tak podsumowała doniesienia o konflikcie z prezesem: „Jeśli tak bardzo nie chcecie mnie w kierownictwie PiS, to powiedzcie to publicznie, a nie biegajcie anonimowo szepać dziennikarzom. Odwagi, Panowie!” ●

z Nowogrodzkiej

MORAWIECKI BRNIE, BO MUSI

Kaczyński powątpiewa, by były premier nadawał się na prezydenta

Dominika Wielowieyska

I kspremier Mateusz Morawiecki stanął w obronie Michała Kuczmierowskiego, byłego szefa Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Prokuratura chce postawić mu zarzut nadużycia władzy i działania w zorganizowanej grupie przestępczej. W gruncie rzeczy chodzi o wyprowadzanie publicznych pieniędzy do prywatnych spółek.

Sąd zgodził się na areszt dla byłego szefa RARS, ale Kuczmierowski wyjechał z kraju. Jego adwokat twierdzi, że pojechał na wakacje, prokuratura i służby uważają, że uciekł przed aresztowaniem, i wystawiają list gończy.

Zarzuty mają być postawione także Pawłowi Sz., bo na konta jego spółek wypłynęło pół miliarda złotych. Twórca Red is Bad, popularnej marki odzieży patriotycznej, dostawał bardzo lukratywne zlecenia bez przetargu. Pawła Sz. też nie ma w Polsce. Gdzie są obaj – nie wiadomo. W przypadku Kuczmierowskiego Onet wspominał o Cyprze, ale „Rzeczpospolita” to dementuje.

Wcześniej – 4 lipca – prokuratura zatrzymała Justynę G. Niedawno była dyrektorka ds. zakupów w RARS wyszła z aresztu. Najprawdopodobniej to jej zeznania pozwoliły postawić zarzuty jej byłemu szefowi i Pawłowi Sz.

Morawiecki nie ma wyjścia. Musi bronić Kuczmierowskiego. Publikuje wpisy na platformie X, wysławiając jego skuteczność oraz uczciwość – choć fakty są porażające. Paweł Sz. miał na przykład kupić w Chinach agregaty prądotwórcze za 69 milionów zł, a następnie sprzedać je Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych za 350 milionów zł. A to tylko jeden z wątków w tej sprawie.

Osoba, której nie skazano, jest uważana za niewinną. I nie wiemy, czy prokuratura napisze akt oskarżenia, który obroni się w sądzie. Lecz oprócz odpowiedzialności karnej jest polityczna – a pieniądze z RARS wypływały szerokim strumieniem do osób zaprzyjaźnionych z ekipą Morawieckiego.

Były premier jednak brnie. „Michał Kuczmierowski jako prezes RARS odpowiadał m.in. za organizację hubu wojskowego na lotnisku w Rzeszowie, mając stały kontakt ze służbami specjalnymi z całego świata, chociażby z USA, Wielkiej Brytanii, Izraela czy Hiszpanii”.

Pytanie, co ma piernik do wiatraka? Kuczmierowski mógł organizować hub, ale to nie jest odpowiedź na zarzuty prokuratorские. „Został wzięty na celownik bodnarowców, niszczących z premedytacją osoby dobrze służące Polsce za czasów rządów Zjednoczonej Prawicy” – pisze Morawiecki. Dodaje, że stoi murem za współpracownikiem i ręczy za jego uczciwość.

Jednak w tych aktach strzelistych i materiałach prasowych brakuje bardzo istot-

nej kwestii. Prokuratura stawia dziś zarzuty człowiekowi Morawieckiego na bazie efektów operacji „Walec”, którą CBA przeprowadziło w drugiej połowie zeszłego roku, a więc za rządów premiera Morawieckiego. Służby założyły podsłuch Pawłowi Sz. i z tych nagrań dowiadujemy się wielu interesujących rzeczy. Operację „Walec” opisał w Onecie Jacek Harłukowicz.

Śledztwo w sprawie możliwych przekrętów w RARS prokuratura regionalna w Warszawie wszczęła 1 grudnia 2023 r. i w tym samym miesiącu CBA przeszukała RARS, Kancelarię Premiera, mieszkania i firmy. Wejście do domu Kuczmierowskiego odbyło się z pełnym rynsztunkiem; agenci mieli długą broń, bo K. mógł być uzbrojony – miał podobno pozwolenie na broń. Zablokowano 117 mln zł na kontach biznesmena Pawła Sz. i jego matki. Premierem cały czas był Morawiecki.

Nowy rząd przejął władzę dopiero w połowie grudnia. W kwietniu sprawę przejął śląski wydział ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji prokuratury krajowej. Co ciekawe, prokuraturę zawiadomiło nie tylko CBA, ale także Generalny Inspek-

zala interesujące relacje między kancelarią premiera a Pawłem Sz. Opisał je Onet.

6 września 2023 r., niespełna półtora miesiąca przed wyborami, Paweł Sz. rozmawiał przez telefon z Anną Wójcik, dyrektorką Biura Prezesa Rady Ministrów, zaufaną współpracowniczką Morawieckiego. Wójcik wprowadziła Sz. do Kancelarii Premiera na spotkanie z „kimś ważnym”.

O tym, co było dalej, mówi analiza CBA: „Bezpośrednio po spotkaniu Paweł Sz. (o godz. 13:31) skontaktował się z Mariuszem T., który na polecenie Pawła Sz. nadzorował i koordynował zespół osób prowadzących w internecie nieformalną kampanię wyborczą kandydatów do Parlamentu RP, związanych z komitetem wyborczym Prawo i Sprawiedliwość. Prowadzone przez nich działania polegały na nagrywaniu i emisji materiałów promujących ww. kandydatów, prowadzenia tzw. czarnego pijaru w stosunku do kontrkandydatów z wykorzystywaniem w tym celu specjalistycznego oprogramowania, tzw. »chat botów«, »farm trolli« etc. [...] W trakcie rozmowy z Mariuszem T. Paweł Sz. najprawdopodobniej w związku z odbytym wcześniej w KPRM spotkaniem poruszał sprawę konieczności zwiększenia ilo-



tor Informacji Finansowej za czasów PiS. Być może inspektora zaintrygował niewiarygodny wzrost majątku twórcy Red is Bad w tak krótkim czasie.

Dziś prokuratura wskazuje, że część transakcji RARS przeprowadził mimo sprzeciwu Centralnego Biura Antykorupcyjnego. A to nie koniec. Polacy dostali raport z postępowania kontrolnego Europejskiego Urzędu ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF), który zajął się umową o dotację pomiędzy RARS a Komisją Europejską.

Morawiecki powinien więc kierować oskarżenia pod adresem kolegi z rządu, byłego szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego. Formalnie premier kontrolował służby, ale w praktyce nie miał na nie wpływu, bo Kamiński raportował wszystko bezpośrednio na Nowogrodzką, do Jarosława Kaczyńskiego. Albo prawie wszystko.

Kamiński z Morawieckim się nie lubili i zwalczała. Niemniej Kamiński był ostrożny i nie ścigał otwarcie ludzi rywala, początkowo działania CBA koncentrowały się na Pawle Sz., a nie na szefie RARS Służby zajęły się nim dopiero na finiszu rządów PiS. Ale gdy już to zrobiły, operacja poka-

ści kanałów w internecie – TikTok, Twitter, Facebook, YouTube, zwiększenia ilości produkcji filmów, zwiększenia zasięgu emisji. Wskazywał też na konieczność zatrudnienia kolejnych osób, które miałyby brać udział w zespole”.

Analiza CBA brzmi jak akt oskarżenia wobec kampanii PiS. Pytanie, czy prokuratura sprawdziła owe transakcje – bo nie uwzględniłom tych kosztów w sprawozdaniu finansowym partii Kaczyńskiego byłoby złamaniem prawa. Przyjmowanie korzyści niematerialnych od biznesu, a tym bardziej nierejestrowanie tego w sprawozdaniu, to naruszenie Kodeksu wyborczego.

Dodajmy, że przedsiębiorca Dominik B., który wcześniej organizował kampanię Morawieckiemu, też dostawał zlecenia z RARS. Wszystko układa się w dość klarowny obraz.

Morawiecki ośmiesza się, atakując obecną prokuraturę. Nie ma jednak wyjścia, bo Kuczmierowski to jego wychowanek. Harcerz, którzy przyniósł krzyż pod Pałac Prezydencki po katastrofie smoleńskiej, pracownik BZ WBK, gdy Morawiecki był tam prezesem. Potem pracował w PKO BP, którym za-

rządał ówczesny przyjaciel Morawieckiego Zbigniew Jagiello. Innymi słowy, zarzuty wobec Kuczmierowskiego to w zasadzie zarzuty pod adresem Morawieckiego, dlatego ów musi brnąć w oskarżenia prokuratury o prześladowania i udawać, że nie pamięta, że dowodów prokuraturze dostarczyło CBA za czasów PiS. Liczy, że wyborcy to lkną.

A najlepsze, że mimo tych obciążeń Morawiecki cały czas pielgrzymuje na Nowogrodzką, by przekonywać Kaczyńskiego, iż byłby dobrym kandydatem na prezydenta. Prezes w to powątpiewa, widzi, że były premier jest łatwym celem.

Ciekawy wątek tej historii opisują w ostatnim numerze „Do Rzeczy” Cezary Gmyz i Piotr Gociek. Otóż „w ramach rosad personalnych osłabnie pozycja Mariusza Kamińskiego. O tym, że nie ma chemii między prezesem a ministrem, wiewiórki ćwierkały już pod koniec kadencji. Do tego stopnia, że jedna z nich przekonywała nas, iż jeśli PiS wygra wybory 15 października, to krwawego Maria w nowym gabinecie nie będzie”.

Dlaczego? Agata Kondzińska opisała w „Wyborczej”, jak na jednym z zebrani władz PiS Kamiński miał powiedzieć, że w sumie dobrze, że PiS wybory przegrał, bo w trzeciej kadencji byłaby już tak duża degrengolada moralna i złodziejstwo, iż trudno byłoby to znieść.

Kamiński publicznie mówił, że ze względu na kłopoty z utrzymaniem większości w Sejmie przymykano oko na różne patologie. Te wywody prezesowi się nie podobają – żąda od ludzi bezwzględnej lojalności, a rozliczenia kogokolwiek z PiS mogą nastąpić tylko, gdy on przyzwoli. „Gdybyśmy przyjęli założenia czysto moralne, tobyśmy niczego nie mieli” – te słowa Kaczyńskiego sprzed lat są nadal obowiązującą zasadą w partii. A tymczasem służby Kamińskiego podejmowały akcje, które w nią godziły. Innymi słowy, prezes uważa, że „krwawy Mario” trochę przesadza z tą bezkompromisowością i uważa dostarczenie obecnej ekipie dowodów na patologie w otoczeniu Morawieckiego za błąd.

Inna sprawa, że – jak pisaliśmy w „Wyborczej” – Kaczyński być może myśli o odsunięciu obecnych europosłów do dalszych szeregów i przekazaniu wpływów w aparacie ludziom, którzy są na miejscu, w Polsce. Kamiński jest w tym pakiecie – były szef MSWiA został w czerwcu europosem.

Odsunięcie Kamińskiego nie zmienia jednak faktu, że Morawiecki jest w centrum oskarżeń, a sprawa będzie podnoszona przez wiele miesięcy, bo śledztwo jest rozwojowe. I może się okazać, że prokuratura zajmie się kolejnymi osobami z otoczenia byłego premiera, bo wciąż wyskakują nowe kwiatki – ostatnio dowiedzieliśmy się o milionowych pensjach „doradców” prezesa Pekao SA.

Akurat za ten układ odpowiada były minister aktywów państwowych Jacek Sasin – rywal Morawieckiego. Lecz też człowiek z wierzuszki PiS, i to o znacznie dłuższym stażu u boku Kaczyńskiego.

A z szafy PiS w czasie kampanii prezydenckiej może wypaść jeszcze wiele innych trupów. ●

POLITYKA ŚWIAT



Być jak Kennedy i Bush

DONA



FOT. JIM LO SCALZO / PAPY / EPA

• **18 lipca br., konwencja Republikanów w Milwaukee. Rodzina Trumpów niemal w komplecie.**

- Od lewej:
- **Eric** (młodszy syn z pierwszego małżeństwa)
 - **Lara** (żona Erica)
 - **Vanessa** (była żona Donalda Jr. starszego syna z pierwszego małżeństwa)
 - **Chloe** (wnuczka, córka Donalda Jr)
 - **Spencer** (wnuk, syn Donalda Jr)
 - **Sam Donald Senior**
 - **Kimberly Guilfoyle**, (narzeczona Donalda Jr.)
 - **Tristan** (wnuk, drugi syn Donalda Jr)
 - **Melania** (trzecia żona Donalda Seniora),
 - **Ronan Anthony Villency** (syn Kimberly Guilfoyle, narzeczonej Donalda Jr)
 - **Ivanka Trump** (córka z pierwszego małżeństwa siostra Erica i Donalda Jr.)

Polityka prorodzinna Trumpa: Ivanka z Jaredem ogarniają deweloperkę, Lara dba o partyjny przekaz, Donald junior i Eric wybierają rząd

Mateusz Mazzini

Nic nie podsumowuje Donalda Trumpa jako polityka lepiej niż rozmowa z zięciem Jaredem Kushnerem. I nic lepiej nie pokazuje, że pod pewnymi względami „oni wszyscy są tacy sami”. Oni, czyli amerykańscy prezydenci. Mąż Ivanki Trump był największą rewelacją polityczną czteroletniej prezydentury The Dona. Pojawił się znikąd, nie miał żadnego doświadczenia w polityce, w dodatku od zawsze był związany z Partią Demokratyczną, wpłacał na jej kampanie, w 2008 r. należący doń tygodnik „The New York Observer” poparł Baracka Obamę w walce o prezydenturę z jednym z najbardziej poważanych Republikanów, senatorem Johnem McCainem. Później stopniowo odchodził od Demokratów, najpierw deklarując się jako wyborca niezależny, a potem, u progu pamiętnej kampanii 2016 r., dołączając do sztabu teścia. Kiedy ten niespodziewanie wygrał, sprezentował Jaredowi stanowisko starszego doradcy okraszone mnóstwem kontrowersyjnych przywilejów – na czele z przyznaniem najwyższej możliwej klauzuli bezpieczeństwa. Przeciwno czemu zaprotestowali jednogłośnie wszyscy wojskowi i eksperci od strategii, nie rozumiejąc, jak można nieznanemu finansistcie bez doświadczenia dać dostęp do najtajniejszych dokumentów nuklearnego supermocarstwa. Sam prezydent nie miał z tym żadnego problemu, bo od pierwszych dni w Białym Domu Jareda opisywał jako krzyżówkę cudotwórcy z geniuszem. Natomiast zięć o teściu miał nieco inne zdanie. Kiedy Bob Woodward, legendarny dziennikarz, który odkrył aferę Watergate, a potem śledził i opisywał sześć prezydenckich administracji od Nixona do Trumpa, zapytał go, jakie to uczucie pracować z Donaldem Trumpem, Kushner odpowiedział cytatem z Kota z Cheshire z „Alicji w Krainie Czarów”: „Jeśli nie wiesz, dokąd zmierzasz, nie ma znaczenia, którą drogą pójdziesz”.

Nie Donald i Melania, ale Jared i Ivanka. Pierwsza para Ameryki

To właśnie przypadek Jareda uświadomił amerykańskiej opinii publicznej, że to nie będzie normalna prezydencka administracja. Zwycięzca wyciągnął chłopaka znikąd, wsadził do pierwszego rządu narodowej polityki, omijając wszystkie tradycyjne filtry wśród tamtejszych elit. Kuser spełniał właściwie tylko jedno kryterium – skończył uczelnię z Ligi Bluszczowej, Harvard. Nie przeszedł jednak żadnej ścieżki wewnątrz partii, nie ubiegał się o mandat na szczeblu stanowym, nie startował do Kongresu, nie był dyplomatą, nie miał nawet historii służby wojskowej ani jakiegokolwiek pracy dla federalnej administracji. Co teściowi nie przeszkodziło ogłosić już na samym początku kadencji, że 35-latek bez żadnego doświadczenia w służbie publicznej rozwiąże globalny węzeł gordyjski, czyli zaprowadzi pokój na Bliskim Wschodzie. Nic takiego oczywiście się nie wydarzyło, ale też głosy oburzenia były co najmniej przesadzone, żeby nie powiedzieć, że stanowiły po prostu wyraz hipokryzji establishmentu zniesmaczonego ambicjami nuworysza. Bo owszem, Trump taki już był, że nigdy nie rozumiał ani nie cenił hierarchii, porządek instytucjonalny był jego wrogiem, więc wybierał ludzi, którym po prostu ufał. Ale przecież wpychając zięcia do politycznej ekstraklasy, Trump wykonał najbardziej schematyczny, typowy dla polityków w USA gest. Otoczył się rodziną, której wpływ na losy państwa stopniowo zwiększał. Zaczął budować kolejną wielką amerykańską dynastię. Jared i jego żona Ivanka, cztery lata młodsza od starszego brata, urodzonego w 1977 r. Dona juniora, i trzy lata starsza od Erica – dzieci w sumie Trumpa pięcioro, ale to ta trójka z pierwszego małżeń-

LDI

stwa występuje w roli dziedziców, zasiadając w radzie nadzorczej Trump Organisation – z miejsca stali się faktyczną pierwszą parą Stanów Zjednoczonych. Wzbudzając przy okazji zazdrość juniora od zawsze broniącego ojca jak lew, ale też mającego aspiracje przejęcia familijnego imperium.

Trumpa seniora i jego trzeciej żony Melanii nikt nie określa tym mianem na poważnie, bo pochodząca ze Słowenii eks-modelka w ogóle nie uczestniczyła w życiu publicznym poza udziałem w obowiązkowych ceremoniach. Ivanki i Jareda było natomiast wszędzie pełno. Do tego stopnia, że w Waszyngtonie całkiem poważnie spekulowano, czy to właśnie ona nie powinna być kandydatką Republikanów w kolejnych wyborach. Obojgu niewątpliwie podobala się sława i atencja, jaką dawali im dziennikarze – to zresztą w rodzinie Trumpów rana bolesna, niezaleczona do dzisiaj.

Pod koniec prezydentury amerykańską prasę zaczęły wręcz zalewać wycieki z Białego Domu. Szczegółowe opisy absurdalnych zachowań głowy państwa, kompromitujące informacje o jego nawykach, jak np. unikanie pracy przed godziną 11 lub kompulsywne konsumowanie fast foodów. Przodowały w tym dwie autorki – Maggie Haberman z „New York Timesa” oraz Olivia Nuzzi z „New York Magazine”. Najprawdopodobniej ich informatorami byli właśnie Ivanka i Jared.

Don junior i Eric Trump przemawiają ciągle. A gdzie znikła Ivanka?

Dzisiaj – przynajmniej z politycznego punktu widzenia – oboje w środowisku akolitów „The Dona” są już mocno passé. Ich polityczne ambicje się nie zmateriały, nie uczestniczą też aktywnie w bieżącej kampanii. Ivanka buduje na Instagramie wizerunek zaangażowanej matki pilnującej domowego ogniska. Zaraz po opuszczeniu Białego Domu w 2021 r. – gdzie formalnie była również doradczynią – ani razu nie pokazała się publicznie w kontekście politycznym.

Z ukrycia wyszła dopiero 18 lipca, w czasie konwencji Republikanów w Milwaukee – choć nie było to wystąpienie, jakiego można było się po niej spodziewać. Wypadła błąd na tle rodzeństwa, bo Don junior, Eric i inni członkowie rodziny przemawiali prawie codziennie od początku konferencji, a ona ani razu nie zabrała głosu, i uczestniczyła tylko w jednym ważnym elemencie zjazdu – była przy ojcu, razem z Erickiem i Melanią, kiedy ten, już poza sceną, podpisywał dokumenty, na mocy których stawał się oficjalnie kandydatem Partii Republikańskiej.

Kushner stał na trybunach i bił brawo. Jego polityka też zdaje się już nie interesować – co jednak nie oznacza, że przestał korzystać z przywilejów nabytych w czasie prezydentury teścia.

Jest aktywny biznesowo, i to relatywnie blisko Polski – inwestuje w projekty deweloperskie na Bałkanach; w centrum Belgradu stawia futurystyczne biurowce, w Albanii buduje luksusowe osiedle domów wypoczynkowych na bezcennych z biologicznego punktu widzenia terenach chronionych. Jedną z parceli, na której zależy mu najbardziej, położona jest na trudno dostępnej wyspie Sazan. Za autarkicznej dyktatury Envera Hoxhy była tu baza wojskowa odcięta od reszty kraju, mieszcząca 2 tys. żołnierzy i – liczba trudna do wyobrażenia – z 2840 bunkrami. Zwykłym obywatelom udostępniono ją dopiero w 2015 r. i zaraz potem zainteresował się nią zięć świeżo upieczonego prezydenta.

Trump Tower w centrum Belgradu i domy czasowe w parku narodowym

Ruszam więc tropem europejskich inwestycji Ivanki i Jareda. Robię zrzut ekranu z Instagrama Ivanki i wysyłam do znajomych w Belgradzie.

– Co takiego? – odpisują mocno zdziwieni.

– Kushner buduje u was dwa wieżowce, wiecie coś na ten temat?

– Nie. I naprawdę to tak będzie wyglądać?

Na obrazku dwie podświetlone wieże usytuowane za historycznym, niskim budynkiem. Wizualizacja nie jest przesadnie szczegółowa poza tym, że wieżowce będą utrzymane w estetycznym kanonie wszystkich Trump Tower. Uwagę przyciąga tylko jeden detal – na dachu niższego budynku powiewają dwie serbskie flagi.

– Na bank chodzi o jakieś pranie pieniędzy, pewnie w udziałem naszego rządu – odpisuje kolega.

Próbuję więc kanałami bardziej formalnymi. W czasie lipcowej madryckiej konferencji ECFR, Europejskiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych, podpytuję dyplomatów z regionu. Poznany przy kawie polityk z Czarnogóry i politolożka z Macedonii Północnej zgodnie stwierdzają, że o tej inwestycji na Bałkanach jest bardzo głośno, tak samo jak o projekcie w Albanii. W przypadku Belgradu sugerują, że niewykluczone, iż zabiegał o to sam Aleksandar Vučić, kontrowersyjny prezydent Serbii, mający coraz częściej nie po drodze z normami demokratycznego państwa prawa.



FOT. SHAWN THEW/PAP/EPA

– Jak to? – pytam zdziwiony, bo nagle przyjaźń serbskich władz z Amerykanami trochę mi nie pasuje do historycznego kontekstu. – Przecież Serbowie zawsze uważali Waszyngton za diabła wcielonego, celowo nie odbudowali niektórych budynków zbombardowanych przez NATO w 1999 r. To jak, teraz mają amnezję?

– Raczej są pragmatyczni – odpowiada Macedonka. – Vučić czuje, że Trump wraca, więc chce się przypodobać. To był zawsze polityk czysto transakcyjny, nieważne, czy bierze pieniądze od Amerykanów, Rosjan czy Chińczyków. A najlepiej, jak płacą mu wszystkie trzy państwa, jak w tej chwili.

Dopiero potem moi rozmówcy wyjaśnią mi, jak bardzo kontrowersyjny jest projekt Kushnera. Wieżowce chce postawić dookoła tam, gdzie spadły amerykańskie bomby – będzie nawet próbował wyburzyć ruiny dawnego budynku dowództwa jugosłowiańskich sił zbrojnych pozostawionego w tym samym stanie od ćwierćwiecza. Serbowie zrobili z niego nieoficjalny pomnik tamtych wydarzeń. Politico napisze, że dla niektórych mieszkańców Belgradu plan zięcia Trumpa brzmi tak, jakby „talibowie chcieli wybudować kompleks mieszkaniowy obok miejsca, na którym stały wieże World Trade Center”.

Równie silny polityczny kontekst ma działalność Kushnera w Albanii. Projekt luksusowego kurortu to koszmar ekologów, bo ma stanąć na obszarze chronionym. Zięć Trumpa upatrzył sobie między innymi ujście rzeki Wjosa, które jest parkiem narodowym. Albania ma ich 16, ale Wjosa jest szczególna – to jedyny w Europie fragment autentycznie dzikiej rzeki. O prawną ochronę tych terenów aktywiści starali się kilkanaście lat, presję na Tiranę wywierał nawet Parlament Europejski.

Kushner ogłosił swoje plany budowlane w lutym. Trzy dni później albański parlament przegłosował ustawę o sygnatu-

rze 21/2024. Pozwala ona na wybudowanie obiektów turystycznych najwyższej klasy praktycznie w dowolnym miejscu w kraju, włącznie z parkami narodowymi.

Jezioro Trumpa nie pogodziło Serbii i Kosowa

Trump w tej części świata od lat miał dobrą prasę, czego dowodem była kuriozalna, wywołująca się z internetowego żartu historia o nazwaniu sztucznego jeziora na granicy Serbii i Kosowa jego imieniem. Była to część kompletnie przypadkowej kampanii prowadzonej przez jego administrację na finiszu kadencji.

Ni stąd, ni zowąd prezydent osobiście, z pominięciem nie tylko Unii Europejskiej i ONZ, ale nawet własnego Departamentu Stanu, stwierdził, że doprowadzi do pojednania pomiędzy Belgradem a Prisztiną. A dokładniej – że wymusi na Serbach uznanie suwerenności Kosowa. Misję powierzył Richardowi Grenellowi, ambasadorowi w Berlinie. Ten długo nie mógł znaleźć punktu zaczepienia dla negocjacji, wymyślił więc, że zbliży do siebie oba kraje poprzez bezpieczeństwo energetyczne – bo jezioro powstało w latach 70. przy okazji budowy wielkiej elektrowni wodnej.

Kai Trump, lat 17, wnuczka, na konwencji Republikanów w Milwaukee: Donald „jest zwykłym dziadkiem, który daje swoim wnukom cukierki i napoje gazowane, kiedy rodzice nie patrzą”

Ponieważ Serbowie nazywają je Gazivoda, a Kosowarzy Ujman, Grenell zaczął budować narrację o konieczności ujednolicenia nazewnictwa. To element krytycznej infrastruktury, jak może funkcjonować pod różnymi nazwami, jeśli mieszkańcy Kosowa i Serbii mają dzielić się wytworzoną tu energią?

Skoro miejscowi nie są w stanie dojść do porozumienia, może zadziała nazwa nowa, neutralna? Na przykład Lake Trump?

Grenell rzucił pomysł na Twitterze, nie przywiązując do niego zbytnej uwagi. Jednak ku zdziwieniu świata ówczesny premier Kosowa Avdullah Hoti wziął to na poważnie i odpowiedział, że administracja w Prisztinie chętnie rozważy propozycję. Ostatecznie nic nie wyszło, bo pojednanie Serbii i Kosowa okazało się tak samo proste i prawdopodobne, jak pokój na Bliskim Wschodzie. Z tą różnicą, że Kushner, niedoszły architekt pojednania Izraelczyków i Palestyńczyków, wycofał się z polityki, lecz nie z życia publicznego, Grenell wycofał się w ogóle – po prostu znikł.

Do czasu – bo w tym roku wrócił na radary dziennikarzy już dwukrotnie. Za pierwszym razem – kiedy źródła bliskie sztabowi Trumpa zaczęły wymieniać go wśród faworytów na sekretarza stanu. Za drugim – kiedy okazało się, że jest partnerem biznesowym Jareda Kushnera w projekcie belgradzkiego City.

Dostać się na Harvard pomógł zięciowi Trumpa... Kennedy

Nie da się udowodnić, że zięć Trumpa inwestuje w Europie dzięki koneksjom ojca czy znajomościom, które sam rozwinął w czasie pracy w Białym Domu. Nawet gdyby tak było, nie robiłby niczego, co wykracza poza amerykańskie standardy.

Tamtejsza polityka, a szerzej – właściwie całe elity społeczne nie widzą niczego złego w ułatwianiu życia członkom rodzi-

ny. Przeciwnie, to postawa jak najbardziej oczekiwana. Podczas gdy w Europie każde, nawet najmniejsze powiązanie czyjejś działalności politycznej i biznesowej z wpływową pozycją rodziców natychmiast określamy mianem nepotyzmu, w USA to po prostu dbanie o najbliższych.

Ta zasada jest tak głęboko wpisana w amerykańską strukturę społeczną, że stanowi podstawę reprodukcji tamtejszych elit. Najlepiej widać to na przykładzie rekrutacji na najlepsze uczelnie, gdzie preferencyjne warunki otrzymują kandydaci mający status legacy. Jeśli ubiegasz się o miejsce na Harvardzie czy Princeton, a ktokolwiek z twojej rodziny tu wcześniej studiował, będzie ci łatwiej, bo uczelnia chce dowartościować ten wielopokoleniowy związek. Zupełnie jak komercyjna marka, która oferuje ci program lojalnościowy na długie lata. Ten członek rodziny, który wypchnie cię na przód rekrutacyjnej kolejki, nie musi być nawet absolwentem, może jeszcze się uczyć. Starszy brat, siostra, pradiadek – wszystko jedno.

Tak buduje się legacy, rodzinne dziedzictwo. Niektórzy uważają, że to forma polityki prorodzinnej, tylko przeniesiona, jak większość polityk społecznych w Ame-

ryce, na pojedynczych obywateli.

Jeśli jednak bliscy nie zadbali o twoją przyszłość w poprzednich pokoleniach – to też nie problem. Sprawę rozwiązać może hojna dotacja na rzecz uczelni. Taki rozdział w biografii ma właśnie Jared, który naukę na Harvardzie rozpoczął w 1999 r. Rok wcześniej jego ojciec obiecał uczelni 2,5 mln dol., płatne w dziesięciu ratach. Zwykły zbieg okoliczności? Obywatelska postawa kogoś, kto chce wspierać jedną z najważniejszych instytucji edukacyjnych w kraju?

W głośniejszej książce „The Price of Admission” Daniel Golden, znany dziennikarz śledczy, laureat Pulitzera, opisał w szczegółach proces rekrutacyjny Kushnera. Jego rozmówcy, w tym kierowniczka kursu przygotowawczego do college’u, otwarcie przyznali, że byli w głębokim szoku, kiedy dowiedzieli się, że Jared dostał się na Harvard. Ani jego średnia ocen, ani wyniki egzaminów końcowych SAT nie dawały mu wejścia do Ligi Bluszczowej. Ewidentnie musiał skorzystać z bocznych drzwi. Golden te drzwi znalazł – i z punktu widzenia funkcjonowania amerykańskich elit ta historia robi się właśnie jeszcze ciekawsza.

Okazuje się bowiem, że samo 2,5 mln dol. nie wystarczyło – a przynajmniej tego obawiał się Charles Kushner. Skontaktował się więc z Frankiem Lautenbergiem, senatorem Demokratów z New Jersey. Tym samym, na którego fundusz kampanijny Kushner senior przelał przez wcześniejsze 10 lat w sumie 100 tys. dol. Lecząc Lautenberg nie miał na uczelni odpowiednich koneksji, uderzył zatem do partyjnego kolegi reprezentującego Massachusetts, a więc stan, w którym znajduje się Harvard. Ów senator nazywał się Edward Kennedy.

Brat Johna Fitzgeralda i Roberta, szwagier Jacqueline, ojciec Patricka, członka Izby Reprezentantów, pomógł młodemu Kushnerowi dostać się na Harvard, aranżu-

jąc mu rozmowę z dyrektorem biura rekrutacji.

Wcześniej Charles Kushner radził się innych Demokratów, co zrobić, żeby zapewnić synowi dobrą przyszłość. A konęksje w tej partii miał szerokie, na początku lat 90. regularnie jadał kolacje z parą wschodzących gwiazd, niejakimi Billem i Hillary Clintonami.

Tata Trump zmienił zdanie, od Ivanki woli Erica

Jared i Ivanka wycofali się, przynajmniej na razie, z wielkiej polityki, bo wolą monetyzować wpływ rozwinięte przy teściu i tacie w inny sposób. Nie znaczy to jednak, że wokół kandydata Republikanów nagle stworzyła się rodzinna próżnia. Lukę po siostrze natychmiast wypełniły jego pozostałe dzieci.

Na pierwsze miejsce zdecydowanie wysunął się teraz Eric, młodszy brat Ivanki, najmłodszy z trójki dzieci, które Donald ma z pochodzącą z czeskiego Zlína Ivaną. Przez lata był nisko w rodzinnej hierarchii. Ojciec nie chwalił go publicznie, nie pozwalał występować na najważniejszych wiecach, nie dał ważnej roli w administracji. Wolał, żeby to Ivanka i Jared budowali jego wizerunek publiczny. Ale role się odwróciły i teraz Erica, który przez lata w cieniu zajmował się rodzinnymi biznesami, jest wszędzie pełno. Dostał rolę politycznego ochroniarza papy.

W rozmowie z tabloidem „New York Post” opowiadał niedawno, jak wielkim wyróżnieniem było dla niego zaproszenie do ogłoszenia przemówienia na Konwencji Republikanów w Milwaukee, komplementował ojca jako „najtwardszego mężczyznę na świecie” i chwalił jego „niesamowity instynkt polityczny”. Ta ostatnia cecha, mówi Eric, uchroniła go od porażki w 2012 r. – już wtedy podobno Trump rozważał start prezydencki, ale zrozumiał, że jego drużyna, czyli rodzina i jej zasoby, nie są w stanie jeszcze zagwarantować wyniku.

Eric przejmując publiczną pałeczkę od starszej siostry, a jednocześnie upodabnia się do starszego i bardziej rozpoznawalnego brata. Zapuścił brodę i szeroko się uśmiecha niczym Don junior – i jak on jest coraz bardziej spragniony władzy.

Współautorką ofensywy jest jego żona Lara – bodaj najbardziej wyrazista osoba z rodziny Trumpów w bieżącej kampanii. Rzuciła lukratywne zajęcie producentki telewizyjnej, by w marcu zostać współprzewodniczącą Narodowej Konwencji Republikanów, najważniejszej instytucji w strukturach partii. Wskazał ją osobiście teść, który w ten sposób jeszcze bardziej podporządkował sobie instytucjonalną prawicę. A Lara mu się odwziewa przy każdej okazji. Regularnie komentuje bieżące wydarzenia w Fox News, nie szczędząc ostrych komentarzy pod adresem Demokratów.

Niedawno trafiła na czołówki serwisów internetowych, porównując Kamalę Harris do „designerskiej torebki za 2000 dolarów, która tak naprawdę jest torbą na śmieci”.

Pierwsze polityczne szlify zdobywała jako doradczyni już przy poprzedniej kampanii, ale dopiero w tym roku pokazała pełnię talentu. Jest niesamowicie elastyczna, doskonale odgrywa rolę megafonu Trumpa, uruchamiając taki przekaz, jaki w danym momencie jest potrzebny. Kiedy trzeba było atakować Bidena za nieudolną politykę gospodarczą – gardłowała, że za rządów teścia ceny energii były najniższe w historii, nie to, co teraz. Ignorowała oczywiście szerszy kontekst, wojnę w Ukrainie, pandemię, naciągała fakty, ale słowa niosły się w świat.

Lecz gdy po zamachu 13 lipca w Butler Republicanie stwierdzili, że spróbują wyjść na odpowiedzialnych i obniżą temperaturę sporu, uderzając w tony pojednawcze, jak na zawołanie Lara Trump zmieniła oblicze. Na scenie w Milwaukee mówiła o potrzebie zgody narodowej i spokojnej dyskusji o polityce.

Rząd Stanów Zjednoczonych wybierają dwaj synowie Trumpa

Jej mąż i szwagier działają nieco głębiej w tle, poza światłem reflektorów – ale ich misja jest równie ważna, o ile nie ważniejsza. W kwietniu portal Axios poinformował, że to właśnie dwaj bracia będą odpowiedzialni za selekcję kandydatów na najważniejsze stanowiska w ewentualnej drugiej administracji Trumpa.

Na pierwszy rzut oka wydawać się to może procesem skomplikowanym, wymagającym mnóstwa konsultacji, dobrej orientacji w elitach, merytorycznego przygotowania. Ale w przypadku Trumpa kryterium jest jedno: lojalność.

Były prezydent jest człowiekiem niesłuchanie pamiętliwym, nie znosi zdrady, a zmiany poglądów czy choćby stanowiska w jednej konkretnej sprawie po prostu nie jest w stanie zrozumieć.

Dlatego najbardziej nienawidzi tych, którzy kiedyś z nim współpracowali, a dzisiaj stoją po przeciwnej stronie barykady. Przynajmniej w jego mniemaniu, bo dla Trumpa i jego rodziny świat jest całkowicie binarny. Kto nie z nami, ten przeciw nam.

W drugim gabinecie nie będzie więc miejsca dla ludzi pokroju Mike’a Pence’a, niegdyś drugiej osoby w państwie, który

zo upieczony kandydat Trumpa na wiceprezydenta.

Czy Tiffany Trump skusi muzułmanów

Ale głębszy powód odsunięcia starych, szacownych republikańskich think-tanków od kreowania przyszłej administracji jest taki, że Trump nie ufa intelektualistom, choćby najbardziej konserwatywnym, bo tego środowiska nie zna i nie rozumie. Woli, żeby wszystko zostało w rodzinie, zwłaszcza po złych doświadczeniach z poprzedniej administracji.

Anthony Scaramucci, swego czasu wpływowy waszyngtoński finansista, niegdyś dyrektor ds. komunikacji w Białym Domu Trumpa, dziś współgospodarz popularnego podcastu „The Rest is Politics – US”, stwierdził ostatnio, że były prezydent nauczył się na własnych błędach. Jednym z nich było oddelegowanie synów do zarządzania rodzinnymi firmami – za pierwszym razem do administracji wprowadził za mało członków rodziny. Jared jako bliski doradca był rodzyńkiem, poza nim tylko Don junior dostał polityczną rolę – skromny udział w obsadzaniu stanowisk w Departamencie Zasobów Wewnętrznych, na nic więcej ojciec mu nie pozwolił. Ale nawet gdyby eksprezydent zatrud-



FOT. MICHAEL REYNOLDS/PAP/EPA

31-letnia Tiffany, córka Trumpa z drugiego małżeństwa, otrzymała misję teoretycznie niemożliwą – ma przekonać Amerykanów pochodzenia arabskiego, by zagłosowali na jej ojca

ostatecznie nie ugiął się pod presją szefa i nie zakwestionował wyników wyborów z 2020 r. Ani Johna Boltona, wszechwładnego w pierwszych latach prezydentury doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego, który dziś publicznie mówi, że Trump jest „skrajnie egoistycznym człowiekiem, nienadającym się na prezydenta”. Jeffrey Goldberg, naczelny „The Atlantic”, ocenia, że jeśli Trump wygra, w Białym Domu „nie będzie już dorosłych”. Będą za to ludzie bezgranicznie oddani szefowi – o co zadbać mają Don junior oraz Eric.

Ich metoda, jak twierdzą informatorzy Axiosa, jest banalnie prosta. Wszystkich najważniejszych nominatów chcą wybrać sami, bez jakichkolwiek doradców. Przede wszystkim chcą wyrzucić z tego procesu konserwatywne think-tanki i ośrodki intelektualne. Nawet tak zasłużone i ważne jak Heritage Foundation, z której wywodzi się „Project 2025”, czyli plan konserwatywnych reform w przypadku zwycięstwa Trumpa, zakładający całkowite – oczywiście dla usprawnienia procedur i poprawy efektywności – upartyjnienie wymiaru sprawiedliwości, zwiększenie uprawnień służb mundurowych i wywiadu oraz rozmontowanie federalnych regulacji chroniących środowisko naturalne.

Lecz choć wszystko to byłoby spełnieniem marzeń alt-rightu, białych radykałów, suprematystów i samego The Dona, wokół opublikowanej strategii wybuchła taka imba – oburzyła się nawet umiarkowana prawica i tradycyjni konserwatyści – że sztab Trumpa próbuje się wobec niej zdystansować. Co będzie zadaniem trudnym, biorąc pod uwagę, że Kevin Roberts, szef Heritage Foundation i współautor „Project 2025”, wydał niedawno książkę, do której wstęp napisał J.D. Vance, błyskawicznie wschodząca gwiazda Republikanów i świe-

nil teraz w sztabie całą rodzinę, ręczne zbudowanie całej administracji będzie niemożliwe – to zbyt duży organizm, kogoś z zewnątrz trzeba będzie wciągnąć do procesu rekrutacyjnego. Mimo to Trump nie ustaje w wysiłkach, żeby zbudować autentyczną dynastię, do polityki zapraszając kolejne dzieci, a nawet wnuki. Dla każdego znajdzie się rola.

I tak 31-letnia Tiffany, przyrodnia siostra Ivanki, Dona juniora i Ericka (jej matką jest rozwiedziona z Trumpem była aktorka i modelka Marla Maples), otrzymała misję teoretycznie niemożliwą – ma przekonać Amerykanów pochodzenia arabskiego, by zagłosowali na jej ojca.

Z kampanijnego punktu widzenia może się to wydawać niegłupim posunięciem, bo sporo wyborców z tej grupy, zwłaszcza praktykujących muzułmanów, jest wściekłych na Joego Bidena i Demokratów za ciągle popieranie Izraela w wojnie w Gazie. Kilka miesięcy temu spekulowano nawet, że trwanie po stronie Beniamina Netanjahu może kosztować Bidena prezydenturę, bo stany, w których musiałby wygrać, by pokonać Trumpa – np. Michigan – to te z dużą populacją muzułmanów. Demokraci boją się, że zostaną oni po prostu w domu. Republikanie liczą na to, że Tiffany sprawi, iż poprą ich kandydata.

Trudno jednak będzie ich do tego przekonać, skoro Trump jest otwartym rasistą, który swego czasu nie chciał wpuszczać muzułmanów do Stanów Zjednoczonych. W obozie byłego prezydenta panuje jednak przekonanie, że Tiffany może się udać – dzięki wpływom swojego męża.

Dwa lata temu wzięła ślub z Michaeliem Boulosem, biznesmenem z ważnej na południu USA rodziny o libańskich korzeniach. Teść Tiffany Massad Boulos jest potentatem na rynku motocykli, a co najważniejsze, cieszy się ogromnym szacun-

kiem w Teksasie, gdzie jest najbardziej aktywny i gdzie studiował. I już zaangażował się w kampanię Trumpa, szukając poparcia dlań wśród amerykańskich muzułmanów. Jak na razie – z marnym skutkiem. Według doniesień Associated Press inni liderzy tej społeczności cały czas mówią Massadowi, że ich głosów nie da się kupić, a przynajmniej nie za darmo. Tymczasem ani w programie, ani w publicznych deklaracjach Trumpa nie ma nawet śladu obietnic dla Amerykanów wywodzących się z krajów arabskich.

W kolejce czekają już nastolatki. Barron Trump, najmłodszy syn byłego prezydenta, jedyne dziecko ze związku z Melanią, w marcu skończył dopiero 18 lat, ale ma już na koncie pierwsze sukcesy polityczne – miał wystąpić podczas konwencji krajowej w Milwaukee jako niebyłe kto, bo delegat Partii Republikańskiej z Florydy.

Ostatecznie nie pojawił się z powodu „wcześniejszych zobowiązań”, ale pokolenie Z i tak było reprezentowane – na scenie wystąpiła 17-letnia Kai Trump. Wnuczka Donalda seniora, córka Dona juniora i Vanessy – aktorki, z którą syn eksprezydenta rozwiódł się w 2018 r. Ojciec zapowiedział ją jako „wnuczkę waszego ulubionego prezydenta Stanów Zjednoczonych”.

Kai, ubrana w śnieżnobiałą sukienkę i wysokie srebrne szpilki, przemawiała przez nieco ponad trzy minuty. Tłumom na trybunach powiedziała, że dla niej Donald Trump „jest zwykłym dziadkiem, który daje swoim wnukom cukierki i napoje gazowane, kiedy rodzice nie patrzą”. Potem dodała, że często wydzwania do niej, żeby spytać, jak idzie gra w golfa – zapominając przy tym, że dziewczyna jest w szkole i nie może rozmawiać przez telefon.

– Za każdym razem, kiedy gramy w golfa i nie jestem w jego drużynie, próbuję wywierać na mnie presję – powiedziała Kai. – Ale nigdy mu się nie udaje. Nie pozwalał mi się tak rozgrywać. W końcu ja też mam na nazwisko Trump. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latinoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Píše o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochetie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”.

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE



• - My na wschodzie bardziej kochamy wolność, pokój i demokrację! – woła Björn Höcke, szef AfD w Turynii. Na zdjęciu wiec w Bad Frankenhausen, 25 sierpnia 2024 r.
FOT. HEIKO REBSCH/PAP/DPA

WSCHÓD CZĘKA NA WSTRZĄS

Miasteczka są zadbane, drogi, mosty i parki często lepsze niż na Zachodzie, a odsetek postaw skrajnie prawicowych spada. Dlaczego więc we wschodnich Niemczech poparcie dla AfD rośnie?

Piotr Buras

Ost! Ost! Ost-Deutsch-land!" – skanduje tłum na rozgrzanym sierpniowym upale placu. Przed socrealistycznym budynkiem centrum kongresowego w Gerze na wschodzie Niemiec zebrało się kilkaset osób. Przyszli posłuchać i pooklaskiwać Björna Höcke, szefa skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD) w Turynii.

Zróbcie mnie premierem

Piknik rodzinny, bo tak „niebiescy” (od barw partii) nazywają swoje wiece, to część kampanii przed wyborami w trzech landach wschodnich, czyli byłej NRD. Pierw-

szego września głosują Turynia i Saksonia. Trzy tygodnie później swoich przedstawicieli wybierać będzie Brandenburgia. Dla zwolenników AfD Niemcy wschodnie mają być awangardą radykalnej zmiany w całym kraju. Chcą budowy konserwatywnej idylli opartej na etniczno-kulturowej wspólnoty nie zmaconej lewacko-liberalnymi i wielokulturowymi eksperymentami. To mają być – wreszcie! – lepsze Niemcy niż te, które zafundował im Zachód. „My na wschodzie bardziej kochamy wolność, pokój i demokrację!” – woła ze sceny Höcke (sam pochodzi z Niemiec Zachodnich). „Ost! Ost! Ost-Deutsch-Land!” – odpowiada rozentuzjasmowana gawiedź. Rodzinną atmosferę tylko chwilami zakłócają lewicowi aktywiści, którzy spoza pilnowanego przez policjantów rządu barierki wyzywają AfD od faszystów i nazistów.

Höcke jest rozluźniony i pewny siebie. Ma po temu dobre powody. Wprawdzie przegrał niedawno kolejny proces za używanie zakazanych nazistowskich haseł. Zaś służby specjalne ogłosiły, że jego ugrupowanie jest „ekstremistyczne” i zagraża porządkowi konstytucyjnemu. Ale prowokacje i przekraczanie granic to część jego strategii w marszu po władzę. Coraz bardziej skrajny język niebieskiego kulturkampfu nie odstrasza wyborców. Przez ostatni rok znacząco ich AfD przybyło. Polowa mieszkańców landów wschodnich dopuszcza możliwość oddania głosu na AfD. Po sukcesach w wyborach europejskich i komunalnych w czerwcu partia ma więc i apetyt, i widoki na więcej. W Turynii AfD deklasuje konkurentów. W pozostałych dwóch landach też palny pierwszeństwa raczej nie odda. „Zróbcie mnie pre-

mierem” – prosi Höcke z plakatów. Z tym może być trudno, bo bezwzględnej większości AfD w żadnym z landów raczej nie zdobędzie, a inne partie odmawiają współpracy z radykałami. Ale i bez tego wrześniowe wybory we wschodnich landach będą cezurą i kluczowym testem dla niemieckiej demokracji.

Gleba dla AfD

Przez cała lata rocznice zjednoczenia Niemiec w 1990 r. były okazją do rytualnych pytań, czy Zachód i Wschód wreszcie się zrosły, a mieszkańcy byłej NRD doszłusowali do standardów, wartości i poziomu życia zachodniej części społeczeństwa. Dzisiaj, twierdzi socjolog Steffen Mau, autor wydanej wiosną książki „Nierówno zjednoczeni”, widać, że stało się coś zupełnie innego. Niemcy wschodnie wyglądają ładnie. Miasteczka i wsie są za-

dbane, a drogi, mosty i parki często lepsze niż na Zachodzie. Bezrobocie przestało być problemem – jest nim raczej brak rzemieślników i rąk do pracy w ogóle.

Ale we wschodnich regionach zakorzeniła się odmienna od reszty kraju kultura polityczna i struktura społeczna. Niemcy wschodnie są krajem „małych ludzi”, robotników i pracowników najemnych, podczas gdy na zachodzie kraju dominuje klasa średnia. Niemcy ze wschodu płacą tylko 2 procent podatku spadkowego (choć stanowią około 14 procent mieszkańców kraju) – to pokazuje gigantyczne różnice majątkowe.

Dramatyczny jest brak wschodnioniemieckich elit. Trzydzieści pięć lat po zjednoczeniu w kluczowych pozycjach w administracji, na uniwersytetach, w mediach i w biznesie nadal dominują Niemcy z Zachodu. Poczucie odrębnej wschodnioniemieckiej tożsamości jest dzisiaj silniejsze niż trzy dekady temu, także wśród młodych. Owszem, Niemcy wschodni popierają demokrację nie mniej niż ci mieszkający na Zachodzie. Ale ich ocena jej funkcjonowania oraz zaufanie do instytucji, partii i mediów jest na zatrważająco niskim poziomie. To właśnie gleba, na której rośnie i kwitnie AfD.

Świat, który już nie jest w porządku
Hanno Taufenbach zna wschodnioniemiecką codzienność od podszewki. Dziennikarz „Schweriner Volkszeitung” od ponad ćwierćwiecza pracuje w Wittenberge, niewielkim mieście nad Łabą, które mogłoby być symbolem pojednoczeniowej transformacji. Za czasów NRD była tu fabryka maszyna do szycia (dawny Singer), jedna z największych na świecie i duma miasta. Zlikwidowano ją w 1991 r., podobnie jak zakład produkujący celulozę i fabrykę oleju. Miasto skurczyło się z 40 do 19 tysięcy mieszkańców, przez lata leczyło rany wywołane tamtym szokiem. „Dzisiaj ludzie mają tu wrażenie, że stoją w obliczu kolejnej takiej wielkiej zmiany” – mówi Taufenbach, kiedy siedzimy przy piwie w dawnym młynie przerobionym na hotel. Ostatnich kilka lat to gwałtowne przyspieszenie na każdym niemal froncie. Jeszcze kilka lat temu migrantów w okolicznych miasteczkach szukać trzeba było ze świecą w ręku. Dzisiaj ich obecność obokrajowców – w pociągu, na ulicy, wszędzie – rzuca się w oczy, choć w całej Brandenburgii nadal stanowią tylko 7,5 procenta społeczeństwa. W całym regionie odnotowano tylko jedno głośne przestępstwo z udziałem azylanta. Ale obaw przed obcymi i zmieniającym się otoczeniem to nie uśmierza. „Nawet jeśli wszyscy wiedzą, że żaden lokal nie przetrwałby dzisiaj bez kelnerów i kucharzy migranckiego pochodzenia” – zaznacza Taufenbachm pozdrawiając obsługującego nas Afgańczyka.

Stabilizacja, jaką udało się osiągnąć po latach zawieruchy, wydaje się znowu zagrożona. Pandemia koronawirusa zaburzyła ją jak bodaj nic innego i trwale wpłynęła na nastroje społeczne. Potem wojna w Ukrainie – obawa przed wojną łączy się antyamerykańskimi i antyzachodnimi uprzedzeniami. Na wiecach AfD wołania o pokój i krytyka czarno-białego obrazu wojny w mediach zyskują największe oklaski. Wreszcie wzrost kosztów energii, inflacja, przyspieszenie transformacji energetycznej... Problemy uderzyły w sieć piekarni Armster, opowiada Taufenbach, która w Prignitz (tej części Brandenburgii) jest nieodłącznym elementu regionalnego krajobrazu. Część filii zamknięto, inne musiały ograniczyć sprzedaż i ofertę. Takie piekarnie to coś więcej niż sklepy z bułkami: to miejsca spotkań i kontaktów międzyludzkich, instytucje ważne dla życia społecznego. W Niemczech wschodnich ich słabość aż kluje w oczy. W latach 90. państwo wycofało się, przestało finansować kluby młodzieżowe, zamykano oddziały pocztowe i szkoły, upadały lokalne knajpy i sklepy. „Remizy strażackie wystarczą” – miał w tamtej dekadzie powiedzieć jeden z fede-

ralnych ministrów. Zwłaszcza na prowincji konsekwencją jest uwiad życia społeczne-go oraz dojmujące poczucie wyizolowania i osamotnienia. I nostalgia za (wyidealizowaną) przeszłością, w której było gdzie się spotkać, napić i pogadać.

Świat, za którym nie można nadążyć i niepewność jutra, dotykają wrażliwej struny, która wzbudza traumy minionej transformacji. Ale frustracja większości Niemców wschodnich nie jest podszyta tęsknotą za przeszłością. Powrotu do NRD chcą tylko nieliczni wiecznie wczorajsi. Wściekłość, której coraz częstszym wyrazem jest głosowanie na AfD, wynika raczej z poczucia bezsilności. Szukanie ukojenia w autorytarno-populistycznej opowieści „świata, który znowu będzie w po-

Politolodzy i politycy zastanawiają się, jak zabezpieczyć się przed możliwą obstrukcją ze strony AfD. I często studiują polskie doświadczenia z PiS w ostatnich ośmiu latach

rządku” (to dokładny cytat z przemówienia jednego z mówców na wiecu w Gerze) jest efektem rozczarowania obietnicą demokracji, która po 1990 r. nie dała Niemcom wschodnim poczucia wpływu, sprawczości i samostanowienia. Zjednoczenie przypomiłał anszłup bardziej niż połączenie dwóch równoprawnych państw i społeczeństw. Niemcy wschodni nie mieli wpływu na kształt konstytucji, los państwowych przedsiębiorstw czy obsadę stanowisk. Korzystne decyzje i rozwiązania przyjęto z dobrodziejstwem inwentarza, ale wiele złych lub kontrowersyjnych pozostawiło po sobie narastający resentyment i zarzuty o „kolonizację” wschodu.

Owszem, Niemcy wschodni protestowali. Najpierw przeciwko „rozgrabianiu” majątku NRD i zamykaniu fabryk, potem przeciwko drastycznym reformom socjalnym za czasów kanclerza Gerharda Schrödera, wreszcie przeciwko restrykcjom covidowym. Bez skutku. „Następna fala protestu idzie już ostro na prawo” – mówi Beate Selders, dziennikarka i działaczka społeczna, która od 30 lat mieszka we wsi Karstädt w Brandenburgii.

Dziki wschód

Selders, która angażuje się w lokalny protest przeciwko planowanej przez koncern Shell w jej miejscowości gigantycznej biogazowni (wstępne decyzje zapadły bez udziału mieszkańców), mówi, że kwestia sprawczości i współdecydowania jawi się dzisiaj w nowej odsłonie. Areną tej batalii o to, „do kogo należy ten kraj”, jest transformacja energetyczna, która jak nic innego zmienia otoczenie i warunki życia, zwłaszcza w Niemczech wschodnich. To tam są duże niezaludnione przestrzenie i tanie ziemie. Ogromne farmy wiatrowe i parki solarne powstają jak grzyby po deszczu na nieznaną gdzie indziej skalę.

Już w 2021 r. magazyn „Correctiv” w obszernej analizie przestrzegał, że w Brandenburgii czy Meklemburgii powstaje „dziki wschód” – rzeczywistość, w której nieliczni (głównie zachodnioniemieccy lub zagraniczni) inwestorzy oraz właściciele atrakcyjnie położonych gruntów zbijają fortunę, często kosztem interesów lub warunków życia reszty mieszkańców. Brakuje wystarczających regulacji i zabezpieczeń przed nadużyciami lub samowolką. Lokalne elity polityczne łatwo ulegają naciskom wielkich firm i przedsiębiorców, społeczeństwo obywatelskie jest zazwyczaj zbyt słabe, by wyrzucić presję i wymusić choćby

partycypację lokalnych społeczności w podejmowaniu decyzji.

„Za dzierżawę hektara ziemi pod farmę solarą firmy płacą nawet 3-4 tys. euro. Zwykły rolnik może zapłacić dziesięć razy mniej. Ceny gruntów szybują w górę, rolnicy nie mają szans w tej konkurencji. Tak rodzi się frustracja, a poczucie, że znowu, jak w latach 90., decydują za nas inni – politycy z Berlina czy wielki biznes – dramatycznie się pogłębia” – tłumaczy Selders.

W wielu brandenburskich wsiach na prywatnych domach wiszą widoczne z daleka banery: „Zieloni i ich wyborcy nie są tu obsługiwani”. To hasło wprost zapożyczone z Trzeciej Rzeszy, kiedy takie plakaty skierowane były przeciwko Żydom. Choć w lutym prokuratura wszczęła w tej spra-

wie dochodzenie, plakaty wiszą dalej. Nie wszystkim taka akcja się podoba, ale nienawiść do Zielonych jest niemal powszechna. „Od AfD gorsi są tylko Zieloni” – słyszy się w wielu prywatnych rozmowach.

Demokracja bez zaufania

Do kogo będzie należeć ten kraj – Niemcy wschodnie – po wrześniowych wyborach? Harald, brukarz z Brandenburgii, mówi, że to fatalnie, że AfD tak rośnie. Jego syn jest gejem, stąd obawy przed radykalnie konserwatywnym zwrotem. Ale w drugim zdaniu dodaje: „Ja tylko raz na nich zagłosuję”. Dlaczego? Bo ktoś musi wreszcie „potrząsnąć” i dać nauczkę elitom, które mają wszystko w nosie. Takich wyborców jest znacznie więcej – AfD skutecznie przedziera się do środka społeczeństwa, który trawia obawy przed przyszłością. Dalece nie wszyscy są prawicowymi ekstremistami (odsetek takich postaw w społeczeństwie spada, podczas gdy AfD rośnie w siłę). Albo zwolennikami teorii spiskowych, jak pani inżynier z Gery, która po wiecu Höckego tłumaczy mi, że „za tym wszystkim” stoją ciemne siły z Amerykami i grupy Bilderberga. Ale czy po solidnym wstrząsie, na które zanosi się w Turynii, Saksonii i Brandenburgii, skończy się tylko na upomnieniu demokratycznych elit, czy też będzie to początek równi pochyłej ku niepokojącej przeszłości? W Turynii zaczął się pochód Adolfa Hitlera do władzy. Czy będzie ona także świadkiem nowego eksperymentu?

Nawet jeśli możliwość objęcia rządu przez skrajną prawicę jest mało prawdopodobna, to perspektywa zyskania przez nią mniejszości blokującej jest realna. AfD może wkładać kij w szprychy landowej demokracji, blokując wybór sędziów i obsadę urzędów, utrudniając powstanie rządu lub skazując na rządzenie egzotyczne koalicje niezdolne do działania (np. konserwatywną CDU z nową partią lewicowej po-

pulistki Sahry Wagenknecht). Obnażanie słabości i dysfunkcji systemu oraz utwierdzanie wyborców w ich antyelitarnych resentymentach i obawach, to sedno strategii AfD. A czas, jej liderzy zdają się w to głęboko wierzyć, gra na jej korzyść. A w pewnym momencie „zapora ogniowa”, jak w Niemczech nazywa się deklarowaną przez partię głównego nurtu odmowę współpracy z AfD, będzie musiała upaść.

Politolodzy i politycy zastanawiają się, jak zabezpieczyć się przed możliwą obstrukcją ze strony AfD. I często studiują polskie doświadczenia z PiS w ostatnich ośmiu latach. Niektórzy chcą zmieniać procedury i ograniczać możliwość blokowania decyzji przez radykalną mniejszość. Testowane są propozycje zmiany konstytu-

cji. Socjolog Steffen Mau uważa, że klasyczna demokracja przedstawicielska w byłej NRD nie odzyska już zaufania obywateli i sugeruje, by więcej kompetencji dać radom obywatelskim radykalnie zwiększając partycypację oddolną. W ten sposób Niemcy wschodnie – zamiast dryfować ku autorytaryzmowi – mogłyby stać się laboratorium nowych pomysłów na uzdrowienia demokracji, która przecież nie tylko tam jest w kryzysie.

Historia z brandenburskiego Karstädt, gdzie mieszkańcy postawili się zawartemu ponad ich głowami dealowi o budowie gigantycznych rozmiarów biogazowni, może być promyczkiem nadziei. To nie AfD, lecz nowa niezależna inicjatywa obywatelska zagospodarowała emocje mieszkańców, a jej przedstawicielka wygrała wybory na sołtysa. Dwudziestego drugiego września razem z wyborami landowymi odbędzie się referendum nad przyszłością projektu. Politycy często mówią, że partie muszą „wziąć obywateli z sobą”. Nowa sołtys z Karstädt odpowiada im, że nie chce, by ją brać – chce decydować sama. Jeśli Niemcy wschodni uwierzą, że jest to możliwe, ich kraj nie będzie musiał należeć do AfD. ●

 **Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE** współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

- Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Lista do redakcji: lista@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielicki;
MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Wojciechowski, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.


„Pojawiła się chemia”. Relacje polsko-niemieckie

POLACY,
OTWIERACIE NAM OCZY

Jeśli chce się zajmować Niemcami, trzeba się trochę napracować

Z **PROF. KRZYSZTOFEM RUCHNIEWICZEM** I **DIETMAREM NIETANEM**, PEŁNOMOCNIKAMI RZĄDÓW POLSKI I NIEMIEC DS. WZAJEMNYCH RELACJI, ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

BARTOSZ T. WIELIŃSKI: Obydwaj urodziście się w latach 60., w czasie, gdy rany po drugiej wojnie były świeże, o pojednaniu między Polską i Niemcami nie było mowy. Jaki obraz sąsiedniego kraju wynieśliście z domów, ze szkoły?
PROF. KRZYSZTOF RUCHNIEWICZ: – U mnie w domu nie pielęgnowało się wobec Niemców nienawiści. Choć byłyby powody.

Moja ciotka, zakonnica, była pielęgniarką. Podczas Powstania Warszawskiego opiekowała się rannymi w szpitalu na Mokotowie. Znała niemiecki, była więc tłumaczką podczas negocjacji kapitulacji Powstania. Przeszła przez obóz w Pruszkowie. Niemcy jeszcze na początku wojny zabili jej dwóch braci, trzeci zginął podczas okupacji. Historia mojego dziadka, czwartego z braci, to osobna tragiczna historia. Jednak po wojnie w szpitalu w Grudziądzu ciotka opiekowała się rannymi niemieckimi jeńcami. Tak rozumiała chrześcijaństwo.

Prześledziłem historię rodziny do XVII w. Z pochodzenia jestem polskim Kaszubem. Przodkowie mówili po polsku i po niemiecku. Po wojnie też słyszałem niemiecki. Dorosli rozmawiali ze sobą w tym języku, gdy nie chcieli, by dzieci wiedziały, o co chodzi. Zacząłem się uczyć niemieckiego, żeby rozumieć, o czym oni mówią. A potem, żeby czytać kolorowe gazety dla młodzieży, które dostawaliśmy w paczkach z RFN.

Gdy studiowałem we Wrocławiu w latach 80., mogłem czytać niemieckie książki, których w PRL nie wydawano. Koleżanka z Niemiec przesała mi „Rok 1984” Orwella.

W niemieckiej szkole o Powstaniu Warszawskim raczej nie uczono
Dietmar Nietan: – A gdzie tam. Historia należała do moich ulubionych przedmiotów. Ale gdy w gimnazjum [odpowiednik polskiego liceum] w moim rodzinnym Dürren w Nadrenii omawialiśmy II wojnę, o niemieckiej okupacji Polski, o popełnionych przez Niemców zbrodniach nie mówiono nic. Nasz nauczyciel Polskę tylko krótko wspominał. Że była wojna i Niemcy robili paskudne rzeczy, no ale była przecież wojna. Bez szczegółów, bez refleksji. To była połowa lat 70.

Wówczas Heinz Reinefahrt, generał SS odpowiedzialny za Rzeź Woli,

dożywał swoich lat na wyspie Sylt, gdzie przez wiele lat był burmistrzem.

DN: – Wówczas, jeśli mówiono o niemieckich zbrodniach wojennych, to w kontekście Holokaustu. Gdy odkrywano nowe informacje dotyczące machiny zakłady, gdy udało się wytropić kolejnego oprawcę, który służył w obozie koncentracyjnym. Inne zbrodnie przemilczano, nie chodziło tylko o Polskę, ale też o np. okupowane Balkany.

Tę potworną historię poznawałem sam, jako młody działacz SPD. Pamiętam kontrowersje, które towarzyszyły wystawie o zbrodniach Wehrmachtu, gdy Niemcom po raz pierwszy pokazano, że bestialstwa nie można przypisywać wyłącznie SS. Wydawało się, że będzie ulga, że wreszcie udało się stanąć w prawdzie. Nic z tego. Twórców wystawy odsądzano od czci, bo „obrzucili walczący honorowo Wehrmacht błotem”.

Gdy w 1998 r. zostałem posłem, dziadek pokazał mi mapę Prus Wschodnich, która wisiała w jego gabinecie. Pochodził z Olsztyna. – To jest Heimat [mała ojczyzna] twoich dziadków. Nie straciliśmy jej z powodu Polaków, tylko dlatego, że niemieccy faszysty napadli na sąsiadów – mówił. Dodał, że chce,

bym jako poseł do Bundestagu wykorzystał, by budować pojednanie z Polską.

KR: W ówczesnej Polsce oczywiście kwestie nierozliczania zbrodni podnoszono. Ale mam wrażenie, że wbrew propagandzie ludzie mieli lepsze zdanie o zachodnich Niemcach niż o NRD, które komuniści stawiali jako państwo „dobrych Niemców”. RFN była z naszej perspektywy krainą dobrobytu, NRD trochę Obrzydłówkiem z noweli Żeromskiego. Jako student byłem na praktykach w eneradowskim pegeerze i na własne oczy zobaczyłem absurdy socjalizmu. Przez 12 godzin zamiataliśmy betonowy plac po resztkach rzepaku. Pod koniec przyjechał traktor ze szczotką obrotową, który wykonał naszą pracę w pięć minut.

Zarobiłem trochę wschodnioniemieckich marek, by pojechać do wschodniego Berlina, wjechać na słynną wieżę telewizyjną i popatrzeć na to, co za murem. Na Zachód.

Strasznie dużo u pana pozytywnych emocji względem Niemiec. Obecnej polskiej opozycji może to wydać się podejrzane.

– Trudno. Przecież tu nie chodzi o emocje, o to, czy się Niemcy lubi czy nie lubi. Jestem historykiem, staram się zrozumieć Niemcy. Bez uprzedzeń i stereotypów.

Jako student w Ossolineum, w bibliotece natrafiłem na książkę Enno Meyera, zachodnioniemieckiego historyka, nauczyciela w Oldenburgu, jednego z pionierów rozmów o polsko-niemieckich podręcznikach. To była „Moja droga: o początkach niemiecko-polskiej komisji podręcznikowej”. Odkrywcza lektura, pokazująca inne spojrzenie na nasze relacje. Ani pozytywne, ani negatywne, ale wychodzące poza schemat.

Zrozumiałem, że jeśli chce się zajmować Niemcami, trzeba się trochę napracować, nazbierać źródeł, skonfrontować się z innymi spojrzeniami.

A pan mówi po polsku?

DN: – Niestety nie. Znam tylko kilkanaście podstawowych zwrotów: dzień dobry, dziękuję, przepraszam.

Bez znajomości języka można zrozumieć Polskę i Polaków?

– Można. Nie jestem w stanie policzyć, w ilu spotkaniach z Polakami brałem udział w ciągu minionych 25 lat. Jako poseł od samego początku zaangażowałem się w nasze relacje: w kwestie odszkodowań dla robotników przymusowych, w sprawy związane członkostwem Polski w UE. Jeszcze przed 2004 r. zjechałem całą Polskę i rozmawiałem chyba z każdym polskim politykiem. Polacy otwierali mi oczy.

Podczas negocjacji akcesyjnych żyłem nadzieją, że oto Europa się jednoczy. Zachód łączy się ze Wschodem i wszystko będzie dobrze. Poznając Polskę, poznałem rozmiary zachodniej naiwności i ignorancji.

Nie chodzi tylko o to, że miałem luki w wiedzy o historii. Wiedziałem, czym było Święto w Hambach [złot i demonstracja 30 tys. Niemców domagających się zjednoczenia kraju, które miały miejsce w maju 1832 r. na zamku w Hambach w Nadrenii-Palatynacie]. Nie miałem pojęcia, że ludzie tak licznie zgromadzili się, by solidaryzować się z powstańcami listopadowymi. Że przyszli pod zamek z polskimi flagami. Nie wiedziałem, czym było to powstanie, nie znałem hasła „za wolność waszą i naszą”.

Wiedzę o walce o wolność w czasach komunizmu przekazywali mi uczestnicy tamtych wydarzeń: Lech Wałęsa, Bronisław Geremek. I zdałem sobie sprawę, że Zachód, elity w Bonn, Paryżu, Brukseli popełniają błąd, zakładając, że w Europie Środkowej to żyją ich ubodzy kuzyni, którzy muszą się na gimnastykować, byśmy mogli wpuścić ich do naszego klubu. Ale gdy to się już stanie, to będą tacy jak my. Nikomu nie przychodziło wówczas na myśl, że ten klub będzie musiał się zmienić, bo wejdą do niego ludzie o zupełnie innych korzeniach i wrażliwości.

Pod wpływem Polski zmieniłem spojrzenie na Zachód, stałem się bardziej krytyczny.

W relacjach polsko-niemieckich w przeszłości było już lepiej niż teraz.

– Kiedyś było łatwiej. Gdy runęła żelazna kurtyna, entuzjazm był wszędzie. Łatwo było mówić o pojednaniu, bo w Polsce przyjmowano nas życzliwie, wyrozumiale. Temat odkupienia niemieckich zbrodni nie miał kluczowego znaczenia. Ważniejsza była transformacja, budowa gospodarki rynkowej, modernizacja. Dramatyczną historią zajmowali się eksperci, intelektualiści, a nie politycy.

W takich warunkach dla Niemców pojednanie z Polską było proste. W sumie za proste, niektórzy mówili o nawet „kiczu pojednania”.

Myszę, że nawet gdyby nie było ośmiu lat rządów PiS i tyrad Jarosława Kaczyńskiego, to obecnie, w chwili, gdy Polska odnotowała wielki gospodar-

Dieter Nietan:
Nawet gdyby nie było ośmiu lat rządów PiS, to w chwili, gdy Polska odnotowała wielki gospodarczy sukces, gdy jest ważnym sojusznikiem w NATO, nadszedł czas, by zająć się przeszłością. Tym, co działo się podczas niemieckiej okupacji, czym dla Polaków była Jalta



czy sukces, gdy jest ważnym sojusznikiem w NATO, nadszedł czas, by zająć się przeszłością. Tym, co działo się podczas okupacji, czym dla Polaków była Jalta.

Musimy się temu przyjrzeć, wsłuchać w głosy z Polski i zadać sobie pytanie: czy my, Niemcy, zrobiliśmy wystarczająco, by zadośćuczynić Polakom za krzywdy? Czy należy się z tym pogodzić, że w niemieckich szkołach tak mało mówi się o polskiej historii, że tyłu naszych polityków myli powstanie warszawskie z powstaniem w getcie warszawskim?

To, że w Polsce padają krytyczne pytania, uważam wręcz za konieczne. Chciałbym jednak, by dyskusja odbywała się konstruktywny, a nie tak, jak za rządów PiS. Polska i Niemcy muszą wzmocnić fundament zjednoczonej Europy, wspólnie bronić europejskich wartości wobec zagrożenia ze strony imperialnej Rosji.

KR: – Byłem zaskoczony tym, co kilka lat temu zaczęło dziać się w naszych relacjach. Ta ostra antyniemiecka retoryka nie rozwiązała przecież żadnego problemu. Może trzeba pewne rzeczy zacząć tłumaczyć od początku? Gdzie była Polska 30 lat temu, gdzie byli Niemcy. Co wtedy można było realnie załatwić? W latach 90. stworzono dobre ramy dla relacji Polski i Niemiec. Podpisano traktaty, graniczny i o dobrym sąsiedztwie, powstał Trójkąt Weimarski, Polska weszła do NATO, do Unii.

Działy się wielkie rzeczy, choć zabrakło refleksji nad tym, czego od siebie oczekujemy. Moje pokolenie urodziło się dwie dekady po wojnie. Dlatego więc tak wielką rolę w naszych relacjach odgrywa nadal przeszłość? Być może dlatego, że mówiono o niej w XXI w. za mało i teraz trzeba to zmienić. Widać potrzebę wśród młodego pokolenia, by tematy z przeszłości poruszać.

Antyniemiecką kampanię PiS da się odkręcić?
– To nie będzie proste. Ale zobaczmy, jak daleką przeszliśmy drogę. To cud, że mimo wojny jesteśmy dziś w stanie rozmawiać o dobrym polsko-niemieckim sąsiedztwie i współpracować.

Spójrzmy, jaką rolę pełniły wobec siebie. My dla Niemiec, Niemcy dla nas. To mówi chyba wszystko. Faktycznie chcemy to wszystko zniszczyć i wycofać do okopów?

Mamy w Polsce do współczesnych Niemiec uzasadnione pretensje. Przez lata współpracowaliście z Rosją Putina.
DN: – Błędna polityka wobec Rosji nie zaczęła się za czasów kanclerza Gerharda Schrödera. I w dużej mierze kontynuowała ją Angela Merkel. Nasz naiwnie życzliwy stosunek do Rosji miał wiele przyczyn.

Byli Niemcy, którzy romantyzowali Rosję z dobrych pobudek, pamiętając, że mieszkańcy ZRR zapłacili olbrzymią cenę za wyzolenie Europy od nazizmu. U nas, na lewicy, zawsze istniał moralny odruch wobec ofiar, przekonanie, że mamy wobec Rosji dług, nie możemy jej traktować jak innych krajów. Byli też i tacy, którym zamarzyło się, że oś Paryż, Berlin, Moskwa będzie rządzić Europą ponad głowami innych krajów.

Dziś trudno znaleźć polityka, który powie, że nasza polityka wobec Rosji była dobra. W mojej partii, SPD, trwa ostra dyskusja. Choć trzeba przyznać, że podobnej debaty nie ma w CDU, a to przecież kanclerz Merkel kontynuowała politykę uzależniania się od rosyjskiego gazu. To za jej rządów rozpoczął się upadek Bundeswehry. A jako osoba wychowana w NRD powinna była mieć do Rosji bardziej realistyczny stosunek.

Jeśli chcemy odzyskać zaufanie, musimy pokazać, że uczymy się na błędach. Być w czołówce, jeśli chodzi o wspieranie Ukrainy i przeciwdziałaniu rosyjskiej hybrydowej agresji.

Z Niemiec płyną niepokojące sygnały. W nowym budżecie nie ma pieniędzy na pomoc wojskową dla Ukrainy
– Bardzo mnie irytuje, że spór dotyczący polityki budżetowej wewnątrz rządu koalicyjnego prowadzi do wrażeń, które są błęd-

ne i szkodzą Niemcom. Obiecane na ten rok 7 miliardów euro na wyposażenie wojskowe Ukrainy zostanie w pełni przekazane.

W porozumieniu z Ukrainą zamówiliśmy sprzęt wojskowy i amunicję, aby zapewnić ciągłość dostaw. Konkretnie: do końca 2024 r. dostarczymy dwa kolejne systemy obrony powietrznej IRIS T SLM i dwa IRIS T SLS, 10 czołgów przeciwlotniczych, 16 haubic samobieżnych, drony bojowe, amunicję artyleryjską i pancerną, a także kolejne czołgi Leopard I. Również w 2025 r. Niemcy pozostaną największym wspierającym Ukrainę w Europie – dostarczymy ponad 20 haubic samobieżnych, 20 bojowych wozów piechoty Marder, 37 czołgów Leopard I, pięć czołgów przeciwlotniczych Gepard, trzy kolejne IRIS T SLM, trzy kolejne IRIS T SLS oraz dwa systemy obrony przeciwlotniczej Skynex. Do tego dojdą dziesiątki tysięcy sztuk amunicji artyleryjskiej i pancernej. Jednocześnie będzie kontynuowane szkolenie dziesiątek tysięcy ukraińskich żołnierzy w Niemczech.

Kanclerz Scholz jasno dał do zrozumienia, że Ukraina otrzyma pomoc, której potrzebuje – niezależnie od tego, czy jest ona już uwzględniona w budżecie, czy nie.

Niemcy milczały też, gdy rząd PiS dewastował polską demokrację, niszczył państwo, niszczył kobiety.
– W niemieckiej polityce zagranicznej zawsze była taka tendencja, by nie wdawać się w nieprzyjemne dyskusje z zaprzysiężonymi państwami. Rząd nie wypowiadał się też krytycznie o Orbanie czy o rządzie Włoch, w skład którego wchodził skrajnie prawicowa Liga. Spójrzmy, jak dobre relacje w przeszłości Niemcy utrzymywały z RPA czy Chile. Tam notorycznie lamano podstawowe prawa człowieka, a niemieckie elity polityczne milczały. Zobowiązaliśmy się, by polityka zagraniczna opierała się na wartościach, ale im ściślejsze były związki gospodarcze, tym więcej wody w usta politycy nabierali w sprawie wartości.

Oczywiście dziennikarze i działacze organizacji pozarządowych wcale nie milcze-

**Krzysztof Ruchniewicz:
Premier Tusk dostrzegł,
że kanclerz Scholz
– mimo zawahania
na początku wojny
– będzie najlepszym
partnerem,
jeśli chodzi o stawienie
czoła Rosji
i innym autorytarnym siłom**

li. Ale druga kwestia to ignorancja zachodnich elit wobec osiągnięć Europy Środkowo-Wschodniej, wkładu tamtejszych społeczeństw do historii europejskich idei, cywilizacji, integracji, wolności. Ta ignorancja wobec Polski w ostatnich latach się umacniała. Bo „sako w Polsce rządzą tacy ludzie i skoro mówią o nas złe rzeczy, to po co się z nimi zadawać”. To był błąd.

Na szczęście ta postawa nie dotyczyła wszystkich. Znam wielu polityków i działaczy społecznych, którzy wspierali polskie kobiety w ich walce z przepisami dotyczącymi aborcji, którzy jeździli do Polski na demonstracje, relacjonowali je w Niemczech, zbierali podpisy.

Zawsze jest tak, że społeczeństwo obywatelskie reaguje szybciej. Przypomnijmy, jak Niemcy zachowywali się w stanie wojennym. Paczek z pomocą humanitarną nie wysłał rząd, ale związki zawodowe i organizacje kościelne.

Jeśli relacje polsko-niemieckie mają się rozwijać, to musimy wzmacniać społeczeń-

stwo obywatelskie, które zawsze działa bardziej konsekwentnie, szybciej, nie tak dyplomatycznie, jak rządy. To jemu zawdzięczamy, że mimo ośmiu lat rządów PiS, stosunki polsko-niemieckie się nie rozleciały.

W lipcu odbyły się pierwsze od sześciu lat polsko-niemieckie konsultacje międzyrządowe. Spodziewaliśmy się spektakularnego przełomu. Ale go nie było.
KR: – Bo nie o przełom nam chodziło, tylko o zbliżenie i podział zadań. Od wewnątrz wyglądało to zupełnie inaczej niż w relacjach mediów. Wśród polskich i niemieckich ministrów, którzy na kończącym konsultacje spotkaniu przedstawiali plany współpracy, był spory entuzjazm. Między Polakami i Niemcami pojawiła się tzw. chemia.

Musimy pamiętać, w jakim punkcie się znaleźliśmy. Konsultacji nie zwolowano przez sześć lat, ministerstwa nie współpracowały, urzędnicy się nie znali, zerwano wiele kontaktów. Trudno się spodziewać spektakularnych obwieszczeń w takiej sytuacji. Najpierw trzeba odbudować relacje. I to sta się priorytetem, po naprawie relacji z UE i uruchomieniu Trójkąta Weimarskiego.

Ja jestem z konsultacji bardzo zadowolony. Spotkanie pokazało, że możemy myśleć o relacjach nie tylko z politycznej perspektywy. Zresztą głośne zapowiedzi nie zawsze są receptą na sukces. Po konsultacjach międzyrządowych w 2011 r. ogłoszono liczącą ponad 100 pozycji listę wspólnych przedsięwzięć. I szybko o większości zapomniano. By uniknąć powtórek, umówiliśmy się, że co roku będziemy raportować, co konkretnym ministerstwom udało się zrobić.

DN: Nie dziwię się, że były większe oczekiwania. Rekordowa frekwencja w zeszłorocznych wyborach parlamentarnych pokazała, że ludzie domagają się od polityków o wiele więcej, także, jeśli chodzi o relacje międzynarodowe. Wcześniej ministerstwa przygotowywały się do konsultacji przez rok, a nawet dłużej. Teraz miały jedynie sześć miesięcy. A szuflady były puste.

Nie boicie się, że z powodu polskiej polityki wewnętrznej w naszych relacjach nie wiele będzie się działo? PiS będzie kreował obraz złych Niemiec, premier Tusk, by nie wystawiać się na ataki, będzie trzymać wobec Niemiec dystans?
– Nigdy nie było większej potrzeby, by Polska i Niemcy współpracowały lepiej i ściślej. Nie chodzi o bezpieczeństwo i wolność mieszkańców Polski i Niemiec, ale całej Europy.

Jeśli chodzi o premiera Tuska, to on bardzo angażuje się w politykę europejską, by krajów UE nie ogarniało znużenie wojną w Ukrainie, by nie bagatelizowali zagrożenia ze strony rosyjskiego imperializmu.

Tusk dostrzegł, że jeśli chodzi o sposób myślenia, to kanclerz Scholz – mimo zawahania na początku wojny – będzie najlepszym partnerem, jeśli chodzi o stawienie czoła Rosji i innym autorytarnym siłom. Kiedyś mówiło się, że jeśli Polakom i Niemcom uda się razem zrobić coś dobrego, to skorzysta na tym Europa. Teraz jest tak, że jeśli będziemy lepiej współpracować w NATO czy pomagając Ukrainie, to przełoży się to na znaczną poprawę naszych relacji.

KR: – Mamy do rozwiązania konkretne problemy, które mają też europejski wymiar. Weźmy wyzwania w polskiej polityce obronnej.

W interesie Niemiec leży udzielenie nam wsparcia, bo Polska, broniąc wschodniej flanki NATO przed różnymi zagrożeniami ze Wschodu, broni całej Wspólnoty.

Tu musimy iść do przodu, potrzebne są konkrety, a nie ogólne. W sprawach współpracy wojskowej oczekujemy od Niemców odwagi. Nie możemy tracić czasu

Wszystko dobrze brzmi, dopóki nie rozpęta się kolejna wielka awantura o historię, o to, że Niemcy pomniejszają swoją odpowiedzialność.
DN: – Odpowiedzialność Niemiec za zbrodnie wojenne nie ma daty ważności. Ona będzie trwać zawsze, choć jeśli społeczeństwa nie będą pielegnować pamięci o tragedii, do

której doprowadziły nazistowskie Niemcy, ona z czasem wyblaknie. Odchodzą od nas ostatni świadkowie tamtych czasów.

Do tego nie można dopuścić. Niemcy muszą wyciągać lekcje z historii. To nie znaczy, że należy otworzyć kilkadziesiąt nowych muzeów poświęconych wojnie, choć kilka z pewnością by się przydało. Chodzi o wielkie gesty zadośćuczynienia, które powinny pojawić się jak najszybciej.

Jedną z lekcji, jaka płynie z historii było to, że tzw. appeasement, polityka ustępstw wobec Hitlera, pomogła mu urosnąć w siłę i nabrać przekonania, że może robić, co chce. Dlatego Niemcy muszą teraz zachować czujność i szybko reagować na zagrożenia. Stać po stronie ludzi z Europy Wschodniej, Polaków, Białych, Czechów, Słowaków, po stronie demokratów z Białorusi i odpierających rosyjską inwazję Ukraińców.

Polityk PiS powie, że gestem zadośćuczynienia byłoby wypłacenie przez Niemcy 1,3 biliona euro reparacji.
– Tak radykalne żądanie powoduje tylko tyle, że wszystkie siły polityczne w Niemczech uznają, że rozmowa o zadośćuczynieniu Polsce nie ma sensu, bo poprzeczka jest zawieszona zbyt wysoko. Nie da się jej sięgnąć, dyskusja jest trudna do wyobrażenia.

Tak uważają też ludzie tacy jak ja, którzy chcą dla Polski zadośćuczynienia. Szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski zaufał Niemcom, że w poczuciu odpowiedzialności będą sprawiedliwi i kreatywni. Te słowa oznaczają o wiele mocniejszą presję niż żądanie wypłaty astronomicznej kwoty. Hasło 1,3 bln reparacji można skwitować wzruszeniem ramion, ale gdy polski minister mówi: wymyślcie coś, to musimy wrócić z sensownymi propozycjami

KR: – W ramach zadośćuczynienia powinniśmy przede wszystkim myśleć o żyjących ofiarach wojny, które potrzebują wsparcia i opieki [MSZ oszacował ich liczbę na ok. 60 tys.] Druga sprawa to budowa Domu Polsko-Niemieckiego w Berlinie, który miałby też być pomnikiem dla polskich ofiar wojny. A trzecia to udział Niemiec w zapewnieniu Polsce bezpieczeństwa.

Mamy wiele propozycji, będziemy je szczegółowo omawiać, wierzę, że nie potrwa to długo. Zbyt wiele od tego zależy. ●



Prof. Krzysztof Ruchniewicz

• ur. w 1967 r., historyk, dyrektor Centrum im Willy’ego Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego, od czerwca pełnomocnik ministra spraw zagranicznych ds. polsko-niemieckiej współpracy społecznej i przygranicznej.



Dietmar Nietan

• ur. w 1964 r., polityk związany z SPD, od 1998 r. poseł do Bundestagu, członek zarządu SPD, od 2022 r. pełnomocnik rządu ds. polsko-niemieckiej współpracy społecznej i przygranicznej.



• 1 sierpnia, moskiewskie lotnisko Wnukowo. Putin wita swego ulubionego zabójcę Wadima Krasikowa, uwolnionego z niemieckiego więzienia.

FOT. EPA-EFE/MIKHAIL VOSKRESENSKIY/SPUTNIK/KREMLIN

TĘSKNIŁEM ZA TOBĄ, MORDERCO

Moskwa już gromadzi nowe zapasy zakładników, których będzie mogła wymienić na kolejnych aresztowanych na Zachodzie skrytobójców

Wacław Radziwinowicz

Wadim Krasikow, którego Putin wielkim nakładem trudów i zabiegów wyciągnął z więzienia, to tylko jeden z zawodowych zabójców otoczonych monarszą troską. Pan Kremla ceni ich zawodowy kunszt i potrzebuje ich usług.

Ćwierć wieku temu dzisiejszy przywódca Rosji szedł do władzy i zdobywał popularność jako bezkompromisowy przeciwnik tego, co nazywał „terroryzmem”. Dziś mistrzowie dzieł krwawych, nie tylko rodzimi, widzą w nim protektora i wybawcę.

Łaskawe pańskie serce zwietrzył w nim sławny jako „Szakal” lub „Carlos” światowy „terrorysta numer jeden”, czyli Wenezuelczyk Ilich Ramírez Sánchez, który trudem własnych rąk ufundował niejednego cmentarz w wielu miejscach globu.

Od 27 lat odsiaduje we Francji potrójne dożywocie. Nadziei na odzyskanie wolności jednak nie traci. A wiąże ją właśnie z Putinem, którego jeszcze w 2018 r. poprosił o to, by w uznaniu zasług oraz mogącego się przydać nowej ojczyźnie cennego doświadczenia profesjonalnego przyznał mu obywatelstwo Federacji Rosyjskiej, a potem jako rodaka wyciągnął z więzienia, wymieniając na jakiegoś schwytanego w Rosji zachodniego szpiega.

Odpowiedzi „Szakal” wciąż się nie doczekał, ale wieści o losie Krasikowa na pewno go pocieszyły. W końcu ten jego kolega po fachu też siedział w zagranicznym więzieniu skazany na dożywocie, choć wprowadzie na jedno.

Swojego protegowanego Putin w słynnym wywiadzie dla Tuckera Carlsona przedstawił tak: „Powiem panu, że w jednym kraju, sojuszniku Stanów Zjednoczonych, siedzi człowiek, który z pobudek patriotycznych zlikwidował w jednej ze stolic europejskich bandytę. Ten w czasie wydarzeń na Kaukazie kładł naszych żołnierzy wziętych do niewoli na drodze i samochodem przejeżdżał po ich głowach. Ale znalazł się patriota, który go zlikwidował”.

Pan Kremla nieźle nakłamał, choćby używając czasownika „znalazł się”. Wadim Sokołow, a z pasz-

Od 14 lat siedzi zabójca Litwinienki.

Tyle że nie w więzieniu, ale w Dumie.

Sąd brytyjski uznał Ługowoja za winnego morderstwa, a Putin nagroził go mandatem parlamentarzysty

portem na takie nazwisko „patriota” przyleciał z Warszawy do Berlina 23 sierpnia 2019 r., był na żołądź Kremla. W czasie krótkiej delegacji do Niemiec miał w mieście, w którym nigdy wcześniej nie był, spotkać i zastrzelić byłego dowódcę czeczeńskiego Selimchana Changoszwilego.

Zadanie wykonał w parku Tiergarten, przez który „cel” szedł do meczetu na piątkową modlitwę. Do ofiary, co jest jego firmową metodą, podjechał na rowerze. Naprowadzili go na nią – jak wykazało śledztwo – dwaj pracownicy ambasady Rosji w Berlinie, którym Niemcy wkrótce kazali opuścić kraj.

Kuratorem operacji, specjalnie dla niej zainstalowanym na stanowisku II sekretarza ambasady berlińskiej, był Kirill Żaro, syn generała FSB kierującego wydziałem zajmującym się eliminowaniem opozycjonistów.

Żaro juniora Niemcy nie wygonili od siebie. Po tym gdy wypadł z okna swojej ambasady, Rosjanie, nie pozwalając na przeprowadzenie sekcji zwłok, błyskawicznie wywieźli jego ciało do siebie.

Starannie przygotowana operacja się nie udała. Zabójca wpadł chwilę po wykonaniu zadania. I stanął przed sądem.

Sądzony był jako Wadim Sokołow. Bo z takim paszportem (autentycznym, ale wystawionym przez władze rosyjskie na nieistniejącego człowieka) przyleciał i upierał się, że tak się właśnie nazywa. Sędziowie mieli więc niezłą kabałę, próbując ustalić, kogo mają skazać. Pomogła niezdarność służb rosyjskich niedbale zacierających ślady.

Podejrzany miał już na koncie „incydent rowero-
wy”. 19 stycznia 2013 r. w mroźnej i zaśnieżonej Mo-
skwie podjechał na rowerze do biznesmena Alberta
Nazranowa i, tak jak sześć lat później w Berlinie, za-
strzelił ofiarę z pistoletu.

Tę robotę zamówili u niego i opłacili konkuren-
ci Nazranowa. A policja rozesłała za zabójcą list
gończy. Wkrótce potem list zniknął z kartotek in-
ternetowych – ale nie przepadł. Kopia zawieruszy-
ła się w zakamarkach sieci. Niemcy na nią natrafili.
I w końcu się dowiedzieli, że sądzą nie „Sokołowa”,
ale Krasikowa, człowieka o wielce barwnej prze-
szłości.

Jest w niej także zabójstwo Jurija Kozłowa, biznes-
mena i lokalnego polityka z karelskiej Kostomukszy
w 2007 r. Wykonując mafijne zamówienie, Krasikow
z dwoma współnikami zastrzelił go, ciało wywiózł do
lasu. Kompani trafili do aresztu. Krasikow nie.

Po tym gdy pan Kremla wyciągnął zabójcę z nie-
mieckiego więzienia, propaganda tworzy mu „pa-

Pomógł niezawodny Aleksander Łukaszenka, ła-
piąc pałętającego się po Białorusi Rico Kriegera
– z obywatela Niemiec zrobił terrorystę i skazał go
na karę śmierci. Berlin się złamał, doszło do wielkiej
wymiany agentów Moskwy na więźniów Putina.

I pan Kremla 1 sierpnia mógł na rządowym lotni-
sku Wnukowo objąć przy trapie swego wytęsknionego
mordercę i też usłyszeć od niego: – Bardzo tęskniłem.

W tym miejscu to nie było pierwsze takie powi-
tanie.

13 lutego 2004 r. Selimchan Jandarbijew, były pre-
zydent Czeceńskiej Republiki Iczkeria, przyjechał
z 12-letnim synem na piątkową modlitwę do meczetu
w Dosze, gdzie jako gość emira Kataru znalazł
schronienie przed ścigającymi go Rosjanami. Kie-
dy wrócili do samochodu, auto rozerwała eksplozja.
Jandarbijew zginął, syn został ciężko ranny.

Katarczycy szybko schwytali sprawców. Alek-
sandra Fetisowa, I sekretarza ambasady Rosji, jako



• Żołnierze polscy z jednostki artylerii przeciwlot-
niczej w rejonie Dworca Głównego podczas obrony
Warszawy w pierwszych dniach września 1939 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA 85. rocznica wybuchu II wojny światowej

Kazimierz Wierzyński*

Święty Boże

Święty Boże,
Święty Boże,
Święty a Nieśmiertelny!
Błogosław naszej broni;
Gdy ją przyłoży
Piechur do skroni,
Niech trafia najcelniej.

Święty Boże,
Wszechmocny a Tajemny,
Który jesteś w niebie!
Niech żaden nasz pocisk
I żaden wystrzał
Nie padnie daremny
W okrutnej potrzebie.

Święty Boże!
O sprawiedliwą bijemy się rzecz:
O naszą wolną wolę;
O naszą ziemię i morze;
O matki krzyż na czole –
Pobłogosław nasz miecz.

O polskie kości na Wawelu,
O cmentarze ojcowskie
Na których znak Twój świeci,
O lata przeszłe i przyszłe,
O nasze góry, o Wisłę,
O nasze żony i dzieci,
O dolę daleką i bliską,
O prawa ludzkie i boskie,
O wszystko.

Święty Boże,
Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny!
Błogosław odważnym i dzielnym,
Błogosław naszej wojnie,
Błogosław naszym wojskom
I naszemu męstwu!
Usłysz nasze wołanie,
Który jesteś z nami,
Wszechmogący Panie,
Daj nam zwycięstwo.

WARSZAWA, 30 SIERPNIA 1939

*Kazimierz Wierzyński

– 1894-1969, jeden z najbardziej znanych
polskich poetów XX wieku, prozaik, eseista.
Współtwórca grupy poetyckiej Skamander.
Od 1939 r. na emigracji. Wiersz za wydaniem:
Wierzyński, „Poezje zebrane”, zebrał Waldemar
Smaszcz, Wyd. Łuk, Białystok 1994.



Killer Krasikow dużo wie o swoim byłym szefie Putinie. Przesiedział u Niemców niemal cztery lata. I pary z gęby nie puścił. Jak przystało na człowieka mafii

triotyczną legendę”. On, co raczej jest prawdą,
w młodości walczył w Afganistanie. Miał też służyć
w specjalnych formacjach FSB, a nawet w elitarnej
„Alfie”, gdzie dorobił się stopnia pułkownika. Kreml
potwierdza, że tak było, ale może mamy do czynie-
nia z próbą zrobienia z bandyty do wynajęcia wier-
nego żołnierza ojczyzny.

Według „The Wall Street Journal” powołującego się
na amerykańskie służby Krasikow miał być osobi-
stym ochroniarzem Putina w czasie, gdy ten pełnił
funkcję wicemera Petersburga (wcześnie lata 90),
stałe towarzyszył szefowi, jeździł z nim na treningi
na strzelniczy.

Urzędnikowi rangi zastępcy szefa administracji
regionu (taki status ma Petersburg) nie przysługuje
opieka Federalnej Służby Ochrony. Albo więc goryla
dla Putina musiało opłacać merostwo, albo on sam
za własne pieniądze oddał się w ręce człowieka, któ-
remu ufał bezgranicznie.

A czasy były trudne. Wicemer zajmował się ak-
tywnie ciemnymi sprawami z szemranymi typa-
mi, którzy wodzili rej w mieście zwanym „kryminal-
ną stolicą Rosji”. Ręce maczał choćby w przekręcie
z przeznaczonymi na złom okrętami Floty Bałtyckiej,
za które nabywcy z Europy mieli zapłacić dostawami
żywności dla Petersburga. Statki odpłynęły, żywność
nie przyплыnęła. Dochodzenie w tej sprawie trwało do
momentu, gdy Putin przeszedł na Kreml i stał się kan-
dydatem na „następcę” Borysa Jelcyna.

Krasikow dużo wie o byłym szefie. Przesiedział
u Niemców niemal cztery lata. I pary z gęby nie pu-
ścił. Upierał się, że jest niewinny, trzymał się swo-
jej fałszywej tożsamości. Jak przystało na człowieka
mafii, zachował zasady omertvy.

A Putin, pewnie w obawie, że dawny goryl może
pęknać i pójść na współpracę z Niemcami, raz za razem
wysyłał sygnały, że robi wszystko, by go zabrać do siebie.

Wypróbowanym przez mafię argumentem nie
do odrzucenia było branie zakładników. Moskiew-
skie służby wzięły się do chwytania przebywających
w Rosji Amerykanów, którym dałoby się sfabryko-
wać oskarżenie o szpiegostwo czy przemyt narkoty-
ków i posadzić ich do maksymalnie paskudnego ła-
gru.

Putin brał Amerykanów, wierząc – jak uczyli go
na kursach w KGB – że całym Zachodem rządzi „wa-
szyngtoński komitet obwodowy”, a ten to już potrafi
nacisnąć na Berlin.

Nadzieje w moc „obkomu” okazały się płonne.
Niemcy nie widzieli interesu w oddaniu schwytane-
go u siebie mordercy w zamian za amerykańskiego
dziennikarza Evana Gershkovicha i byłego żołnierza
US Navy Paula Whelana, z których putinowskie sądy
zrobiły szpiegów.

chronionego immunitetem dyplomatycznym musie-
li wypuścić. A dwaj agenci GRU (wywiad wojskowy)
– Anatolij Bielaszkow i Wasilij Bogaczow (nazwiska
najpewniej fikcyjne) – stanęli przed sądem. Uniknęli
kary śmierci, ale dostali dożywocie.

Tak się jakoś złożyło, że w dniu, kiedy Katarczy-
cy ich aresztowali, Rosjanie zatrzymali na moskiew-
skim lotnisku Szeremietiewo trzech obywateli Kata-
ru lecących tranzytem z Mińska do Belgradu. Ich wi-
ną było to, że wyglądali ponoć jak ci, którzy niedaw-
no wysadzili w powietrze wagon stołecznego metra.

Zatrzymani poszli do aresztu FSB i tam jako ter-
roryści czekali, aż Putin i jego podwładni dogada-
ją się z emirem Kataru. Stanęło na tym, że Katarczy-
cy wychodzą, a Rosjanie wracają do kraju, gdzie od-
siedzą wyrok.

Wtedy też było uroczyste powitanie, czerwony
dywan, orkiestra na lotnisku. A potem morderców
już nikt nie widział. Wiadomo tylko, że Bielaszkow
i Bogaczow nigdzie w Rosji nie siedzieli.

Siedzi natomiast, i to od 14 lat, ale w Dumie An-
driej Ługowej, który jesienią 2006 r. otrul w Lon-
dynie radioaktywnym polonem byłego oficera FSB
Aleksandra Litwinienkę. Sąd brytyjski uznał go za
winnego morderstwa, a Putin nagroził dającym
immunitet mandatem parlamentarzysty.

Mówi się też, że tajnym rozkazem ojczyzna ude-
korowała go Złotą Gwiazdą Bohatera Rosji, najwyż-
szym orderem, tak jak kiedyś, też w sekrecie, uczciła
zasługi Ramóna Mercadera, zabójcy Lwa Trockiego.

Jednym z licznych morderców, których Rosja oto-
czyła specjalną troską, okazał się Tamerlan Esker-
chanow, jeden z zabójców opozycyjnego polityka
Borysa Niemcowa. Putin go ulaskawił, bo morderca
skazany na 14 lat więzienia zgłosił się do armii.

Do okopów pod ogień ukraiński nikt go jednak
odkupywać winy nie wysłał. Jest w Mariupolu i tam
„służy” w firmie, która handluje metalem szabrowa-
nym z ruin kombinatu Azowstal. A to ogromnie do-
chodowy biznes. I też nagroda za głośne zabójstwo.

Prawo do stali z Azowstali dostała rodzina Rusła-
na Gierimiejewa, oficera gwardii Ramzana Kadyro-
wa uważanego za organizatora zabójstwa Niemcowa.

Mordercy, których pan Kremla będzie nadal wy-
syłać na mokrą robotę za granicę, mogą liczyć na to,
że troska o nich nie ustanie.

Moskwa już gromadzi nowe zapasy zakładników,
których będzie mogła wymienić na kolejnych Kras-
sikowów. Ksenia Havana, obywatelka USA i Rosji,
15 sierpnia została skazana na 12 lat łagru „za zdra-
dę ojczyzny”, bo w lutym 2022 r. przelała 51,8 dola-
ra na ukraiński fundusz charytatywny. Wyrok wydał
ten sam sprawdzony sędzia, który na podstawie fał-
szywego oskarżenia niecały miesiąc wcześniej ska-
zał na 16 lat Gershkovicha. ●



Winnych zatonięcia „Bayesiana” i śmierci siedmiu osób jest dwustu dwóch. Nie ma wśród nich kapitała na jachtu.

Edyta Bryła

Lałoga popełniła serię błędów nie do opisanego, nie była przygotowana się na sztorm, o którym informowano w prognozach żeglugowych. „Na tej łodzi wydarzyło się coś niemożliwego”. „To była najbezpieczniejsza łódź świata, praktycznie niezatapialna”. „Gdyby załoga zrobiła, co trzeba, wszyscy pasażerowie poszliby spać po godzinie i następnego ranka z radością wznowiliby swój wspaniały rejs”. – to cytaty z oświadczenia Giovanniego Costantina z Perini Navi. Firmy, która zbudowała „Bayesiana” w 2008 roku.

„Gdyby ktoś mnie spytał tej nocy, podczas sztormu, na jakim żaglowcu na całym świecie chciałbym być, wybrałbym „Bayesiana””, – powiedział z kolei Gabriele Bruni, żeglarz, olimpijski trener.

Kto zatonął na „Bayesianie”, kto ocalał

W poniedziałek 19 sierpnia nad ranem u wybrzeży Sycylii „Bayesian”, luksusowy 56-me-

trowy superjacht za 40 mln euro, jednak zatonął. Pływał pod brytyjską banderą, stał w czasie katastrofy na kotwicy kilkaset metrów od portu Porticello. Na pokładzie były 22 osoby, zginęło siedem.

Kucharza Recalda Thomasa znaleziono już pierwszego dnia. Sześcioro pasażerów nurkowie wydobywali z dwóch kabin do piątku. Najpierw wyłowiono Jonathana Bloomera, członka zarządu banku Morgan Stanley i Chrisa Morvillo, amerykańskiego prawnika. Później wydobyto żony Bloomera i Morvillo: Judy, filantropkę i Nedę, właścicielkę marki biżuterii.

W czwartek wyłowiono ciało Mike’a Lyncha, gospodarza rejsu i właściciela „Bayesiana”, choć formalnie właścicielką była jego żona. To matematyk i twórca firmy technologicznej Autonomy – stworzyła wyszukiwarkę informacji po słowach-kluczach w dokumentacji wewnętrznej – z powodu której mówiono o nim: brytyjski Bill Gates.

Lynch nazwał jacht „Bayesian” od pojęcia wnioskowania bayesowskiego, metody wnioskowania statystycznego używanego przez Autonomy.

Miliarder świętował na jachcie zwycięstwo po trwającym 12 lat procesie sądowym z HP, któremu sprzedał swoją firmę za 11 mld dol. Ale po transakcji HP stwierdziło, że Lynch zawyżył wartość firmy o 8,8 mld dol. I poszli do sądu.

Kolejnego dnia wyłowiono ciało 18-letniej córki Lyncha, Hannah, która też miała powód do świętowania. Poprzedniego tygodnia odebrała wyniki matury i dostała się na Uniwersytet Oksfordzki.

Nie znaleziono ich w kabinach, w których spali, tylko na przeciwnej burcie – tam, gdzie jeszcze było powietrze, gdy ich sypialnie zalala woda.

Nurkowie mogli zanurzać się tylko na 10 minut za każdym razem, bo dłuższy czas przebywania na głębokości 50 metrów groził ich zdrowiu i życiu. Korzystali z pomocy robota, ale na drodze stały meble i inne przeszkody.

W katastrofie ocalali Angela Bacares, mama Hannah i żona Lyncha. Ayla Ronald, obrończyni Lyncha w sądzie i jej partner. A także Charlotte Golunski, jej partner i ich roczna córka. Golunski spała z dzieckiem na pokładzie – mówiła, że zasnęła tylko na dwie minuty – gdy jacht zaczął tonąć, i znaleźli się od razu w wodzie.

Prócz Recalda, ocalała cała załoga, czyli dziewięć osób. Służby mają teraz sprawdzić m.in., jak to się stało, że jest tak wiele ofiar wśród pasażerów, a wśród załogi tylko jedna. W sprawie prowadzone jest już śledztwo, które ma wykazać, czy to przez zaniechania załogi doszło do, jak określili to prokuratorzy, zabójstwa siedmiu osób.

Przypadek czy morderstwo

Nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności jest, że tydzień przed śmiercią Lyncha zabity został jego kolega biznesowy Stephen Chamberlain, współoskarżony w procesie. Wyszedł rano pobiegać i potrafił go samochód. Policja szuka sprawcy.

Zachodnie media zaczęły spekulować, czy śmierć jego, Lyncha i świty biznesmena – wszyscy na pokładzie byli jego praw-

nikami albo współpracownikami (Bloomberg wcześniej pracował u Lyncha) – na pewno była przypadkowa.

Zastanawiano się na tym zwłaszcza w świetle opinii, że „Bayesian” był niezatapialny, że to nienormalne, by jacht tej wielkości zatonął tak szybko, i że popełniono serię zbyt banalnych błędów, by uwierzyć, że to nie specjalnie. Załoga nie opuściła kilu i nie pozamykała okien, przez co jacht napelnił się wodą.

Ale przyczyną mogło być coś jeszcze bardziej nieprawdopodobnego. Włoskie służby ogłosiły na sobotniej konferencji prasowej, że jacht znalazł się w centrum prądu zstępującego, niszczycielskiego pionowego ruchu powietrza. Jest on jeszcze silniejszy od tornada i może strącić samolot.

Nieprawdopodobnego, bo to zjawisko rzadkie, ale jeszcze rzadziej może się zdarzyć, że w jego zasięgu będzie jacht.

Te kataklizmy oddziałują bowiem na niewielkich przestrzeniach – inny jacht niedaleko „Bayesiana” był nietknięty – i trzeba mieć okropnego pecha, by się akurat na nie nadziać. Alerty pogodowe ich nie przewidywały. W ciągu ostatnich 50 lat był tylko jeden przypadek podobnej katastrofy, w Nowej Zelandii, 10 lat temu.

Niezatapialny jacht nie istnieje

Dr inż. Artur Karczewski, kierownik kierunku studiów „Projektowanie i budowa jachtów” na Politechnice Gdańskiej wstrzymuje się przed oceną, co mogło się wydarzyć – woli poczekać na oficjalny raport.



• 19 sierpnia nad ranem u wybrzeży Sycylii zatonął „Bayesian”, luksusowy 56-metrowy superjacht
FOT. PERINI NAVI PRESS OFFICE/PAP/EPA

UTONĄŁ

Ale gdy pytam, czy statki mogą być niezatapialne, jak twierdzi twórca „Bayesiana”, Odpowiada że teoretycznie – tak.

Istnieje pojęcie stateczności awaryjnej, potocznie niezatapialności, które jest jednak modelem obliczeniowym. W rzeczywistości sploty kilku, najczęściej, czynników, sprawiają, że statki jednak toną. To czynniki ludzkie, pogodowe, techniczne.

Choć od zarania dziejów żegluga nie ustajemy w staraniach, by była ona coraz bezpieczniejsza, wciąż zaskakują nas nowe sytuacje. – Mimo automatycznych systemów sterowania, nawigacji satelitarnej, zwielokrotnionych systemów bezpieczeństwa, statki wpływają w wyspy, blokują kanały, nie widzą oczywistych przeszkód – mówi.

Choć usiłujemy przygotować się na wszelką pogodę i katastrofy naturalne, jesteśmy zaskakiwani jeszcze bardziej ekstremalnymi zjawiskami, niż dotąd przewidywaliśmy. – Zwłaszcza gdy nadchodzą gwałtownie, czasem nie potrafimy z nimi walczyć – mówi Karczewski.

O to, co mogło zdarzyć się na „Bayesianie”, pytam Dicka Beaumonta, prezesa firmy Kraken, producenta luksusowych jachtów, uważanych za jedne z najbezpieczniejszych na świecie. Firma jest zbazowana w Turcji, ale przenosi się do Gdańska. Z powodu kłopotów tureckiej gospodarki i, jak mówi Dick, polskiej „etyki pracy”. Kraken ma też dwoje polskich pracowników, projektanta Filipa Sochaja i architektkę Karolinę Pawłowską.

Beaumont uważa, że mit niezatapialności „Bayesiana” to bzdura. – Ale co to zna-

czy, że jest niezatapialny? Rosyjska bomba też go nie zatopi? – pyta. Przypomina, że superjacht miał najwyższy albo jeden z dwóch najwyższych masztów na świecie (72 metry), o wadze małego samochodu. – Gdyby niezatapialny jacht wpadł w jakiś kataklizm, maszt się złamał i spadł na pokład, to już nie masz niezatapialnego jachtu, tylko toniesz – kpi.

Tyle, że „Bayesianowi” potrzeba o wiele mniej, niż rosyjska bomba, by zatonąć. Beaumont tłumaczy dlaczego.

Czy kil musiał być opuszczony?
Żaglowe jachty morskie mają pod kadłubem kil, czyli obciążenie, które sprawia, że łódź po przechyleniu się wraca do pionu – jak wańka-wstańka. Przeciwdziała on sile wiatru oddziałującej na olinowanie i żagle, utrzymując łódź w pozycji pionowej.

Kiedyś można było przewidzieć z dokładnością do tygodnia, jak zmienią się wiatry w konkretnych miejscach w określonych porach roku. Dziś to niemożliwe

Od kilu, wielkości jachtu i jego takielunku zależy zdolność do stabilizowania jednostki. W przypadku jachtów jak te w Krakenie, kąt pochylenia jachtu może sięgnąć 120 stopni, co oznacza, że maszt może już być pod wodą, a łódź i tak wróci do pionu.

Ale w przypadku „Bayesiana” ten kąt wynosi 73 stopnie, gdy kil jest podniesiony, i 88 stopni, gdy jest opuszczony. To mało. Wiadomo już, że na „Bayesianie” kil nie był opuszczony, co jest jednym z zarzutów Giovanniego Constantina wobec załogi.

Do tego tzw. kąt zalewania – kąt pochylenia, pod którym woda zalewa pokład – jest na tym modelu statku niski, wynosi tylko 45 stopni. To znaczy, że jeśli kokpit jest otwarty, niewiele trzeba, by statek został w środku zalany. I to już kwestia słabości projektu.

Ale Beaumont mówi, że gdy jacht stoi na kotwicy, jak „Bayesian”, nigdy nie opuszcza się kilu. Nie opuszcza się go nawet podczas zwykłego pływania na silniku. Ma to sens tylko, gdy postawione są żagle. Przy czym nawet jeśli kil nie zdoła postawić jachtu, nie oznacza to, że on zatoni. Jacht powinien się po prostu obrócić wokół własnej osi, wyrzucić z drugiej strony i wrócić do pionu. Nie stało się tak, bo szybko nabrał dużo wody. Pytanie – jak.

Czy dlatego, że, jak mówił Constantino, załoga nie zamknęła okien i włazów? Eksperci powątpiewają, bo to wydaje się za mało. Nurkowie mówili, że widzieli otwarty właz, ale mogło go wyważyć ciśnienie wody.

Zdaniem Beaumonta, woda mogła zalać łódź przez kokpit, przez ciężkie szklane drzwi przesuwne, które są montowane na tych jachtach. Powinny być zablokowane, aby nie mogły się otwierać ani zamykać podczas żeglowania, ale nie gdy się stoi na kotwicy.

W razie sztormu też powinny być blokowane, ale tak się najprawdopodobniej nie stało. I to jest szerszy wątek, o którym branza milczy: bogacze na swoich superjachtach często nie współpracują z załogą w procedurach dotyczących bezpieczeństwa, jeśli narusza to ich komfort. Blokowanie drzwi jest jedną z tych procedur.

Constantino oskarżał też załogę, że mimo ostrzeżeń o sztormie nie obudziła pasażerów i nie zgromadziła ich w punkcie bezpieczeństwa. Ale dla pracujących na tego typu jachtach jasne jest, że w praktyce nigdy się tego nie robi.

– Nie jestem hazardzistą, ale postawię swoje pieniądze, że pasażerowie wydali polecenie, by im tej nocy nie przeszkadzać. Kapitan lub załoga, która podczas burzy każde bogaczom opuścić ciepłe łóżka i wyjść na zewnątrz, po prostu traci pracę – mówi Beaumont. Swoją drogą, dodaje, skoro twórcy statku uważają, że sztorm to powód, by pasażerowie szykowali się w kamizelkach ratunkowych na możliwą katastrofę, to jednak zaprzeczają niezatapialności statku.

– Nie wiem, czy byłaś kiedyś na superjachcie i miałaś nieprzyjemność poznania jego właścicieli. W większości są arogancy, a ich zachcianki przekraczają ludzkie pojęcie. Załoga jest pod ogromną presją, by je spełniać. Bywa, że żądają przysłania helikopterem zgrzewek wody Evian do kąpieli albo gazety.

Constantino mówił też, że procedura powinna była być taka: kotwica powinna być wciągnięta, kil opuszczony, silnik uruchomiony, bo stabilizować statek. Pytam, czy tak faktycznie kapitan powinien był zarządzić. Beaumont odpowiada: – Tak, ale tylko wtedy, gdyby miał szklaną kulę, która powiedziałaby, że przyjdzie prąd zstępujący. Sztorm, który zapowiadano, nie oznaczał takiej konieczności. A jak prąd zstępujący przyszedł, było już za mało czasu na te czynności. „Bayesian” zatonął przecież w ciągu kilkunastu minut.

Milionerzy i zmiany klimatu
Dla Beaumonta oczywiste jest też, dlaczego ocalała załoga: bo nie spała, tylko zaalarmowana złą pogodą pracowała, zapewne zamykała okna, skoro była burza, była w pogotowiu. Niestety, nie zdążyła zareagować.

Eksperci mówią też: jacht nie powinien w taką pogodę stać na kotwicy na morzu, tylko wpłynąć do portu. – Kolejna bzdura! Na jacht tego rozmiaru może nie być miejsca w marinie. A poza tym, miliony nie po to kupują takie jachty, by wpływać do portu, tylko chcą się trzymać z dala, mieć prywatność. Za to tyle płacą – mówi Beaumont.

Bo superjachty są ich hotelami, fanaberią i zabawką. „Bayesian” był używany do żeglugi, ale nie z pasji do żeglarstwa się je kupuje. Na statku tego rozmiaru sensowniej, dla żeglugi, byłoby mieć na przykład trzy maszty. – Ale wtedy nie wygrasz konkursu na najwyższy maszt świata – mówi Beaumont. – I w ogóle konkursu na to, kto ma największego.

Jego oburza, że za katastrofę obwiniani są kapitan i załoga. Wprost oskarża ich Constantino, czemu trudno się dziwić, bo na szali jest reputacja producenta, ale ich winę sugerują także prokuratorzy. – A ja wiem, kto jest winny. Winnych jest dwustu dwóch. Jest to Perini Navi, projektant Bayesiana i 200 polityków, którzy doprowadzili do katastrofy klimatycznej – mówi Beaumont.

Beaumont żegluguje od ponad 50 lat i mówi, że widzi, jak klimat się zmienia. Kiedyś można było na przykład przewidzieć z dokładnością do tygodnia, jak zmienią się wiatry w konkretnych miejscach w określonych porach roku. Dziś to niemożliwe.

Także tornada – nie tylko na morzach – mogą występować częściej i zwiększać ryzyko, właśnie przez zmiany klimatyczne. Według europejskiej bazy danych o ekstremalnych warunkach pogodowych na naszym kontynencie na lądzie występuje około 300 tornad rocznie (w 2021 roku w Czechach od jednego zginęło 150 osób) i 500 trąb wodnych.

Te ostatnie nie muszą występować tylko podczas dużych sztormów. I nie wszystkie zjawiska na wodzie są duże – części technologii nie rejestrują, wiadomo o nich z relacji świadków. Trąby wodne dodatkowo wydają się mniej groźne, bo nie zmiotą miasteczka, więc mniej się nimi interesujemy.

Jednak nie można ich ignorować. We Włoszech w latach 2001–2016 25 proc. trąb wodnych i tornad na wodzie dotarło do lądu. A wypadek „Bayesiana” pokazuje, że trzeba się przygotować też na kataklizmy na wodzie.

Wiadomo, że na występowanie tornad wpływa rosnąca temperatura. O lądzie wiadomo więcej. Choć coraz większe upały dotyczą całego południa, na lądzie w rejonie Balearów zdecydowana większość burz jest obserwowana jesienią, to we Włoszech częściej pojawiają się już w sierpniu, zwłaszcza w północnej części, gdzie gorące powietrze miesza się z chłodniejszym, płynącym z Alp.

Ale na wodzie sytuacja jest trochę inna i naukowcy wciąż próbują ją zrozumieć. Jak mówił w wywiadzie dla BBC Pieter Groenemeijer, dyrektor European Severe Storms Laboratory, organizacji, która pomaga w przygotowaniu się na gwałtowne burze, powiązanie trąb wodnych ze zmianami klimatycznymi wymaga większych badań.

Większość trąb wodnych obserwowana jest wciąż jesienią, jednak widać, że na Morzu Śródziemnym sezon sztormowy przesuwa się na sierpień. Przyczyną jest prawdopodobnie rosnąca temperatura mórz.

Mielibyśmy lepszy obraz sytuacji, gdyby służby meteorologiczne poszczególnych krajów częściej dzieliły się danymi. – Gdybyśmy rozpatrywali całą Europę jako jeden ciągły obszar, zobaczylibyśmy, że tornada nie są aż tak rzadkie. Przez to, że każdy widzi tylko swój skrawek mapy, nie doceniaamy zagrożenia. Wydaje się rzadkie i wtedy myślimy, że rzadkie by móc się na nie przygotować i wydać ostrzeżenia – mówi Groenemeijer.

Na raport z wypadku trzeba będzie czekać co najmniej kilka tygodni. Wyciągnięcie jachtu będzie kosztowało około 15 mln euro. ●

Narkobiznes w erze social mediów

HOLANDIA
OGŁASZA ALARM

Szefowie policji, burmistrzowie największych miast, członkowie rządu,
a także już 60 proc. obywateli uważa Holandię za „państwo narkotykowe”,
dokładnie w takim sensie, w jakim ten termin jest stosowany
wobec niektórych krajów Ameryki Łacińskiej.
Jak do tego doszło?

Berna González Harbour

EL PAÍS

ale pokolenie holenderskich nastolatków stało się celem mafii, które rekrutują ich do łatwego handlu narkotykami.

Gdyby ten reportaż miał ścieżkę dźwiękową, byłby to rap 16-letniego chłopca z jednej z tzw. trudnych dzielnic Amsterdamu. O dumie z przynależności. O lokalnej tożsamości. Ale nie tylko – także o bliznach po ciosach nożami i o przemocy, która każdego dnia zbiera żniwo na ich ulicach. Witamy w Holandii, która ma niewiele wspólnego z pocztówkowym wizerunkiem kraju rowerów i tulipanów.

„Jesteśmy spieprzonym pokoleniem”, wykrzykuje raper Jeninhio, szerzej znany jako C6ster, którego teksty uderzają ładunkiem emocji kogoś, kto nie jest już dzieckiem, ale przecież w pełni dorosłym też jeszcze nie. Dopiero sypie mu się pierwszy wąs, jest jednym z tysięcy nastolatków z przedmieść holenderskich metropolii, o których walczą dwie siły: zorganizowana przestępczość, która kusi szybkim i łatwym pieniędzmi, oraz szkoły i organizacje pozarządowe, które próbują zatrzymać ich po jaśniejszej stronie mocy, czyli prawa.

Towarzyszą mu Elaijah, który ma 15 lat, a już dwukrotnie został pchnięty nożem, i 13-letni Leonicio. Cała trójka nosi się podobnie: dresy, łańcuchy na szyjach, kaptury, wszystko ma sprawiać wrażenie ludzi, którzy widzieli już zbyt wiele w życiu, a czują, że muszą udawać, że widzieli jeszcze więcej. Przychodzą na spotkanie z kimś, kogo nazywają coachem. Ma na imię James, jest dorosłym, 29-letnim mężczyzną, który jednak potrafi mówić do nich w ich języku, m.in. dlatego że spędził swój okres dojrzewania w kolejnych zakładach poprawczych i więzieniach, zanim w końcu został pracownikiem socjalnym Adamas, organizacji próbującej wspierać nastolatków z trudnych dzielnic.

James jest przykładem wysiłków podejmowanych przez holenderskie państwo i społeczeństwo w celu ograniczenia dewastujących skutków decyzji, która przez wiele jest dziś uznawana za błąd: wprowadzenie w latach 70. tolerancji dla konsumpcji miękkich narkotyków, co jednak doprowadziło z czasem do poluzowania reguł i niekontrolowanego rozwoju rynku twardych

narkotyków. Posiadanie niewielkich ilości narkotyków jest w Holandii legalne, ale już nie ich produkcja czy handel, który – nie oglądając się na słabo egzekwowane prawo – dość szybko objął narkotyki syntetyczne, kokainę i heroinę.

Ten rynek rozkwitający równolegle z holenderską gospodarką jest obecnie powodem, dla którego Holandia jest uważana przez jej władze – od szefów policji po burmistrza Amsterdamu i ministra sprawiedliwości – a także przez 60 proc. obywateli, za „państwo narkotykowe”, dokładnie w takim sensie, w jakim ten termin jest stosowany wobec niektórych krajów Ameryki Łacińskiej. Jak do tego doszło?

Według Europolu, połowa z ponad 820 zidentyfikowanych siatek przestępczych, które działają na naszym kontynencie, zajmuje się głównie handlem narkotykami. A spośród wszystkich zaangażowanych w ten biznes nacji najliczniejszą są Holendrzy.

Holandia jest jak wielki, sprawny hub

Jedna z najsilniejszych sieci przestępczych, Mocro Maffia, rozprowadza po kraju tony kokainy i rozszerzyła już swoją działalność na m.in. Belgię i Hiszpanię. Jej struktura nie jest ułożona w formie piramidy, ale raczej rozkłada ryzyko na różne grupy, czasami konkurujące ze sobą, które na własną rękę korumpują kolejne instytucje. Szefowie Mocro Maffii zyskali już taką pewność siebie, że otwarcie grozili byłemu premierowi Markowi Rutte, a nawet 20-letniej księżniczce Amalii Orańskiej.

„Holandia ma duże porty i lotniska, rozbudowaną infrastrukturę finansową i logistyczną – to kraj najgęściej pokryty węzłami transportowymi, po prostu nowoczesny superhub, który umożliwia handel narkotykami na wielką skalę. Właśnie to stworzyło tu grunt dla przestępczości zorganizowanej” – mówi Yarin Eski, profesor na Vrije Universiteit Amsterdam, ekspert w tej dziedzinie.

Związana z Marokańczykami mieszkającymi w Beneluksie Mocro Maffia odpowiada za morderstwa, które wstrząsnęły krajem. Po aresztowaniu jej lidera, Ridouana Taghiego (w tym roku skazanego na dożywocie, po przeprowadzonym w tym miejscu największym procesie karnym w historii Holandii, w którym skazano w sumie 16 mafiozów), zabito m.in. brata chronionego świadka koronnego, jego prawnika i dziennikarza badającego sprawę. Mieszkańcy Amsterdamu musieli przyzwyczaić się do odciętych ludzkich

głów podrzucanych przed coffee shopami, kontenerów morskich zamienionych w prawdziwe izby tortur, rozczłonkowanych zwłok, bomb podkładanych w całym kraju i laboratoriów narkotykowych ulokowanych w gospodarstwach rolnych i miejskich garażach.

Ale najbardziej szokujące było aresztowanie około 400 nieletnich zajmujących się rozprowadzaniem towaru i pobieraniem opłat w Rotterdamie – wszyscy przyznają, że ta liczba to tylko wierzchołek góry lodowej.

Można poznać po nowej parze drogich butów

Dzieci-pracownicy, dzieci-żołnierze. To pewna nowość w biznesie, który dotąd wołał, aby cały łańcuch dystrybucji pozostawała w rękach dorosłych. Tymczasem w ciągu ostatnich kilku lat odkrył zalety wykorzystywania dzieci nawet w wieku 12-13 lat w zamian za łatwe – i skromne z punktu widzenia mafii – pieniądze. Proces rekrutacyjny wykorzystuje rodzinne relacje dorosłych członków. „Najpierw zapraszają dzieciaki do domów znanych ze starszych roczników, oferują im darmowe ziolo i gry wideo. Potem stopniowo zaczynają wykorzystywać do własnych celów: rozprowadzania towaru, dźgania nożami, bójek z konkurencją, a nawet podkładania bomb pod auta” – mówi jeden z pracowników socjalnych.

„Zwykle zmiana jest widoczna jak na dłoni: zaczynają nosić ubrania z metką Gucci, modniejsze modele butów, mają po dwa telefony komórkowe i nagle sporą gotówkę. Wtedy już wiesz, że zostali zwerbowani” – mówi Geke Kersten, dyrektorka szkoły Leerpark w Arnhem.

Ta armia ma swoich generałów ukrytych w cieniu i żerujących na dzieciach z sąsiedztwa, takich jak Elaijah, Leonicio i Jeninhio. Ta trójka to Holendrzy z surinamskimi korzeniami, ale przestępczość zorganizowana nie pomija żadnej grupy etnicznej. Jak gorzko przyznaje burmistrz Rotterdamu Ahmed Aboutaleb, w mafii integracja działa znacznie lepiej niż w społeczeństwie: „Widzę tu Albańczyków z włoskimi paszportami, mieszkańców Afryki Północnej przybywających z Hiszpanii, Turków, Brytyjczyków, Holendrów, Irlandczyków... Nasze miasto to idealny przykład współpracy między wszystkimi mafiami na świecie. Globalizacja doskonała”.

Jest jednym z dwóch burmistrzów w Holandii, którzy wyróżnili się, próbując powstrzymać rekrutację dzieci przez mafie. Obaj urodzili się w Maroku i obaj są socjaldemokratami: 62-letni Aboutaleb został

w 2009 r. pierwszym pochodzącym z Magrebu burmistrzem dużego europejskiego miasta, Rotterdamu, a 55-letni Ahmed Marcouch, były policjant, a obecnie burmistrz Arnhem, tak bardzo zaangażował się w politykę antymafijną, że zyskał w mediach przydomek „Szeryf”.

Aboutaleb zmobilizował do współdziałania swoich odpowiedników z dużych miast portowych, takich jak Antwerpia i Hamburg, udał się także do kilku krajów Ameryki Łacińskiej, aby spróbować znaleźć wspólne rozwiązania wymierzone w przemyt narkotyków, oraz przewoźni inicjatywie Unii Europejskiej, która ma przeciwdziałać handlowi ludźmi już w krajach ich pochodzenia.

Marcouch z kolei wykorzystuje swoje doświadczenie z pracy na ulicach. „Kiedy byłem policjantem w Amsterdamie, łapaliśmy handlarzy w wieku od 23 do 25 lat, ale dziś widzimy, że za dużą część drobnego handlu odpowiadają dzieci w wieku 12 i 13 lat. Aby ich chronić, musimy prowadzić aktywną politykę represyjną, ale przede wszystkim inwestować w edukację, w poprawę wskaźników społeczno-ekonomicznych, bo to one sprawiają, że te dzieci trafiają na przestępczy rynek pracy” – mówi. „Gminy i państwa mają granice, ale przestępczość zorganizowana – nie, a jeśli nazywamy ją zorganizowaną, to dlatego, że jest ogarnięta znacznie bardziej niż nasz rząd w walce z przestępczością”, mówi Marcouch. Właśnie dlatego postawił na zwiększenie ilości działających w mieście trenerów ulicznych i pracowników socjalnych w szkołach i dzielnicach. Ma to na celu poznanie nastrojów i trendów w okolicy od podszewki, aby zapobiegać i szybko reagować, gdy pojawią się pierwsze oznaki nietypowej aktywności przestępczej.

„Przez ostatnich 15 lat kolejne holenderskie rządy zaniedbywały ten problem, nie nadawano mu właściwego priorytetu”, mówi Aboutaleb w budynku ratusza w Rotterdamie, liczącej ponad 600 tys. mieszkańców i tętniącej życiem metropolii, która rozwija się wokół największego portu morskiego w Europie. „Teraz widzę, że najbardziej narażeni na zły wpływ ludzie – młodzi z biednych dzielnic – są masowo rekrutowani przez przestępców do brudnej roboty. Dlatego się zmobilizowaliśmy”.

Port, przez który wpływa morze narkotyków

Z okien jego biura widać port: ocean setek tysięcy kontenerów przybywających każdego dnia z całego świata, przewożonych przez ponad 3000 firm, które konkurują w porcie



zatrudniającym ponad 100 tys. osób. Teren portu to labirynt na ponad 100 km kwadratów u ujścia Renu i Mozy, dwóch największych dróg wodnych w Europie. Ten port, przez który non stop przepływają kontenery z całego świata, to najlepszy obraz globalizacji, na której oparte są dziś nasze gospodarki.

Władze portowe i służby celne cały czas kumulują informacje. Po to, by nie rozpraszać swoich skromnych sił na przypadkowe poszukiwania. Chcą wiedzieć, które kontenery otworzyć. Ale mafie mają swoje sposoby na przeciwdziałanie.

Wyjaśnia nam to urzędnik władz portu, który wolał pozostać anonimowy. „Mają dwa etapy podejścia: najpierw delikatnie, aby sprawdzić, czy w ogóle możesz być im przydatny. Jeśli zdecydują, że tak, dowiadują się, gdzie twoje dzieci chodzą do szkoły, kim jest twoja żona, twoi rodzice. Śledzą cię, typują odpowiedni moment, a w końcu nawiązują kontakt, mówiąc: wiemy, gdzie twoje dzieci grają w piłkę, gdzie mieszkają twoi rodzice i gdzie pracuje żona... To nie wystarczy, żeby cię złamać, więc za chwilę grożą ci bronią, a jednocześnie wkładają pieniądze do kieszeni i mówią: zrobisz coś dla mnie. Wtedy oczywiście możesz iść na policję – ale przecież wiesz, że oni wrócą”.

Dyrektor urzędu celnego Peter Van Buijtenen mówi nam: „Kiedyś wracaliśmy do domów z pracy w mundurach. Metrem, pociągami, rowerami. Teraz nie możemy już tego robić. Mówimy naszym urzędnikom: niech nikt nie wie, że tu pracujesz”.

Władze portu w Rotterdamie rozwijają właśnie szkolenia pracowników, dzięki którym mają nie wpadać w pułapkę i nie dzielić się żadnymi informacjami z osobami postronnymi. To efekt masowych odejść pracowników, którzy pod rosnącą w ostatnich latach presją decydują się szukać pracy bez aż takiego ryzyka. Van Buijtenen, który pracuje w służbach celnych od 41 lat, właśnie doświadczył jednego z tych rozczarowań, które są tu powszechne: jego koleżanka z 35-letnim stażem została aresztowana za korupcję. Przekazywała mafii informacje, za nawet niezbyt duże pieniądze.

Bo ten interes, jak wiele innych, to zawsze jest kwestia informacji. Do ich zdobywania mafie wysyłają dzieci. A one nauczyły się także, jak dostać się do terminali i spędzić tam kilka dni, aż uda się zebrać i pogrupować rozproszone po kontenerach narkotyki. Nazywają to „pobytem w hotelu”, ponieważ w specjalnie przystosowanym kontenerze mają jedzenie, napoje, materace, baterie, grzejniki, pochłaniające wilgoc, odświeżacze powietrza, a nawet toalety.

200 mld dol. rocznie

Jesteśmy na pokładzie policyjnej łodzi patrolowej, którą zaalarmowało znalezienie torby z narzędziami do przepakowywania i konfekcjonowania ładunku narkotyków. Jej właściciele porzucili ją i tym razem udało im się uciec, ale ci oficerowie pamiętają, kiedy uratowali kilku chłopców uwieczonych w „kontenerowym hotelu”, w którym kończył się tlen. „Sześciu nastolatków zatrzaśniętych – jak myślisz, do kogo zadzwonili? Do ludzi, którzy ich tam wysłali? Nie. Zadzwonili do nas. Byliśmy jedynymi, którzy mogli ich uratować przed uduszeniem się” – mówi Hans, jeden z funkcjonariuszy policji portowej.

Jego kolega, Danny, wyciąga termos z gorącą kawą, częstuje nas, a my jesteśmy wdzięczni, bo chłód przenika aż do kości. Obaj są morskimi weteranami, spędzili dekady w holenderskiej marynarce wojennej, pływali po całym świecie – a teraz pracują w policji portowej w Rotterdamie, próbującej przeszkadzać mafii, której tutejsze obroty – według burmistrza miasta – to ok. 200 mld dol. rocznie.

Jonathan Abrahamse, doświadczony detektyw rotterdamskiej policji, mówi: „Każdego dnia mamy tu jakieś morderstwo, strzelaninę, eksplozję. Mój zespół ma obecnie na warsztacie 75 zabójstw”. To w większości efekt porachunków, głównie za długie, są też zabójstwa mające charakter przestrogi i zastraszania. „Za pomocą eksplozji małych bomb wysyłają wiadomość: wiemy, gdzie mieszkasz. Na miejscu eksplozji zwykle nie da się niczego od nikogo dowiedzieć, działa coś w rodzaju omertę” – mówi Abrahamse. „Dopiero gdy zdobędziemy telefon komórkowy ‘żołnierza’, robimy postępy. W tym [okoleniu] bowiem wszystko jest rejestrowane. Zdjęcia dzieciaków dzierzących broń, pozujących z workami narkotyków większymi od nich samych, nagrania pełne absurdałnej pomocy. I nawet cały łańcuch dowodzenia, jak na dłoni.

Bo podkładający bombę musi również nagrać eksplozję. Policja zna nawet przypadki, w których zleceniodawca zmusił do zaaranżowania ponownej eksplozji, ponieważ nagranie pierwszej nie było wystarczającej jakości. Detektyw pokazuje nam telefon jednego z aresztowanych nastolatków: „Ten miał 16 tys. zdjęć broni palnej na swoim telefonie”, mówi. Broń łatwo zdobyć, „wystarczy 500 euro i dwie godziny na Telegramie”, mówi. To samo dotyczy bomb: „jedna to wydatek sześciu euro, materiał wybuchowy o nazwie kobra, który pochodzi z Belgii, i trochę benzyny”.

Jakieś światelko w tunelu? Inspektor Abrahamse go nie dostrzega: „Pracuję tu

od 10 lat i widzę, że jest coraz gorzej. Wydaje się, że politycy zaczynają rozumieć problem, ale nie jestem optymistą. Jest coraz więcej broni, a angażowane dzieci są coraz młodsze. Za dużo ekstremalnej przemocy. Ta sytuacja to porażka całego społeczeństwa.

Burmistrz Aboutaleb twierdzi, że istnieje co najmniej dziesięć ogniw w łańcuchu pomiędzy tymi dziećmi a szefami mafii narkotykowych. Jeśli nawet któreś z tych ogniw namierzamy, inni zaraz ich zastępują. „Przykro mi to mówić, ale wraz z mediami społecznościowymi weszliśmy w nową erę rozwoju świata przestępczego. Wielką nowością tego pokolenia jest to, że kusząca tzw. oferta pracy dociera do nich nad ranem w zaciszu ich własnych pokoi, podczas gdy ich rodzice – jeśli mają przejmujących się czymkolwiek rodziców – jeszcze śpią za ścianą.

Każdy gram imprezowej kokainy to czyjaś krew

Sierżant Reiners de Groen, który zajmuje się „przechwytywaniem” chłopców, którzy stają się celem grup mafijnych, wie wiele na ten temat: „Wykorzystują biedne dzieci, które często albo nie mają rodziców, albo mają kłopoty w szkole, albo wierzą, że to przez ich niskie IQ nie będą w stanie znaleźć żadnej innej pracy. Takie nastolatki są typowane do rekrutacji, perswazją lub siłą: wciągają ich do aut i grożą, że pozabijają ich bliskich, w ten sposób także zmuszają dziewczyny do prostytucji, ostatnio wykorzystują zwłaszcza najbardziej narażone na brak wsparcia sieci społecznej imigrantki z Ukrainy”. Mówi o ofiarach tak zwanych kochanków, co jest kolejnym rosnącym zjawiskiem. Reiners jest jednym z najbardziej znanych policjantów w okolicy: chodzi do szkół i próbuje wyjaśniać młodym ludziom, dokąd mogą ich zaprowadzić te sposoby szybkiego zarabiania pieniędzy: w wersji optymistycznej – na lata do więzienia, w wersji realistycznej – do szybkiej i gwałtownej śmierci.

Saviera, jedna z charyzmatycznych aktywistek organizacji Adamas, wie wiele o tego typu prostytucji, która różni się od tej, którą świat kojarzy z amsterdamską dzielnicą czerwonych latarni – tej z branżowym związkiem zawodowym, ubezpieczeniami społecznymi itd. Podobnie jak James w przypadku chłopaków, Saviera stara się towarzyszyć dziewczętom, które przechodzą to, co ona sama w dzieciństwie.

„Pochodzę z rodziny totalnie przemocowej. Żyłam na ulicy od ósmego roku życia, narkotyki zaczęłam brać niewiele później, zostałam po raz pierwszy zgwałcona, gdy

• **„Wyjątkowo niebezpieczna kokaina jest sprzedawana turystom” – ostrzega elektroniczny billboard ustawiony na otocznym kawiarniami skwerze Thorbeckeplein w centrum Amsterdamu. Kilka dni wcześniej dwoje brytyjskich turystów zmarło w hotelu po zażyciu śmiertelnej dawki narkotyku (listopad 2014)**

FOT. EPA/ROBIN VAN LONKHUIJSEN

miałam 14 lat” – wylicza Saviera, która teraz ma 26 lat i małe dziecko. „Moja własna historia uczy mnie, że trafiasz na ulicę często w poszukiwaniu tego, czego ci brakuje w tzw. domu. Chodzi o wrażenie, że komuś wreszcie na tobie zależy. Takie dziewczyny szybko stają się ofiarami swoich ‘kochanków’. Kiedy już się zakochają, a do tego są dostatecznie uzależnione od narkotyków, zrobią wszystko, o co zostaną poproszone. Właśnie z takimi dziewczynami pracuję. Próbuje być dla nich kimś w rodzaju starszej siostry, która może wysłuchać ich bez presji, z czasem zdobywać zaufanie i dawać przykład, przeprowadzać je przez bagno ulicy. Czasami się to udaje. Czasami nie”.

Alper, Danny i Jermaine to z kolei street coachowie, pełną rolę swego rodzaju ulicznego patrolu, który stara się chronić dzieci przed przestępczością w Arnhem. Cała trójka przemierza okolicę ubrana tak samo jak obserwowane przez nich nastolatki i np. próbuje tłumić bójki, zanim przerodzą się w śmiertelne rozróby z pchnięciami nożem. „Tutaj pracujemy w porozumieniu ze szkołami, trenerami, władzami dzielnicy, pracownikami socjalnymi i policją – a cel jest jeden: zwiększyć bezpieczeństwo” – mówi Hans Jansen, który kieruje jedną z organizacji pracujących w projekcie Arnhem Safe Environment. Ale przede wszystkim wszyscy, którzy przy tym pracują, monitorują sieci społecznościowe. „Teraz wszystko zaczyna się tam. Wcześniej, żeby wejść w bagno, musiało wyjść na zewnątrz. Teraz wystarczy mieć zasięg i niefortunnym znajomym” – mówi Mustafa Amerizine z organizacji Am Support.

Do walki z kuszącą szybkim zarobkiem przestępczością wykorzystuje się sport, oferuje szkolenia i korepetycje, działa sieć specjalnych ofert legalnej pracy specjalnie dla nastolatków z grup ryzyka. „Chodzi o stworzenie pewnego rodzaju społeczności, w której tworzą się zdrowe więzi, a młodzi ludzie czują się bezpieczne, bo mają wsparcie grupy” – mówi Cem Sahiner, instruktor z Young Talents, organizacji z Rotterdamu, która angażuje setki dzieci w futbol czy zajęcia takie jak nauka fryzjerstwa.

Wysiłki są ogromne. Ale poczucie bezsilności jeszcze większe. „Narkobiznes wykorzystujący dzieci na ulicach podważa nasz system demokratyczny, nasze rządy prawa. Zakaża nasze instytucje, ponieważ dochodzi do normalizacji zażywania narkotyków” – uważa burmistrz Marcouh. Znacząca, że debata na temat legalizacji jest mile widziana, pod warunkiem, że towarzyszyć jej będzie debata na temat odpowiedzialności konsumentów: „Kiedy ludzie kupują np. ubrania wykonane przez przymuszane do pracy dzieci, wszyscy wiedzą, że jest to nieetyczne. Wszyscy konsumenci narkotyków także wiedzą, że w każdym gramie ich imprezowej kokainy jest czyjaś krew. Chodzi o to, co robisz z tą świadomością. Od tego zaczyna się walka ze zorganizowaną przestępczością”. •



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

„KASUJĘ CIĘ W 30 SEKUND”

**Kiedy zniszczona alkoholem
51-letnia kryminalistka z Torunia
sprąła na ringu młodszą o ponad
30 lat dziewczynę, która wcze-
śniej rzuciła jej syna
– i kiedy sędzia wśród wiwatów tł-
mu unosił w górę dłoń triumfator-
ki – ta nie mogła powstrzymać łez.**

Piotr Głuchowski

ostatniego dnia sierpnia 2024 roku kilkadziesiąt tysięcy widzów będzie oglądać na warszawskim Stadionie Narodowym, jak w ośmiokątnym ringu i w gladiator-skiej „klatce rzymskiej” o trzymetrowych bokach biją się po twarzach, odduszają i kopią zawodowi sportowcy, gwiazdy YouTube’a, sieciowi influencerzy obu płci oraz osoby lewitujące pomiędzy tymi kategoriami.

Impreza, podczas której nad widow-nią zawiesznie największy w Europie 50-metrowy ekran, zwie się FAME MMA – skrót od mixed martial arts, mieszanych sztuk walki. W ciągu ostatnich sześciu lat miała 21 edycji na coraz większych arenach sportowych, po każdej odsłonie widzów jedynie przybywa – bo też cała branża rozwija się dynamicznie.

Spośród prawie 60 tys. biletów na warszawską galę najtańsze kosztują 27 zł, a wejściówki do sąsiadującej z oktagonem strefy VIP – po 3 tys. sztuka.

Zwycięzcy walk dostaną nagrody sięgające miliona złotych na głowę, co zresztą nie jest rekordem, bo w kilkuletniej dopiero polskiej historii freak show fight zdarzały się już wyższe wypłaty.

Im bardziej osoba jest znana – tym lepiej

Coraz bardziej popularne widowisko zwane przez wszystkich zainteresowanych krócej – freak fight – ma dwie definicje. Wedle pierwszej to „walki, w których udział biorą osoby niekoniecznie zajmujące się tym rodzajem sportu na co dzień”; według drugiej to starcia „charakteryzujące się głęboką rozbieżnością w umiejętnościach lub wadze między zawodnikami”.

Skrót MMA oznacza tyle, że przeciwnicy bądź przeciwniczki leją się wedle reguł tego sportu, który przypomina skrzyżowanie zapasów z kick-boxingiem. Walczy się najczęściej boso i zwykle w rękawicach bez palców. 40 lat temu tego typu pojedynki – jeszcze w Polsce nieznane – nazywaliśmy wolno-amerykanką, bo w USA (a także Japonii) organizowano je od lat 30. XX wieku. Początkowo zasad nie było wcale: czarni bili się z albinosami, matki z córkami, szwajcarska kobieta z brodą walczyła z człowiekiem małopodem itd.

Na FAME MMA również bić się może każdy, kogo zakwalifikują organizatorzy. Im bardziej osoba jest znana – tym lepiej.

– Decydują zasięgi i rozpoznawalność – mówi mi rzecznik FAME Michał Jurczyga. – Staramy się balansować między sławnymi ze świata sportu a sławnymi z racji budzonych kontrowersji.

– Rozmawiamy z pięściarzami, aktorami, muzykami, a przede wszystkim z influencerami. Bywa, że menedżer danej osoby sam się do nas zgłasza, by podbić popularność swego podopiecznego – dodaje prezes FMMA Rafał Pasternak. – Niekiedy ustawiamy walczące pary tak, by ścierali się przedstawiciele podobnego środowiska: sportowiec ze sportowcem, youtuber z instagramerem. A czasem ich ciekawie krzyżujemy. W Warszawie bokser i były mistrz świata World Boxing Council Krzysztof „Diablo” Włodarczyk miał bić się z e-sportowcem Jarosławem „pashaBiceps” Jarząbkowskim, kilkakrotnym mistrzem świata w „Counter-Strike”. Czyli w grze strzelance, którą bawi się na świecie ponad półtora miliona osób jednocześnie.

Ostatecznie kilka dni przed galą FAME MMA odwołało udział Włodarczyka za „nieobecność podczas konferencji”.

Prócz zasięgów przepustką na ośmioboczny ring otoczony siatką może być także niecodzienny wygląd. W 2020 roku w Rosji profesjonalna zawodniczka MMA 60-kilogramowa Darina Madziuk biła się z 240-kilogramowym blogerem Grigorijem Czystjakowem, którego brzuch sięgał kolan. Zwyciężyła po 90 sekundach. Najpierw przetrwała morderczy klincz, a gdy już wyswobodziła się spod ciężkich rąk przeciwnika, tak długo biła go pięściami po głowie (również wtedy, gdy już leżał), aż ten poddał walkę.

Za odpowiednik tego pojedynku na polskich galiach FMMA można uznać rozegraną w 2019 r. walkę między 170-centymetrowym i 68-kilogramowym nastoletnim wówczas youtuberem Markiem „Lordem Kruszwiłem” Kruszelem a innym twórcą internetowym, starszym o sześć lat Mateuszem „Mini Majkiem” Krzyżanowskim, który z powodu achondroplazji mierzy 131 cm i waży 43 kilo.

Pierwszy zdobył popularność, a także wielu wrogów – udając milionera. Drugi wychował się w domu dziecka, potem pracował m.in. jako barman, przede wszystkim był jednak członkiem Ekipy – najpopularniejszej na początku obecnej dekady grupy kra-

jowych youtuberów. W oktagonie „Mini” zachował się dzielnie – kilkakrotnie zdołał schwycić kopiącego go „Kruszwila” za nogę i przewrócić, ostatecznie uległ jednak w drugiej rundzie zakończonej technicznym nokautem.

„Zrób mi loda szybko jak Niki Louda”

Organizatorem wszystkich gal FAME MMA jest zarejestrowana w podpoznańskim Swarzędzu spółka o tej samej nazwie. Z rejestru firm wynika, że ma 400 tys. zł kapitału zakładowego, a w 2022 r. zadeklarowała przychód w wysokości 12,5 mln zł.

1. Pierwszy z czwórki jej właścicieli, którzy w środowisku fanów określani są mianem włodarzy, to 36-letni poznaniak z pochodzenia Wojciech Gola, magister sportu i turystyki po tamtejszej AWF, szerzej znany głównie z ośmiokrotnego uczestnictwa w reality show pt. „Warsaw Shore”. W tym programie nadawanym przez MTV Polska ośmioro młodych ludzi pije, imprezuje i uprawia seks w różnych konfiguracjach.

Zaczynał – jak sam wyznał – od „tańczenia za drinki na Majorce”. Potem jeździł wyczynowo na rowerach SMX (nie mylić z kolarstwem). Krótko był współwłaścicielem serwisu plotkarskiego Dywanik.pl (projekt upadł), założył też dwie firmy od fotowoltaiki i pomp ciepła. Świetnie umięśniony i obficie wytatuowany chodzi w błyszczących kreacjach od Versace i wynajmuje mieszkanie w stołecznym wysokościowcu Złota 44.

Cena metra kwadratowego pod tym adresem przekracza 50 tys. zł, a apartament Goli metrów ma 120. Poza nim mieszka tam jeszcze 20-letnia partnerka celebryty Sofia oraz ich dwa warte po kilkanaście tysięcy dolarów oceloty Lambo i Layla, które z kolei mają swój – obserwowany przez prawie 20 tys. osób – profil na Instagramie (@Lamboandlayla).

Ważący 90 kg i mierzący 185 cm Wojciech również startuje z powodzeniem jako freakfighter. W marcu 2020 r., podczas szóstej edycji FMMA, pokonał nieco młodszego od siebie pochodzącego z Białegostoku patostreamera Marcina „Rafoni-xa” Krasuckiego (178 cm, 85 kg), który wcześniej zaskarżył wrzuconym do sieci filmem, gdzie kopie spotkanego na ulicy nietrzeźwego niepełnosprawnego. Za tego typu wybryki oraz „propagowanie nienawiści” i „rozpowszechnianie pornografii” Krasucki był wielokrotnie banowany przez YouTube – podobnie





jak kilku innych obecnie topowych freakfighterów. Jeszcze do niego wrócimy.

2. Drugim współwłaścicielem FMMA jest inny poznaniak, niespełna 30-letni Michał „Boxdel” Baron. Zaczynał jako nastolatek od pokazywania w sieci, jak świetnie gra w „Minecrafta” – surwiwalową grę wideo, którą pobrało ponad ćwierć miliarda graczy.

Dziś jego kanał na YouTube subskrybuje przeszło 1,7 mln widzów, a każdy tysiąc wyświetleń któregośkolwiek z zamieszczonych klipów – co ma fundamentalne znaczenie dla większości bohaterów niniejszego tekstu – oznacza od kilkudziesięciu groszy do kilku złotych dla twórcy treści (contentu). Kasa wpływa automatycznie i może być większa, jeśli internauta oglądający dany materiał kliknie w wyświetlaną przy nim reklamę. Do tego dochodzi lokowanie produktów plus sponsoring, czyli „umowy partnerskie” z firmami, które promują sieciowi celebryci.

Potencjalnie wysokość zarobków jest nieograniczona – mimo to „Boxdel” pracuje więcej: zarabia, walcząc w ramach FMMA i do tego rapuje pod pseudonimem „MASNY BEN”. Utwór pt. „Louda” („nie będę zgrywał Bonda, weź kurwa zrób mi loda, szybko jak Niki Louda”) uzyskał ponad 600 tys. wyświetleń już w trakcie pierwszych kilkunastu godzin po publikacji.

Austriacki mistrz świata Formuły 1 nazywał się oczywiście Niki Lauda, nie Louda, zaś kariera Mi-

chała Barona zawisła na włosku jesienią 2023 r., gdy jeden z najsłynniejszych polskich youtuberów Sylwester Wardęga ujawnił, że w poprzedniej dekadzie 19-letni „Boxdel” wysyłał „niestosowne” wiadomości dziewczynom niemającym jeszcze 16 lat. Po ujawnieniu skandalu, który miał większą liczbę „bohaterów” i zyskał nazwę Pandora Gate, Baron odszedł na krótko z FMMA, po czym rozbijając przyznał w sieci, że to odejście było „chwilowym zagranieniem w celu przeczekania problemów związanych z Pandorą”.

3. Trzecim współnikiem swarzędzkiej spółki i jej aktualnym prezesem jest cytowany już 42-letni Ślązak z Będzina – Rafał Pasternak. Nie należy go mylić z walczącym dla FAME zawodowym pięściarzem MMA Michałem „Wampirem” Pasternakiem (190 cm, 93 kg). Rafał wygląda zresztą groźniej od „Wampira”: podobnie łysy, lecz dwumetrowy, przeszło sto kilo wagi, bicepsy jak bochny chleba, chmurne spojrzenie.

Wychował się w Poznaniu, tu skończył liceum ekonomiczne, potem zgłębiał marketing, pracował jako kierowca na trasie Polska – Anglia, od 2007 r. prowadzi własną firmę transportową. Mieszka we wsi pod Swarzędzem, ma dwójkę dzieci z małżeństwa zakończonego rozwodem, trenuje różne sporty walki. Gdy rozmawialiśmy, miał rozcięty łuk brwiowy.

• **Od prawej: literat Jaś Kapela (66 kg) walczący z youtuberem Michałem „Bagietą” Gorzelańczykiem (70 kg) podczas gali Prime MMA (impreza podobna do Fame MMA) w lipcu 2023 r.**

FOT. ŁUKASZ KRUSIŃSKI / PRIME MMA

4. Czwarty ze współposiadaczy FMMA to wcześniejszy prezes tej firmy (obecnie wiceprezes) 47-letni Krzysztof Rozpara – urodzony w podkarpackim Krośnie, później mieszkaniec Poznania, obecnie łódzianin, mąż lekarki Kai Wińczyk-Rozpary i ojciec małego Kordiana. Parę lat temu Kaja świadczyła opiekę medyczną zawodnikom na łódzkiej gali i musiała też pomóc przyszłemu mężowi, którego powalił ostry atak alergii – w ten sposób poznali się bliżej. Oboje lubią sushi, koty (w domu są dwa) i budowanie z Lego – mają tych klocków cały pokój w swej nowocześnie urządzonej willi – zarazem biurze Krzysztofa.

Rozpara z wykształcenia jest informatykiem po Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, przez dwie dekady pracował w różnych firmach softwarowych, ostatnio kierował polskim oddziałem międzynarodowej korporacji tworzącej oprogramowanie dla sieci handlowych – Biedronki, Żabki, OBI itd. Z Wojciechem Gołą poznali się, jeszcze zanim powstał pomysł na rozkrzewienie w Polsce walk freakfighte-rów. Ich pierwszym przedsięwzięciem była aplikacja do wspólnego imprezowania – pomysł nie wypalił. Zorganizowali więc w relatywnie taniej do wynajęcia hali widowiskowo-sportowej w Koszalinie pierwszą edycję walk młodych ludzi podbijających YouTube’a (FMMA 1, 2018 r.).

Gwiazdą gali był 25-letni wówczas Daniel „Magical” Zwierzyński z Torunia, na którym się zatrzymam, ponieważ ten pionier polskiego patologicznego streamingu jest postacią emblematyczną dla całej rzeszy późniejszych uczestników walk w oktagonach i klatkach.

Pęknięta goleń Daniela „Magicala”

Podobnie jak „Boxdel” Baron, tak i Zwierzyński zaczynał przed kilkunastoma laty od prezentowania internautom własnych osiągnięć w gamingu. Tyle że nie grał w „Minecrafta”, ale w nieco mniej popularną, za to darmową grę fantasy „Tibia”. Grając, popijał alkohol i klócił się z notorycznie pijaną matką oraz jej jeszcze mocniej zalanym konkubentem, którego ta po pijaku biła. Tego typu sceny – jak szybko się okazało – przyciągały swym autentyzmem więcej widzów niż wygrywanie w „Tibię”.

Wkrótce na kanale Daniela można było podziwiać libacje z dojeniem wódki z gwinta, pełne najgorszych wyzwick awantury, domowe rękoczynny, wściekle demolowanie mieszkania, interwencje policji itd. Prócz pieniędzy z YouTube’a popłynęły donejty, czyli datki od widzów. Mieszkający w pruskiej jeszcze czynszówce na zaniedbanym toruńskim Podgórzu „Magical” zaczął zarabiać po kilkanaście tysięcy miesięcznie, więc było za co się bawić. Pijani domownicy sikali pod siebie, wymiotowali przed kamerami, wywoływali na wizji ducha Lecha Kaczyńskiego, a czasem ostro komentowali bieżący program TV.

Po ataku na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza z ust youtubera i jego matki padły słowa: „Niech zdycha”, „Niestety przeżył”. Tego niektórzy widzowie „Magicala” już nie wytrzymali – ktoś zawiadomił policję. Prekursor rodzimego patostreamingu i jego mama, znana już szeroko w sieci pod ksywką „Goha”, zostali na krótko zatrzymani, musieli wpłacić kaucję; on dostał zakaz streamowania. Ponieważ notorycznie go łamał i zmykał przed kuratorem, trzy lata temu poszedł siedzieć na kilka miesięcy.

Wcześniej zdążył wystąpić na FMMA 2 w poznańskiej Hali Arena, gdzie podczas walki jego goleń złamała się pod kątem prostym tak, że oderwana stopa z dolną częścią łydki zawisły na skórze. Kiedy nieszczesny padł na plecy, zwijając się z bólu, jego przeciwnik, wspomniany już Marcin „Rafonix” Krasucki (pogromca niepełnosprawnego), pochylił się nad ranym i zaczął go okładać pięściami po głowie.

Teraz filmy dostępne po wpisaniu w wyszukiwarce słów: „Daniel Magical łamie nogę na FAME MMA” zaliczają – w sumie szotów – ponad pół miliona wyświetleń, zaś sama walka torunianina z „Rafonixem” jest ważna dlatego, że stanowi przykład częstych i pożądanых przez publiczność pojedynków, podczas których freakfighterzy – przynajmniej deklaratywnie – usiłują rozwiązać na ringu wcześniej narosłe konflikty.

Spór Zwierzyńskiego z Krasuckim nie dotyczył jednak – jak mogliby sądzić naiwni – znęcania się nad niepełnosprawnym. Poszło o to, że niegdyś obaj tworzyli w świecie „Tibii” zespół, lecz kiedy w 2016 roku „Magical” musiał zrobić przerwę od streamingu, „Rafonix” zajął jego miejsce i zaczął streamować sam. Zwierzyński uznał, że kolega z sieci zbudował w ten sposób własną popularność – jak to ujął: „na jego plecach”. Potem młodzieńcy obrażali się w internecie, Marcin zamawiał prostytutki i wysyłał je Danielowi na toruński Podgórz o najdziwniejszych porach, za co adresat musiał oczywiście płacić. Wreszcie go po-

Marcin Matczak: Fascynacja walkami freakfighterów jest spowodowana narastającym przekonaniem, że rozwiązanie konfliktu to danie komuś „w ryj”. Tak wygląda przejście od demokracji do autorytaryzmu. Skończmy głądzić, weźmy się do rzeczy – mówią Konfederacja i niemiecka AfD

łamał: Zwierzyński pojechał z oktagonu na stół operacyjny.

„Linkimaster” ściska po walce „SeksuMASTERkę”

– Lepszym przykładem rozwiązywania sporów w ringu jest walka Anieli „Lil Masti” Bogusz z Martą „Linkimaster” Linkiewicz na naszej czwartej gali w Częstochowie i rewanż na piętnastej w łódzkiej Atlas Arenie – mówi mi Michał Jurczyga, który nie ukrywa, że dziś włodarze FMMA woleliby nie wracać do roztrząsania początków z udziałem „Magicala”.

34-letnia Aniela z domu Bogusz (dziś ma inne nazwisko, ale sieć zna ją pod panieńskim) zaczynała od wrzucania na YT uskutecznianych wspólnie z siostrą Adrianną ćwiczeń gimnastyczno-kulturowych. Ponieważ obie młode i zgrabne blondynki ćwiczyły niemal nago, a czasem w kostiumach z sex-shopu, „Lil Masti” zdobyła popularność, którą wykorzystała do stworzenia poświęconego już tylko erotyce kanału „SexMasterka”, w którym m.in. dzieliła się swoimi przemyśleniami na temat użycia wibratora („jestem od niego uzależniona”). Kierowany do młodych serwis Noizz.pl nazwał ją przed siedmioma laty „samozwańczą korepetytorką seksualną”, której „wulgarnie produkcje zatruwają polski internet”. Portal Interia określił ją mianem „patoinfluencerki”.

Jedną z osób krytykujących Bogusz była młodsza od niej instagramerka z 1,3 mln obserwujących – Marta Linkiewicz, która od drugiej klasy gimnazjum wrzucała do sieci klipy z imprez towarzyskich, by ostatecznie zasłynąć relacją z orgii, w jakiej wzięła udział m.in. z dwoma czarnoskórymi raperami z amerykańskiej hiphopowej grupy Rae Sremmurd. Wiosną 2019 r. Linkiewicz, która sama siebie określa jako patostreamerkę, nagrała nawiązujący do tego wydarzenia teledysk pt. „Wesoły autokar”. Już po dwóch miesiącach piosenka zaliczyła prawie 10 mln odsłon na YT.

– Marta „Linkimaster” krytykowała produkcje Anieli „SeksuMASTERki” i odwrotnie – tłumaczy dalej Jurczyga. – Dziewczyny pyśkowały sobie nawzajem w sieci, aż w końcu zgodziły się spotkać w oktagonie. Ich pojedynek – szczególnie drugi – był piękną i wyrównaną walką. Taką, która mogłaby uświadnić niejedną czysto sportową galę MMA. Po wszystkim zawodniczki nawet się uściskały, popłynęły łzy. Z nieco rozwydrzonych dziewczyn, którymi były przed kilku laty, zrobiły się z nich dojrzałe sportsmenki.

To prawda: w trakcie pisania tego tekstu obejrzałem ponad 50 walk FMMA i poprzedzających je wydarzeń medialnych (ważenie zawodników, wywiady itd.). Występujący regularnie freakfighterzy i freakfighterki z roku na rok są coraz lepiej umięśnieni (i mają coraz więcej tatuaży), u panów miejsce miękkich brzuchów zajęły „kaloryfery”, panie mogłyby być gwiazdami konkursów Miss Fitness.

– Czy wymagacie, aby ćwiczyli i rzeźbili ciała? – pytam Krzysztofa Rozparę.

– Tak. Są zobowiązani trenować – mówi współwłaściciel FAME. – W każdej umowie jest zapis, że zawodnik ma dać z siebie 100 proc. możliwości. A poza tym gwiazdy sieci nie mogą sobie pozwolić wizerunkowo, by wyglądać słabo. Szlifują formę na galę, jak tylko potrafią.

Jedynie Daniel „Magical” nie ma widocznych tatuaży, nie obrasta w mięśnie i dalej wygląda jak ziomek z Podgórze. Operację na oderwanej stopie przeżył. Z czasem przeniósł się z YT na TikTok, gdzie zgromadził przeszło 150 tys. obserwujących. Ostatnio opisywał go m.in. serwis naTemat.pl. Skrót artykułu: Nikola „Nikita” Biela, partnerka „Magicala”, przeprowadziła się do sypialni i na kanał innego internetowego celebryty – Amadeusza „Ferrari” Roślika.

„Mordobicie 19-letniej dziewczyny ze schorowaną kobietą”

Amadeusz i Nikola będą już ostatnimi przykładami ustawień zawodników w celu rozwiązywania sporów.



• Spory życiowe można rozwiązać w klatce oktagonu. Tak zrobiły dwie panie znane z internetu. Od lewej: Aniela „Lil Masti” Bogusz i Marta „Linkimaster” Linkiewicz podczas gali FAME MMA w Łodzi w sierpniu 2022 r. FOT. RAFAŁ OLEKSIWICZ / MATERIAŁY FAME MMA

„Ferrari”, pochodzący z Ustki syn przedsiębiorcy z branży rybnej i niedoszły magister skandynawistyki, przeszło sześć lat temu postanowił zdyskontować popularność „Warsaw Shore”, współorganizując w wyjątej willi w podkoszalińskim Mielnie streamowaną non stop autentyczną, ale nie reżyserowaną balangę pt. „YouTube Shore” (picie, plucie na siebie, brzydkie wyrazy, sceny damsko-męskie). Gdy impreza była już rozkręcona „bez jedzenia i bez spania, byle byłoby co pić”, Amadeusz pobił się o bułkę, którą rzekomo podjadała mu inna osobowość internetowa – Adrian „Polak” Polański.

Roślik (29 lat, 178 cm, 85 kg) zaatakował młodszego o dwa lata, niższego i lżejszego Polańskiego w mieleńskiej willi tak skutecznie, że nie tylko odzyskał resztę kajzerki, ale też obaj zostali zakontraktowani przez FMMA.

Emocje były wielkie – „Ferrari” rzucił się na „Polaka” już podczas ważenia przed galą numer cztery w Częstochowie (rozdzieli ich ochroniarze). W oktagonie mocniejszy okazał się jednak Polański.

Rok później, podczas rewanżu na siódmej FAME w łódzkim hotelu Hilton, Amadeuszowi udało się posłać Adriana na deski i „Ferrari” wygrałby może, gdyby nie odmówił sobie kopnięcia klęczącego już „Polaka” w skroń. Kopniak – wśród radosnych krzyków fanek Amadeusza z widowni – wyrzucił Polańskiego płasko na wznak, za co jego przeciwnik został zdyskwalifikowany.

31 sierpnia na Narodowym Roślik będzie miał trudniejsze zadanie: ma walczyć z Kamilem „Szczurkiem” Łaszczyskiem, który – jako jeden z wyjątków – nie jest sieciowym celebrytą, lecz profesjonalnym bokserem wagi piórkowej: waży co prawda niecałe 60 kg i mierzy 168 cm, ale bije się na zawodowych ringach od Nowego Jorku po Radom.

Teraz o drugiej ustawce. Nikola „Nikita” Biela po tym, kiedy odeszła od „Magicala”, stała się obiektem wulgarnej krytyki ze strony mamy „Gohy”. Interes zwietrzyli włodarze konkurencyjnej wobec FAME federacji Clout MMA. Jesienią 2023 r. sterana życiem 51-letnia i ponoć od kilku miesięcy trzeźwa Małgorzata Zwierzyńska (65 kg) stanęła w ringu plockiej Orlen Areny vis-à-vis młodszej o 32 lata „Nikity” (47 kg).

Przeciwko „walce alkoholizacji i kryminalistki z dziewczynką, która powinna chodzić do szkoły, a nie się bić”, zaprotestowała wówczas m.in. żona ministra w odchodzącym rządzie PiS, a wcześniej uczestniczka telewizyjnego programu Top Model – Marianna Schreiber. W apelu do prezydenta Płocka Andrzeja Nowakowskiego zapyta-

ła: „Czy Pan Prezydent chce, by miasto Płock było kojarzone z mordobiciem 19-letniej dziewczyny ze schorowaną kobietą z problemem alkoholowym, która mogłaby być jej matką? A co, jeżeli kobieta dozna ciężkich urazów wewnętrznych?”.

„Goha” żadnych urazów nie doznała. Wygrała z niedoszlą synową przez techniczny nokaut, wcześniej parokrotnie rzucając ją na deski. I uрониła łzę, gdy sędzia (na galach pracują zawodowi arbitrzy sportowi) podnosił w geście zwycięstwa jej spracowaną rękę, a kilka tysięcy widzów wzniesło szalony aplauz, jakiego nie mogła zaznać nigdy wcześniej.

Tymczasem Marianna Schreiber, która była już „za, a nawet przeciw” w kilku innych kwestiach (np. poparcia dla ruchu LGBT) zmieniła zdanie także na temat MMA. Zgodziła się wystąpić w oktagonie... przeciwko Zwierzyńskiej, którą wcześniej określała jako „patologię”, w zamian za co „Goha” nazwała Mariannę „śmieciami, którym może sobie podetrzeć dupę”.

Walka obu pań miała się odbyć w łódzkiej Atlas Arenie w marcu 2024 r., ale w trakcie ceremonii ważenia toruniankę zatrzymała policja – chodziło o niezapłaconą grzywnę i nieodrobione prace społeczne, które sąd zamienił na areszt – nie pierwszy w jej trudnym życiu. Po wyjściu „Goha” ogłosiła w sieci, że to Marianna, korzystając ze swych warszawskich koneksji, „załatwiła” jej aresztowanie: „Za moim zatrzymaniem stoi ona, a bardziej jej mąż, bo to by nie wymkło, jakby ktoś nie chciał”. Schreiber zaprzeczyła i zapowiedziała pozew sądowy. Zwierzyńska odparła, że woli się bić. Fani już czekają na widowisko.

Skoro ktoś może być aktorem, czemu nie ma wystąpić u nas?

W połowie sierpnia jadę do Swarzędza. FAME MMA zajmuje dwa piętra w wielorodzinnym, świeżo oddanym trzykondygnacyjnym domku biurowcu przy cichej uliczce Dworcowej. Na ścianach postery freakfighterów, na poddaszu trwa sesja promocyjno-nagraniowa, po podłodze biegają dwa kundelki. Rzecznik firmy – cytowany już Michał Jurczyga – cieszy się, że przyjechała właśnie „Wyborcza”.

– Cały czas kombinujemy, jak wyjść ze swojej bańki, w której królujemy, ale to jednak bańka.

Włodarze FMMA chętnie więc opowiedzą o swojej pracy.

Rafał Pasternak: – Każda walka ma swoją formułę, którą uzgadniamy z zawodnikami. Może być boks w małych rękawicach, mogą być modyfikacje dopuszczające kopnięcia albo podduszanie – zasady generalnie te sa-

me, jak na sportowych walkach MMA. Zdarzyło się też, że uczestnik walczył jedną ręką, choć nie był inwalidą.

To starcie odbyło się w lutym 2024 r. w krakowskiej Tauron Arenie. Były hokeista, a obecnie kick-bokser i kulturysta Piotr „Szeli” Szeliga (31 lat, 95 kg, 176 cm) walczył ze znacznie słabiej wysportowanym, dotkniętym nadwagą sieciowym influencerelem Natanem „Krakenem” Marciniem (21 lat, 100 kg, 187 cm), który lata temu był współpracownikiem kanału Wardęgi. Pierwszemu z wymienionych skrupowano przed walką jedną dłoń. Mimo przytroczenia nadgarstka do pasa Szeliga bez większych problemów znokautował „Krakena”, który po porażce ogłosił odejście, mówiąc do widzów: „Freak fights to czysta patologia, a przynajmniej otoczka na backstage’u. 90 proc. osób to kryminaliści, ćpuny i osoby, które po prostu robią bardzo złe rzeczy, aby się wzbogacić lub zdobyć uwagę. Ażebym wam udowodnić, że dla mnie są rzeczy ważniejsze niż pieniądze, odrzuciłem teraz propozycję walki z Danielem Magicałem za ponad pół miliona złotych”.

Włodarze FMMA takie deklaracje jedynie bawią. W ich branży panuje zasada: im więcej kontrowersji, werbalnych ataków, zdrad i złamanych obietnic – tym lepiej. Nie przeszkadza też kryminalna przeszłość freakfighterów. W trakcie gali na Narodowym mieli się bić ponad 130-kilogramowy Patryk „Wielki Bu” Masiak – przed laty związany z gangiem trójmiejskich sutenerów lider kibiców Lechii Gdańsk – oraz 110-kilowy Tomasz „Strachu” Oświeciński, który 20 lat temu był członkiem mafii wołomińskiej (za co siedział), a potem występował w filmach Patryka Vegi i wielu serialach TV (m.in. „Klan”, „Ojciec Mateusz”, „Korona królów”). Obaj jednak zgłosili kontuzje i nie wystąpią, co smuci włodarzy FAME.

– Jeśli ktoś jest sławny, to znaczy, że funkcjonuje normalnie w społeczeństwie. A że miał w życiu zakręty... skoro może z tym występować jako aktor, to dlaczego nie na naszej gali? – pyta Rafał Pasternak. – My nie jesteśmy instytucją państwową, tylko rozrywkową.

– Ale brzydkich kontekstów nie chcemy, ponieważ współpracujemy z Canal+ i to zobowiązuje do zachowania standardów – dodaje Rozpara. – Nie przyjełbyśmy na przykład, a to się zdarzyło w konkurencji, zawodnika, który na gali pobił jednego z kibiców.

– Co jest najtrudniejsze w tej pracy? – pytam dalej.

– Kontakt z niektórymi zawodnikami – odpowiada Pasternak. – To są osoby znane, mają wymagania i często gigantycznie

przerośnięte ego. Jeden mówi, że nie zawalczy z drugim, jeżeli tamten nie schudnie. Inny chce walczyć w butach, a nie – jak zwykle – na bosą, bo ma kontuzję stopy. Tymczasem przeciwnik podejrzewa, że to jakiś podstęp.

Rozpara: – Mamą cykl promocyjny przed galą, produkujemy materiały, gotowy jest plan zdjęciowy i kilkadziesiąt osób czeka, minęła umówiona godzina, zawodnika nie ma. Czekaliśmy dwie godziny, bo on przecież musiał się wyspać.

Pasternak: – Pięć dni przed galą zawodnik oświadcza, że będzie walczył tylko w ośmiouciunowych rękawicach meksykańskich, a najbliższe dostępne są w Anglii. Dobrze, ściągnęliśmy takie, jeden raz używane. Miały ciut przybrudzone sznurówki. Uczestnik siedem godzin przed walką ogląda je i mówi, że w używanych nie walczy. Przełożyłem sznurówki z innych, dopiero wtedy się zgodził.

– Walki można obstawiać – zauważam. – Czy to znaczy, że zarabiacie również na hazardzie?

Rozpara: – Zarabiamy, po pierwsze, na płatnych transmisjach, po drugie, na biletach, a po trzecie mamy partnerów, sponzorów i donatorów. Jednym z nich jest legalna francuska firma bukmacherska Betclit, która ma zezwolenie ministra finansów na prowadzenie zakładów wzajemnych. I to za jej pośrednictwem najlepiej obstawiać walki.

Prócz Betclita na galach polskich federacji freak fight promują się zarówno bukmacherzy (Superbet, Fortuna, Fuksiarz, TOTABET), jak i strony internetowe ułatwiające zakłady wzajemne (Typer, eFortuna). Obstawiać można zwycięzcę, liczbę rund, liczbę sekund, po których zakończy się walka, itd. Lecz to już osobna historia.

Przegrana walka poety z malarzem pokojowym

Dziesięć dni przed galą na Narodowym rzecznik praw obywatelskich opublikował na swojej stronie internetowej oświadczenie, w którym alarmuje, że podczas gal freakfightowych może dochodzić do promowania patologii: „przemocy fizycznej, słownej i psychicznej, dręczenia ludzi, pochwalania i nawoływania do popełniania przestępstw oraz prezentowania treści pornograficznych”.

Nad zjawiskiem pochylił się również filozof prawa prof. Marcin Matczak, który wcześniej opublikował w „Wyborczej” felieton poświęcony przyczynom społecznej przemocy:

„To, że chamstwo i agresja stają się standardem, jest szczególnie groźne, gdy wokół nas rozwija się poważny kryzys sprawczości. Młodzi ludzie (...) mówią, że nie mają wpływu na swoje życie, że popadają w apatię. To wyzwała w nich chorobliwy podziw dla tych, którzy ze światem się nie certylają. Którzy nie gadają (ileż można gadać), ale działają. A czyż jest coś bardziej aktywnego niż agresja? Dlatego kiedyś (...) kibicowali chłopczkowi, który uderzył na Przystanku Woodstock Grzegorza Miecugowa, a dzisiaj podziwiają rumcąjsowatego [Grzegorza] Brauna. (...) Ostatecznym symbolem tej fascynacji przemocą, którą młodzi postrzegają jako sprawczość, jest nieprawdopodobna wręcz popularność walk celebrytów w klatce organizowanych w ramach gali FAME MMA. Już nie siła sztuki decyduje o podziwie dla artysty, lecz siła kopa, którego potrafi wymierzyć innemu artyście”.

– To istotny znak czasu, ale też nowość – mówi mi teraz profesor. – Ci walczący, wycięci ze swoich kontekstów i wstawieni w klatki, dobitnie świadczą o militarystyce naszego życia publicznego, gdzie wszędzie jest walką i nie ma już dyskusji, tylko są „masakracje”. Panuje przekonanie, że w każdej rozmowie musi być zwycięzca, co jest niebezpieczne, bo wprowadza kult siły, podziw nie dla jakości argumentów, ale dla przemocy. Doprowadzić spór do konfliktu fizycznego i rozwiązać go w walce – o to chodzi. Fascynacja walkami freakfighterów w istocie jest spowodowana narastającym przekonaniem, że prawdziwe rozwiązanie

konfliktu to danie komuś „w ryj”. Tak właśnie wygląda przejście od demokracji do autorytaryzmu, tak to wyglądało choćby w Republice Weimarskiej w latach 20. ubiegłego wieku. W obecnej Polsce – piszę o tym w książce „Kraj, w którym umrę” – coraz powszechniejszy jest podziw dla ludzi, którzy stali się sprawczy przez przemoc. Młode „kuce” wielbią Janusza Korwin-Mikkego, który „masakruje lewaków” i policzkuje Michała Boniego. Skończmy głądzić, weźmy się do rzeczy – mówią Konfederacja i niemiecka AfD. To „koniec Wersalu”, jak mówił Andrzej Lepper.

We wspomnianej książce profesor ujmuje sprawę tak: „Rozmowa trwa i nie wiadomo, czy przekona się rozmówcę. Negocjacje się ciągną i wymagają ustępstw. Cios w twarz załatwia sprawę od razu. Jest domknięciem, dowiezieniem, sfinalizowaniem. O nim chorobliwie marzą słabi i bezradni (...). Nie bez powodu [Hannah] Arendt pisze w »Korzeniach totalitaryzmu«, że jednym z głównych celów propagandy nazistowskiej była mobilizacja ludzi podziwiających przemoc, spryt, ale też podłość.

[Tymczasem] przemoc nie jest rozwiązaniem naszych problemów. A na pewno nie jest rozwiązaniem ideologia, która z definicji, z samego źródła opiera się na wskazaniu winnego zła i wezwaniu do nienawiści. Taką ideologią był marksizm, taka jest współczes-

na ideologia lewicowa, która chce naprawiać świat siłą, czyli hejtem, obrażaniem, kasowaniem i innymi formami agresji. Ich smutnym symbolem jest udział lewicowych aktywistów w walkach FAME MMA”.

Pisząc ostatnie zdanie, prof. Matczak miał na myśli 40-letniego i ważącego 66 kg poetę publicystę Jasia Kapelę oraz 34-letnią ważącą trzy kilo mniej feministkę Maję Staśko. Oboje od dwóch lat biją się w formule MMA – ale dla innych federacji, gdyż – jak już wiemy – w Polsce poza firmą ze Swarzędza freak fight’y organizuje co najmniej sześć przedsiębiorstw.

Jednym z nich jest należąca wcześniej do kick-boksera Marcina Najmana oraz jego żony Julity spółka MMA-VIP, która trzy lata temu założyła organizację dwóch walk między kobietą a mężczyzną. W obu pojedynkach wygrali faceti i nikt na prawicy nie protestował przeciwko niesprawiedliwości płciowej.

Innym jest wspomniana federacja Clout MMA, która zapowiada, że na październikową edycję freak fight ściągnie do Areny Jaskółka w Tarnowie pierwszego skandalistę RP – Zbigniewa Stonogę. I ten będzie walczył, chociaż na razie nie wiadomo z kim.

Kolejna firma freakfightowa to wrocławska spółka Prime Show MMA i właśnie ona zatrudniła Jasia Kapelę. Literat zadebiutował w oktagonie z początkiem 2022 r. podczas walki, którą organizatorzy reklamowali jako „starcie prawicy z lewicą”, gdyż przeciwnikiem był w niej konserwatywny bloger, współpracownik Michała Rachonia, dziennikarz TVP w czasach PiS, wreszcie niedoszły radny tej partii z Warszawy – Ziemiowit Kossakowski.

Emocji było mnóstwo. W trakcie ceremonii ważenia połączonej z tradycyjnym

groźnym patrzeniem sobie w oczy niższy o głowę Kapela posłał młodszemu o dekadę Kossakowskiemu całusa, a ten zapowiedział: „Kasuję cię w 30 sekund jutro, jesteś, Jasiu, zmasakrowany po prostu”. Na takie dictum poeta odparł filozoficznie: „Pycha poprzedza upadek” – i tak też się stało.

Choć bukmacherzy wskazywali na wygraną młodszego i cięższego reprezentanta prawicy, zwyciężył współpracownik „Krytyki Politycznej”, pokonując rywala przez techniczny nokaut, i to w pierwszej rundzie. Latem tego samego roku Kapeli poszło już gorzej – przegrał walkę z wokalistą disco polo Konradem „Skolimem” Skolimowskim. Ten pochodzący z Łukowa w woj. lubelskim 26-letni i ważący 69 kg piosenkarz obył stołecznego liryka tak bardzo, że Kapela wyładował w szpitalu.

Ale się nie zniechęcił.

Po roku walczył w oktagonie z młodszym od siebie o trzy lata malarzem tapeciarskim, a zarazem konserwatywnym youtuberem, 70-kilogramowym Michałem „Bagietą” Gorzelańczykiem. Walka była przedłużeniem spontanicznej bitki, jaka wybuchła w studiu nagrańowym Prime Show po tym, gdy Kapela zaprezentował siedzącemu w fotelu naprzeciw „Bagiecie” swój umieszczony na piersi tatuaż „JP2GMD”, co ma oznaczać: „Jan Paweł II gwałcił małe dzieci”. Prezentacja dosłownie poderwała Gorzelańczyka

– Jeśli ktoś jest sławny, to znaczy, że funkcjonuje normalnie w społeczeństwie. A że miał w życiu zakręty... skoro może z tym występować jako aktor, to dlaczego nie na naszej gali? – pyta prezes FMMA Rafał Pasternak. – **My nie jesteśmy instytucją państwową, tylko rozrywkową**

z siedziska. Z okrzykiem: „Za to masz w ryj, kurwo!”, rzucił się na poetę, powalił go na ziemię i zaczął okładać, co musiał przerwać ochroniarz. Na ringu PSMMA rzemieślnik i literat spotkali się potem dwa razy (lipiec 2023 i styczeń 2024). Obydwie walki wygrał – ratując honor prawicy – Gorzelańczyk.

Feministka goni po ringu Rosjankę o wielkich ustach

Koleżanka Jasia Kapeli z „Krytyki” – feministyczna aktywistka i lewicowa dziennikarka Maja Staśko – latem 2022 r. weszła wśród gwizdów nieprzychylniej jej publiczności do oktagonu w Arenie Gliwice, by bić się z młodszą i lżejszą od siebie urodziwą streamerką Ewą „Mrs Honey” Wyszatycką. Ta druga zaśłynęła, prezentując w sieci własne sukcesy w grze „League of Legends” (65 mln aktywnych graczy miesięcznie) i nie jest identyfikowana politycznie.

Przed walką – rozegraną w ramach federacji High League – Staśko wyjaśniła swe motywacje:

– Po pierwsze, chcę mówić bardzo głośno o seksizmie, [ale] co z tego, że będę mówiła o tym przez lata w mojej bańce? Przy takim wydarzeniu jak gala MMA wysłucha mnie więcej osób.

Po drugie, feministka zadeklarowała na łamach „Krytyki”, że 40-tysięczne honorarium za walkę w połowie przeznaczy na Fundację Fortior (wsparcie dla mężczyzn po doświadczeniu przemocy), a w połowie na Centrum Praw Kobiet.

Po starciu z Ewą, które wygrała – według komentatorów w dobrym stylu – zabrała jej jednak tchu na światopoglądowe deklaracje. – Wszystkim, którzy we mnie nie wierzyli, mówię, że jestem silna, walczę jak dziewczyna i nie przestanę walczyć – wy-

dyszała do mikrofonu, po czym pocałunkiem przeprosiła „miodową” Ewę za to, że ją zbiła.

Drugi bój Staśko stoczyła z wyższą o głowę polską Rosjanką Marią „Maszą” Graczykowską – stylizowaną na lalkę Barbie wychudzoną instagramerką. „Masza” zyskała popularność w efekcie konfliktu z inną sieciową celebrytką – Agatą „Fagatą” Fąk, której z kolei sławy przysporzyło spektakularne zerwanie z youtuberem Stuartem „Stuu” Kluz-Burtonem, który zdobył rozgłos jako główny bohater Pandora Gate (został aresztowany za skuteczne nagabywanie dziewczynki poniżej 15 lat).

To był – dla odmiany – pojedynek w bardzo złym stylu: przerażona ostrym natarciem Staśko biedna „Masza” uciekała przed nią po ringu, odwracała się plecami do rywalki i ze strachu zwijala w kulkę, gdy Maja walila ją pięściami po karku i łopatkach. Komentatorzy zgodnie określili zwycięski dla stołecznej feministki bój jako „żenadę”. Tym niemniej Staśko niczego nie żałuje.

– Dzięki MMA zdobyłam większe zasięgi, a dzięki nim mogę lepiej pomagać osobom potrzebującym wsparcia. Przeląłam już 100 tys. zł na pokrzywdzonych przemocą. Nie zamierzam się jednak więcej bić w oktagonach. Skończyłam właśnie pisać książkę – reportaż wcieleniowy poświęcony patostreamerom i walkom.

– Nie mam pretensji do tych, co walczą w oktagonach – mówi mi na koniec nestor polskiego dziennikarstwa i honorowy redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego” Maciej Petruczenko. – Może działalność rozrywkowa w internecie nie przynosi im zadowalających zarobków, więc próbują dorobić, a w grze są duże pieniądze, więc walczą w MMA, który to skrót ja osobiście rozwijam jako „bandyckie sposoby walki”. Mam pretensje do organizatorów za umieszczanie walczących ludzi w klatkach, bo to nas cofa o kilkadziesiąt wieków rozwoju społecznego. Sportowi to na pewno niepotrzebne – potrzebne jedynie tym ludziom, którzy stworzyli sobie na bazie głośnych w internecie nazwisk maszynkę do zarabiania.

– Lecz młodzi trenują, rzeźbią sylwetki przed walkami – może to lepiej, niż leżeć na kanapach i zjadać chipsy?

– Z dwojga złego wolę już drugie nie-szczęście. Bicie się w klatkach to dla mnie coś obrzydliwego.

– Cóż... walki w oktagonie nie każdemu muszą się podobać – odpowiadają Jurczyga i Rozpara. – Lecz nasza federacja rozwija się we właściwym kierunku. Na Narodowym nie zobaczymy już osób w rodzaju „Magicala”, będziemy natomiast podziwiać takich mistrzów sportu jak Tomasz Adamek czy Krzysztof Włodarczyk.

Daniel Zwierzyński bije się teraz dla federacji Prime Show MMA. 3 sierpnia br. we wrocławskiej Hali Orbita podczas głównej walki wieczoru został pokonany przez techniczny nokaut przez Natana „Krakena” Marcconia, który już nie jest otyły, ale atletyczny i, jak widać, zdołał się pogodzić z „patologią kryminalistów i ćpunów”. ●

• Waga i wzrost zawodników za serwisem Zawodityper.pl

Magdalena Dubrowska,
Jędrzej Słodkowski

Joe Biden negocjował wsparcie swojej kandydatury u Taylor Swift – ultrapopularnej amerykańskiej piosenkarki, która ma rzesze fanek i fanów zwanych swifties, na całym świecie. Na początku sierpnia Swift trzy razy wyprzedzała Stadion Narodowy.

Po wycofaniu się Bidena kandydatką Demokratów w nadchodzących wyborach została obecna wiceprezydentka Stanów Zjednoczonych Kamala Harris, a wsparcie nadeszło z zupełnie innej strony. Może wciąż trochę mniej potężnej. Ale też mniej grzecznej i uładowanej niż Taylor Swift.

Charli XCX idzie w ślady Taylor Swift

Kiedy Charli XCX oznajmiła w mediach społecznościowych, że „Kamala jest brat” (co to jest „brat”, o tym za chwilę), w tworzącym się właśnie sztabie wiceprezydentki musiał zapanować nie lada entuzjazm.

Co sprawczyni
największej
sensacji tego
lata robiła
w sierpniu
w Warszawie?

Polska też już jest brat

Wydawać by się mogło, że akceptacja ze strony 32-letniej Brytyjki, znanej nie tylko z przebojów, ale też zamiłowania do skąpych strojów i świadomego grania własną seksualnością, nie powinna być tak istotna jak wsparcie ze strony biznesowych krezusów i gigantów amerykańskiej polityki.

Tylko że Charli XCX stała się największym popkulturowym fenomenem tego roku, a jej muzyka stała się dla młodych z całego świata ścieżką dźwiękową tego lata. I być może 5 listopada wielu młodych Amerykanów pobiegnie do lokali wyborczych tanecznym krokiem, w rytm piosenek Charli.

Jak to działa w przypadku Swift, jest tematem niezliczonych analiz. W 2020 r. gwiazda wsparła duet Biden-Kamala Harris, który skutecznie zawałczył o odbicie Białego Domu z rąk Donalda Trumpa. W tym roku Swift na razie głosu nie zabrała, ale analitycy badają elektorat Swift (55 proc. to zwolennicy Demokratów, 23 proc. – Republikanów) i spekulują, ile dodatkowych punktów procentowych mogłoby dać Kamali Harris poparcie piosenkarki miliarderki.

Grupa „Swifties For Kamala” to już teraz jeden z najprężniejszych dziś ruchów w amerykańskich mediach społecznościowych. Sztab Donalda Trumpa to widzi i reaguje we właściwy sobie sposób – zalewa media społecznościowe zdjęciami swifties demonstracyjnie popierającymi Trumpa. Tyle że są



to „zdjęcia” wygenerowane przez sztuczną inteligencję.

Fani i fanki Taylor Swift wpłynęły też na zwycięstwo Bernarda Arévalo w zeszłorocznych wyborach prezydenckich w Gwatemali (jego notowania skoczyły, kiedy 65-letni polityk ujawnił się jako swiftie). W Argentynie swifties przeprowadzili też masowaną kampanię przeciwko kandydaturze skrajnie prawicowego populisty Javiera Mileia (ten jednak wygrał).

Przykłady Swift i Charli XCX pokazują, jaką siłą polityczną stał się dziś pop. Poparcie Neila Younga, Bono czy Eddie’ego Veddera oczywiście wciąż swoje znaczy, ale prawdziwym *gamechangerem* bywa parę słów wypowiedzianych czy napisanych przez idolki nasto- i dwudziestolatków/latek.

Uniwersum „Brat”

Na czym polega fenomen Charlotte Aitchison, jak naprawdę nazywa się Charli XCX? W największym skrócie na tym, że po latach bycia „zwykłą” gwiazdą popu, headlinerką festiwaלי i dostarczycielką radiowych przebojów, właśnie wystrzeliła na zupełnie inną orbitę – stworzyła wokół siebie całe uniwersum.

Zacząło się na początku czerwca od premiery jej szóstej płyty zatytułowanej „Brat”, wypełnionej po brzegi bezwstydnie chwytliwymi materiałami na hity. Media społecznościowe i radiostacje załaly popowo-elektroniczne beaty i przepuszczony przez efekty wokół Charli.

Po angielsku „brat” znaczy tyle, co „bachor”, „dzieciak” i dobrze oddaje ducha całego projektu. Chodzi o podejście do życia, które opiera się na byciu „smart, bitchy, hot i scary”. Inteligentna, wygadana, trochę sukowata, seksowna, ale nie w tradycyjnym sensie; raczej budząca strach i wzbudzająca respekt – taka jest superbohaterka uniwersum „Brat”.

I taka jest oczywiście Charli XCX, a przynajmniej na taką się kreuje.

„Brat” to nowa „Barbie”

Ale jakim cudem ten album narobił więcej hałasu, niż płyty gigantek, które ukazały się w ostatnich miesiącach – Beyoncé, Billie Eilish czy wreszcie samej Taylor Swift?

Otóż „brat” błyskawicznie stało się słowem kluczem, królującym tego lata (na które zresztą mówi się „brat summer”) na całym świecie. Synonimem czegoś fajnego, ekscytującego, cool. I coś nam mówi, że tradycyjną doroczną wojnę o młodzieżowe słowo roku można rozstrzygnąć na kilka miesięcy przed jej wybuchem.

Druga sprawa to, nazwijmy to szumnie, ikonografia albumu. Trudno chyba o okładkę mniej wymyślną niż umieszczone na neonowym tle (sama Charli XCX nazwała ten kolor „w sumie dosyć obrzydliwym”) słowo „brat”, napisane najzwyklejszą w świecie, rozpikselowaną czcionką Arial Narrow.

Ni stąd, ni zowąd ten nieco zapomniany dziś odcień zieleni, kojarzący się z ciuchami z początku lat 90. albo flamastrami zakreślaczami, stał się najmodniejszym kolorem sezonu, a różne przedmioty, przypadkowo nim umajone, żywą reklamą płyty i barwą całego „brat summer”.

Szampon, koszulka, Shrek, tipsy, zielone jabłka, samochód, fasada dworca – wszystko, co wpada we fluorescencyjny odcień zieleni, może być „brat coded”. Fani i fanki masowo wrzucają zdjęcia z takimi przedmiotami do social mediów. Wystarczy umieścić na fotce napis „brat” (oczywiście w Arialu) i już można liczyć na lajki i udostępnienia.

Powstał też oczywiście „brat generator”, w którym każdy może wytworzyć sobie własny obraz z dowolnym napisem stylizowanym na okładkę albumu. Trend podchwycił nie tylko sztab Kamali Harris, ale też wielkie marki, takie jak Netflix czy Amazon, które wykorzystały stylistykę „Brat” w swoich mediach społecznościowych. W Polsce logo na limonkowe zmieniła na jakiś czas np. „Krytyka Polityczna”.

Brytyjski „Vogue” przewiduje, że jesienne wybiegi zazielenią się limonkowymi odcieniami à la „Brat”, tak jak rok temu zaróżyły się one po sukcesie filmu „Barbie”.

Na marginesie, Charli XCX jest autorką „Speed Drive”, jednego z muzycznych hitów z filmu Grety Gerwig.

Trudno powiedzieć, czy Charli i jej spece od PR-u spodziewali się wybuchu aż takiego szalu na punkcie okładki, ale trudno polemizować ze stwierdzeniem, że wspięli się na szczyt marketingowego geniuszu.

Tak, my też zrobilibyśmy taką okładkę w 20 sekund w Paincie. Okazuje się jednak, że najprostsze środki wciąż bywają najbardziej skuteczne – wokół Charli utworzyła się światowa społeczność fanów i fanek, wcale nie tylko takich młodych, którzy ubierają się na limonkowo, tańczą na TikToku specjalny układ do piosenki „Apple” i odtwarzają jej klipy miliony razy. No i słuchają tekstów.

Nowy model

Charlotte Aitchison urodziła się w 1992 r. w Cambridge. Jako czternastolatka zamieszczała swoje utwory w popularnym wówczas portalu MySpace, a stamtąd trafiła na sceny londyńskich klubów rave’owych.

Przełom w karierze przyniósł jej 2015 r. i album „Sucker”, pełen bezkompromisowych, feministycznych i punkowych treści o niechodzeniu do szkoły, łamaniu zasad, braniu narkotyków i radosnej masturbacji.

I trzeba przyznać, że taki swój obraz Charli XCX pielęgnuje do dzisiaj. To nie jest dziewczyna z sąsiedztwa, tylko nieobliczalny żywioł. Ćwiczy na siłowni z kieszkiem wina, a rubinowy płyn rozlewa



• **Za sprawą płyty Charli XCX słowo „brat” (bachor) natychmiast weszło do języka codziennego jako określenie czegoś „cool”. A fluorescencyjna zieleń stała się najmodniejszym kolorem sezonu**

FOT. HARLEY WEIR / MATERIAŁY PRASOWE I

przutomnego starca leżącego na szpitalnych noszach, podpiętego do kroplówki i monitora, który to starzec – tak to interpretujemy – symbolizuje patriarchat, osłabiony i śmieszny. „Brat girls” wyrwywają lusterka z samochodów, żeby poprawić w nich makijaż. Po prostu robią na mieście demolkę.

Z kolei trzy tygodnie temu Charli XCX wypuściła numer „Guess”, w którym gościnnie wystąpiła sama Billie Eilish i który ma już 20 milionów wyświetleń na YouTube. Artystki śpiewają razem, wspinają się na wielką górę ciuchów, staczają po niej i rozjeżdżają ubrania traktorem.

Charli XCX a sprawa polska

W tym roku Charli XCX wystąpiła w Gdyni na festiwalu Open’er. Ale tak naprawdę wokół Charli w Polsce zaważało 14 sierpnia.

Kiedy Charli XCX oznajmiła na Twitterze, że „Kamala jest brat”, w sztabie wiceprezydentki musiał zapanować nie lada entuzjizm

się po białym topie, pod którym nie nosi stanika.

Przekaz „Brat”, jaki wybrzmiewa z piosenek i klipów, to pochwała wolności, niezależności i własnego zdania. „Podoba się? Nie podoba się? Nie obchodzi mnie, co o tym myślisz!” – śpiewa Charli i nie sposób jej w to nie uwierzyć.

Jest jak najdalsza od modelu kobiecej gwiazdy popu kojarzącego z Whitney Houston czy Britney Spears, czyli z uzależnieniem, lękiem, ubezwłasnowolnieniem i zdominowaniem przez ojców tyranów, mężów ćpunów czy menadżerów krwopijców.

Charli pokazuje, że jest świadomą artystką, która krok po kroku realizuje swój plan. Nie pozwoli sobie wejść na głowę. Ona jest mózgiem tej operacji.

W tym modelu ważne są też relacje z innymi wpływowymi kobietami. W tekstach piosenek Charli pojawia się mnóstwo odniesień do znanych piosenkarek i aktorów, cytatów, nawiązań, małych hołdów (m.in. dla wspomnianej Britney Spears).

Pierwsze półtorej minuty klipu do singla „360” to filmowa etiuda z udziałem internetowych influencerów, celebrytek i aktorów, m.in. Julii Fox czy Chloë Sevigny. To także cios zadany obiegowej teorii, że ludzie wyłączają teledyski po 10 sekundach. Nie teledyski Charli XCX.

Kiedy Charli zaczyna śpiewać, klip zmienia się w jazdę bez trzymanki. Dziewczyny imprezują nad ciałem jakiegoś nie-

Wtedy to gwiazda wrzuciła filmik, na którym podśpiewując, idzie sobie jak gdyby nigdy nic ulicą Dąbrowskiego na Mokotowie. I ogłasza, że jest w Polsce, a w powietrzu „czuć już powiew jesieni”.

Co Charli robiła w Warszawie? Długo nie było wiadomo nic więcej ponad to, co w połowie lipca piosenkarka zdradziła „Billboardowi”, a mianowicie, że przyjeżdża do Polski na trzy tygodnie, by wziąć tu udział w kręceniu filmu na podstawie powstającego na bieżąco scenariusza. Dlaczego w Polsce? „Ponieważ akcja filmu rozgrywa się w Polsce” – ucięła Charli.

Wiadomość o tym, że popkulturowa bohaterka tego sezonu spaceruje po ulicach Starego Mokotowa, ktoś widział ją w winiarni, ktoś w pizzerii, a ktoś inny w Muzeum Narodowym, zelektryzowała nie tylko fanów i fanki, ale także media.

„Wyborcza” dotarła do osób zaangażowanych w prace nad filmem i za ich pośrednictwem próbowała namówić artystkę na rozmowę. Dowiedzieliśmy się jednak, że („na razie”) nie ma szans ani na wywiad, ani na udzielenie jakichkolwiek informacji o filmie, ponieważ pieczę nad powiadamianiem ludzkości o tej produkcji trzyma amerykańska agencja PR-owa.

Udało nam się jednak ustalić, że spośród Polaków w film zaangażowani są aktorka i scenarzystka Lena Góra („Imago”) oraz Michał Więckowski z nagradzanego duetu reżyserów reklamowych Andiamo.

Na planie obecny był też Jeremy O. Harris. Kilka lat temu broadwayowski

spektakl na podstawie jego sztuki „Slave Play” pobili rekord słynnych „Aniołów w Ameryce” w liczbie nominacji do nagrody Tony (12, choć żadnej nie zamienił na statuetkę), teatralnego odpowiednika Oscara. 35-letni Amerykanin jest też współscenarzystą filmu „Zola” Janiczy Bravo i współproducentem drugiego sezonu „Euforii”. Jako aktora mogliśmy go oglądać w filmie „The Sweet East” czy serialach „Emily w Paryżu” i „Plotkara”.

Jakie jest połączenie między Harrisem a Charli XCX? Okazuje się, że chociaż urodzili się po dwóch stronach Atlantyku, znają się jak lyse konie. „Znam Charli od bardzo dawna, odkąd byliśmy dziećmi – tłumaczy Harris w rozmowie z brytyjskim magazynem »GQ«. – Była moją najbogatszą przyjaciółką. Nagrała »I Love It«, kiedy byliśmy tacy młodzi” – dodaje, wspominając wielki hit szwedzkiego duetu Icona Pop z 2012 r., którego Charli jest współautorką i w którym gościnnie zaśpiewała.

Film reżyseruje Pete Ohs; w serwisach VOD można obejrzeć jego dwa pełne metraże: „Poza zasięgiem” i „Jethica”. Oba, a także jego „Youngstown”, były pokazywane we Wrocławiu na American Film Festivalu.

Charli kontra Taylor?

Co z tego wyjdzie, przekonamy się za jakiś czas. Ostatni post Charli na TikToku to już sjeśta nad błękitnym basenem. Raczej na południu Europy, a nie w Polsce. Tak szykuje się do zapowiadanej przez nią „brat autumn” („brat jesieni”).

Na koniec wróćmy do Taylor Swift. Plotkarskie media od pewnego czasu wietrzyły konflikt pomiędzy najpopularniejszymi w tej chwili na świecie piosenkarkami. Musiały jednak obejść się smakiem.

W „Sympathy Is a Knife”, jednej z najlepszych piosenek z „Brat”, Charli XCX śpiewa: „Nie chcę jej widzieć za kulisami na koncercie mojego chłopaka/ Trzymam kciuki za plecami, mam nadzieję, że szybko zerwą”.

Kim jest „ona”, której nie chce widzieć piosenkarka? Część mediów i fanów obsadziła w tej roli właśnie Taylor Swift. Partnerem Charli jest bowiem George Daniel, perkusista popularnej poprockowej grupy The 1975, zaś Swift w zeszłym roku romansowała z wokalistą tego zespołu Matym Healem.

Obie artystki ugasiły jednak właśnie tłący się ogień. „Ludzie będą myśleć to, co chcą – mówi Charli w okładkowym materiale z najnowszego numeru magazynu »New York« (sesję zdjęciową zrobił jej słynny fotograf David LaChapelle). – Ta piosenka jest o mnie, moich uczuciach i niepokoju oraz o tym, jak mój mózg tworzy narracje i historie w mojej głowie, kiedy czuję się niepewnie i jak nie chcę znaleźć się w sytuacji, kiedy w siebie wątpię”.

Zaś poproszona o komentarz Taylor Swift nie może się rzekomej konkurentki nachwalić. „Jestem zachwycona, jaką wrażliwość melodyczną ma Charli, odkąd po raz pierwszy usłyszałam »Stay Away« w 2011 r. – mówi Swift. – Jej teksty są zawsze surrealistyczne i pomysłowe. Przenosi piosenkę w miejsce, którego się nie spodziewasz, i robi to konsekwentnie od ponad dekady. Uwielbiam patrzeć, jak opłaca się ta ciężka praca”.

We wspomnianej rozmowie Charli, komentując echo, jakim odbiło się poparcie, którego udzieliła Kamali Harris, zaznacza wyraźnie, że „polityka nie karmi jej sztuki” i przypomina, że sama jako Brytyjka nie może przecież głosować.

„Czy myślałam, że moje mówienie o byciu niechlujną suką, imprezkach i o tym, że potrzebuję zapalniczki Bic i paczki Marlboro Lightów, skończy się w CNN? – pyta retorycznie. I odpowiada: – Nie”.

W momencie oddania tego tekstu jej tweet o treści „kamala IS brat” ma 55,3 mln wyświetleń. ●

FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Romek Lipko powiedział:
„Przyszły wyniki badań.
Gdyby coś, grajcie tę moją muzykę.
Co innego po mnie zostanie?”

TO MÓJ JEDYNY NARKOTYK

Z **TOMASZEM ZELISZEWSKIM**,
PERKUSISTĄ I LIDERM BUDKI SUFLERA
ROZMAWIA **JAREK SZUBRYCHT**

JAREK SZUBRYCHT: Wiele było zespołów rockowych odnoszących sukcesy w latach 70., od Testu do Breakoutu. Większość nie przetrwała do lat 90., nie mówiąc o XXI wieku. Jak to możliwe, że Budka Suflera nie tylko wciąż gra, ale też tworzy nową muzykę?

TOMASZ ZELISZEWSKI: Był Budki Suflera zawsze oparty był na muzyce. Płyta „Cień wielkiej góry” była w 1975 roku nowatorska, atrakcyjna, pełna tajemniczości i w sposób naturalny, może nawet przypadkowy, odpowiadała trendom panującym wtedy w Polsce i na świecie. Nawet jeśli to były narodziny gwiazdy, nie kierowały nami żadne dodatkowe, pozamuzyczne motywy.

Mijały lata, a zespół trwał. Ludzie przychodzili i odchodzili, ale przez ponad cztery dekady niezmiennie byliśmy my dwaj: Romek [Romuald Lipko] i ja. Rynek się zmieniał, gusta publiczności również, a my wynawaliśmy tę samą zasadę: twórzmy, twórzmy, twórzmy. Nie wszystko będzie znakomite, ale pisać trzeba.

Tu przede wszystkim trzeba wspomnieć o roli i zasługach Romka, którzy niewiarygodnie rozwinął się jako kompozytor. Do dziś nie rozumiem, jak to było możliwe, że mój kumpel równocześnie pisał wielkie, pomnikowe songi dla faceta o niezwykłym głosie, czyli dla Krzyśka [Cugowskiego], i zarazem potrafił skomponować „Dmuchawce, latawce, wiatr” czy materiał na płytę Izy Trojanowskiej.

Boisko twórcze Romka, najpierw malutkie, rozrastało się do ogromnych rozmiarów, zdawało się nie mieć granic. Dzięki temu dawaliśmy radę niezależnie od okoliczności. Mogliśmy też nagrywać dla już istniejących gwiazd, nawet jeśli stylistyka Ani Jantar czy Ireny Jarockiej była oddalona od naszej debiutanckiej płyty o lata świetlne. Komuś mogła się nie spodobać ta czy inna piosenka, ale nie mógł powiedzieć, że to niedobra robota. Nie wszystko się udawało, zmieniał się polski rynek, zmieniały się globalne trendy. Nie było łatwo utrzymać pozycję, czasem wręcz walczyliśmy o przetrwanie, ale mimo wszystko szliśmy dalej.

Przyszło panu do głowy, żeby po śmierci Romualda Lipki zakończyć działalność Budki Suflera?

– Zapytano mnie kiedyś, czy mam jakieś nalogi. Poradziłem sobie z alkoholem i papierosami, tematu narkotyków nie znam, nie brałem udziału w hazardzie, nie miałem innych słabości. Moim jedynym nałogiem jest Budka Suflera. Mimo to zapewne podjąłbym decyzję o zakończeniu działalności, gdyby nie rozmowa, której świadkiem był Mietek Jurecki, człowiek również bardzo ważny dla tej kapeli. Mieliśmy mieć próbę i Romek przyszedł wcześniej do studia. „Słuchajcie, chłopaki, do dupy to wygląda. Przyszły wyniki badań. Lekarze jeszcze będą potwierdzać diagnozę, ale gdyby coś, proszę was, grajcie tę moją muzykę. Bo co innego po mnie zostanie? Tylko te piosenki” – powiedział.

Dalem wtedy Romkowi słowo i nie ma takiej siły, która sprawiłaby, że go nie dotrzymam.

I będziecie grać, dopóki starczy sił?

– Dopóki to, co gramy, będzie w naszym szczerym pojęciu piękne i wartościowe. Chciałbym w pewnym momencie umieć dostrzec cienką granicę pomiędzy sztuką a śmiesznością, postawić kropkę. Co nie znaczy, że na to czekam, że tego pragnę. Ja naprawdę chcę, żeby ten zespół grał. Tym bardziej że Romek zostawił nam mnóstwo świetnych piosenek, bardzo dobrym twórcą jest też Mietek Jurecki.

W czerwcu zagraлиśmy w Lublinie dwa niezwykle koncerty, zresztą w amfiteatrze imienia Romualda Lipki. Miał być jeden, ale zainteresowanie było tak duże, że dołączyliśmy drugi. Celebrowaliśmy w ten sposób 50-lecie zespołu. Było wspaniale, bo nasze zaproszenie przyjęli ludzie, którzy przez te pół wieku nas wspierali, byli naszymi idolami. Ich twórczość i kariery były dla nas światłokiem. Nie mogliśmy zaprosić Czesława Niemena, bo odszedł, ale była jego córka Natalia i wspólnie wykonaliśmy „Człowiek jam niewdzięczny” oraz Budkowy utwór „Z dalekich wypraw”. Naszymi gośćmi byli też Zbyszek Holdys, Józek Skrzek, Apostolis Anthimos, Maciej Balcar i Andrzej Zieliński. Zawsze byłem fanem Skaldów i zagraлиśmy z Andrzejem „Od wschodu do zachodu słońca”. Wyszedł na scenę i powiedział: „Mieliśmy być razem z bratem, nie udało się, ale zagram i zaśpiewam z moimi przyjaciółmi, i to jest wspaniale”. Byłem tak wzruszony, że nie wiem, jak ten utwór zagrałem.

Tego wieczoru, po prawie czterech godzinach, ze sceny zeszła grupa nie najmłodszych, ale bardzo szczęśliwych ludzi. To były emocje porównywalne tylko do przeżyć związanych z naszym występem na kra-

kowskim finale Inwazji Mocy w 2000 roku, koncertem w Carnegie Hall, wizytą na Przystanku Woodstock w 2014 roku czy naszym pierwszym koncertem z Rorem Gallagherem w Sali Kongresowej w 1976 roku.

Byliście wokalistami i muzykami Budki Suflera. Nie zaprosiliście? Nie mogliście się dogadać przynajmniej z Krzysztofem Cugowskim na te kilka koncertów jubileuszowych, żeby pokazać fanom, że warto rozmawiać?

– Krzysztof Cugowski kiedyś był moim przyjaciółcą – jestem ojcem chrzestnym jego syna Piotra, a czegoś takiego chyba nie proponuje się wrogowi – ale od 10 lat mamy ograniczony kontakt. Było co prawda kilka okazji, żeby wystąpić razem na scenie, bo zapraszaliśmy go wielokrotnie, ale nigdy zaproszenia nie przyjął. Swoje odejście z Budki Suflera w dodatku umoczył w ideologii cierpienia i męczeństwa, twierdząc, że ja i Mietek chodzimy po mediach i robimy mu krzywdę. Robi z siebie ofiarę i robi swoje. Nie rozumiem tego, nie wiem, dlaczego tak robi, musiałby pan o to zapytać Krzyśka.

Na koncert, o którym panu ze wzruszeniem opowiadam, też był zaproszony. Wszyscy byli zaproszeni: Iza, Ulka, Felek, Krzysiek. Nie pojawił się nikt.

Dlaczego?

– Zadziałał mechanizm, który jest dla mnie bolesny, ale który w pewnym sensie rozumiem. Wokalista, który przez pewien czas był członkiem wielkiej kapeli, ma do dyspozycji fantastyczny repertuar. Wokół niego gromadzą się ludzie, którzy tłumaczą mu: „Czy ty tę piosenkę wykonasz z Budką, czy

z muzykami, których nikt nie zna, hit będzie hitem, a dla ludzi najważniejsze będzie, że ty to śpiewasz”.

Coś w tym jest. Mało kto rozpozna zespół po stylu gry perkusisty, a głos identyfikują wszyscy.

– Oczywiście, to jest przywilej frontmana. Dlatego gwiazdę śpiewającą tak łatwo przekonać, że jest najważniejsza, i nakłonić do kariery solowej. Ekipa doradcza, czasem złożona z bliskich ludzi, czasem z zupełnie obcych, tłumaczy wokaliście, że zespół nie jest mu do niczego potrzebny i zwykle są to bardzo mocne, finansowe argumenty. Po co dzielić się z kolegami z zespołu po równo, skoro można za niewielkie pieniądze wynająć gitarzystę, basistę i bębniarza i większość wpływów zostawiać dla siebie? Można rozmawiać o tym w kategoriach obyczajów, etyki czy moralności, mógłbym powiedzieć, co ja o tym sądzę, ale obawiam się, że naszych byłych przyjaciół niespecjalnie to interesuje. Nie jesteśmy już Ulce, Izie, Felkowi czy Krzyškowi do niczego potrzebni.

Pyta pan, czy wyszedłbym z nimi kiedykolwiek na scenę? Nie wierzę, że to będzie możliwe, ale nie miałbym z tym problemu. To mój zawód, więc jeśli ktoś złożyłby ofertę, którą uznałbym za interesującą – bardzo proszę. Obaj mamy świadomość, że olbrzymi procent globalnego rynku opiera się nie na sympatiach, tylko na wspólnych interesach.

Gdyby natomiast zapytał mnie pan, czy możliwa jest przyjaźń z tą czwórką, odpowiedziałbym, że nie. Nie po tym, co zrobili. Dostałem tak w ryj, że przyjaźń już nie jest możliwa.

Kto właściwie dziś śpiewa w Budce Suflera? Jacek Kawalec, Irena Michalska czy Robert Żarczyński?

– Wszyscy troje. Dzięki temu możemy nie tylko tworzyć nowy materiał, ale również prezentować publiczności utwory historyczne w odpowiedniej jakości.

Irena Michalska to młoda, niespełna 20-letnia wokalistka, która śpiewa piosenki pisane przez Romka dla kobiet.

Robert Żarczyński wywodzi się ze środowiska naszych fanów, śpiewał w cover bandzie wykonującym utwory Budki Suflera. Romek uwielbiał jego wykonania tej bardziej poetyckiej części naszego repertuaru, takich piosenek jak „Martwe morze” czy „Nowa Wieża Babel”. Robert fantastycznie śpiewa również takie hity jak „Bał wszystkich świętych”, „Piąty bieg” czy „Za ostatni grosz”. Niektórzy twierdzą, że ma w sobie gen discopolowości i czasem na scenie rzeczywiście wydaje się pochodzić z tej krainy, ale to w niczym nie przeszkadza, w tym naszym lżejszym repertuarze to wręcz jest atutem.

Trzecią postacią jest Jacek Kawalec, który ma warunki do tego, żeby unieść twórczość Budki Suflera z czasów pomnikowych, mrocznych i ciężkich brzmień, takie bardzo wymagające wokalnie utwory jak „Cień wielkiej góry”, „Pieśń niepokorna” czy „Jest taki samotny dom”.

Dla fanów zaakceptowanie nowego głosu w ulubionym zespole to zawsze spore wyzwanie, choć wam udało się kilkakrotnie wyjść z tej próby obronną ręką. Tym razem jednak są to trzy osoby, trzy twarze, trzy głosy. To naprawdę trudna sprawa.

– Były w historii Budki Suflera całe lata, kiedy na każdym koncercie na scenę wychodzili: Krzysztof Cugowski, Felicjan Andrzejczak, Romuald Czystaw, Izabela Trojanowska oraz Urszula. Ludzie kochali te koncerty, bo przychodzili na Budkę Suflera i dostawali festiwal polskiej piosenki. Piątka wokalistów, a więc dzisiaj jeszcze dwójki nam brakuje – i tak jesteśmy skromni. Poza tym z Jackiem, Ireną i Robertem nagraliśmy już nowy materiał, zatytułowany „Skaza”, a więc nowi wokaliści pracują też na siebie.

Zdaję sobie jednak z tego sprawę, że trzy nowe twarze w zespole to z komercyjnego punktu widzenia nie lada kłopot. Nie trzeba też być wielkim filozofem, żeby za-



• **Kraków 9 lipca 2008 r. Budka Suflera w składzie: Romuald Lipko, Krzysztof Cugowski i Tomasz Zaliszewski, odsłania gwiazdę w Alei Gwiazd RMF na Bulwarach Wiślanych**

FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

uważyć, że jak się 100 dzieli na 10, to na głowę wychodzi mniej, niż kiedy dzieli się 100 na cztery. Trudno chyba o lepszy dowód, że nie robimy tego dla pieniędzy, że ta matematyka już nas nie kręci. Bycie muzykiem rockowym polega nie na tym, że kupujesz sobie w sklepie czarną skórę, ale na tym, że jak jest nas dziesięciu i dostaliśmy za koncert 100 złotych, to każdy zarobił po dysze. Nie ma to znaczenia, że Tomcio robi to od 50 lat, a Irenka od niespełna trzech. Jesteśmy w tym razem. To jest rock’n’roll.

Nawet dzisiaj rodzicom zdarza się udzielać muzykującym dzieciom reprimendy: „Znajdź sobie prawdziwą pracę, z tej mąki chleba nie będzie”. Kiedy dołączał pan do Budki Suflera, to była zupełnie nowa muzyka i pewnie nikt nie przypuszczał, że da się z tego żyć.

– Pochodzę z Tarnowa. Ledwie skończyłem 18 lat, kiedy różne koleje losu zawiodły mnie do Lublina, gdzie poznałem początkujący zespół o nazwie Budka Suflera. Byli u progu kariery, ale nie nagrali jeszcze żadnej płyty. Zaproсили mnie do współpracy. W tym czasie miałem też propozycję od Marka Grechuty i zespołu No To Co, rozmawiał również ze mną gość, który twierdził, że reprezentuje Czesława Niemena...

Kiedy na stole jest oferta od Grechuty i pojawia się szansa na granie z Niemenem, wiązanie się z jakimiś gołowąsami z Lublina nie wydaje się najbardziej rozsądnym rozwiązaniem.

– Jak się ma 18 lat, można mieć uzasadnione pragnienie bycia częścią czegoś ważnego w sposób pełny i prawdziwy. Chciałem coś budować, od fundamentów aż po dach. Dla Grechuty i Niemena nie byłbym równorzędnym partnerem, tylko kolejnym muzykiem. Właśnie to, że Budka była na progu, było dla mnie największym atutem. Oczywiście, muzyka też mi się podobała, te kilka piosenek, które już poznałem.

Dokonałem wyboru, oczywiście mierząc się z obyczajem i realiami epoki. Była pierwsza połowa lat 70., więc rzeczywiście spodziewałem się, że jak rodzicom nawinę, że przeprowadzam się do Lublina, żeby grać w kapeli bigbitowej, to mnie wywalą z domu. Tymczasem mama mnie wysłuchała, po czym powiedziała: „Jedź, syneczku”. „Jak to?” – nie mogłem uwierzyć. „Pojeżdż, kochanie, bo jak nie pojedziesz, to do końca życia będzie ci się wydawało, że ominęło cię coś wspaniałego. Jedź, spróbuj, maturę możesz zrobić i za rok, nie się nie stanie. Jedź, skosztuj tego miodu”.

Bardzo to mądre.

– Wcześniej wydawało mi się, że jestem wielkim rockandrollowcem, ale dopiero mama pokazała mi, czym jest prawdziwie rockandrollowa postawa. Pojechałem więc i tak już zostało.

Budka Suflera

• **Oficjalnie zadebiutowała w lutym 1974 r. singlem „Sen o dolinie”. Rok później perkusistą lubelskiego zespołu został Tomasz Zeliszewski. Zespół odnosił sukcesy już w latach 70., grając ambitnego rocka z Krzysztofem Cugowskim w roli wokalisty. Po jego odejściu wielokrotnie wymyślał się na nowo, z nowymi wokalistami – Romuald Czystaw śpiewał „Nie wierz nigdy kobiecie”, a Felicjan Andrzejczak „Jolka, Jolka pamiętasz” – i wokalistkami (przede wszystkim z Izabelą Trojanowską i Urszulą). Wiosną 1997 roku, znowu z Cugowskim, zaprosili Polaków do „Takiego tanga”, a płyta, którą otwierał ten przebój – „Nic nie boli, tak jak życie” – sprzedała się w oszałamiającym nakładzie miliona egzemplarzy. W 2020 r. zmarł Romuald Lipko, klawiszowiec i kompozytor Budki Suflera, ale zespół trwa, świętując w tym roku 50. urodziny.**

6 wokalistów

• śpiewało w Budce od początku jej istnienia i jedna wokalistka (Irena Michalec w obecnym składzie). Najdłużej Krzysztof Cugowski – w sumie 35 lat. Nie liczymy Izabeli Trojanowskiej i Urszuli, które nie były w zespole. Budka im tylko akompaniowała.

17 płyt

• studyjnych wydała do tej pory Budka Suflera, pierwszą w 1975 r., ostatnią w 2023 r., do tego oczywiście płyty koncertowe, składanki oraz albumy, na których zespół akompaniował Izabeli Trojanowskiej czy Urszuli.

37 utworów

• Budki Suflera trafiło na Listę Przebojów Programu Trzeciego, z czego trzy – „Jolka, Jolka pamiętasz”, „Cały mój zgiełk” i „Takie tango” – na miejsce pierwsze.

2014 rok

• W swoje 40 urodziny Budka Suflera pożegnała się ze sceną, by powrócić pięć lat później, już bez Cugowskiego.

1 000 000

• egzemplarzy (nie licząc wydań pirackich) to wynik sprzedaży płyty „Nic nie boli, tak jak życie”, wydanej w 1997 roku.

Poza graniami na perkusji znalazł pan w Budce Suflera drugi zawód. W jakich okoliczności przejął pan obowiązki menedżera zespołu?

– Dużo było w tym przypadkowości. Na przełomie lat 80. i 90. nasz kraj przeżywał transformację, a rynek muzyczny wraz z nim. Najpierw pojawiły się firmy polonijne, później majorsi, czyli duzi zachodni wydawcy. Nowe okoliczności wymagały od nas, muzyków, podejmowania decyzji. Większość poszła najłatwiejszym szlakiem – całkowitej bierności. „Jesteśmy od grania. Robimy swoje, bo co my możemy?” – tłumaczyli. Okazało się, że jednak możemy.

Budka Suflera była jedynym znaczącym polskim zespołem, który nie zapisał się do żadnego majorsa. Powiedziałem kolegom: „Panowie, musimy pamiętać o tym, że największym naszym bogactwem są nasze piosenki, nie da się tego przeliczyć na dolary czy marki. Nie sprzedawajmy tego za koraliki, bo nikt nam tego już nigdy nie odda”. „Co w takim razie zrobimy?” – zapytali. „Weźmiemy się do tego sami”. „Ale my nie umiemy”. „Pewnie, że nie umiemy, więc się nauczymy!” – ja na to. „W porządku, Tomuś, masz rację. Jak jesteś taka mądrała, dowiedz się, jak to działa, i się tym zajmij” – postanowili. Okazało się, że wrobiłem się tą swoją płomienną mową, ale tak już zostało.

I co, były błędy?

– Dużo. Niektóre nauczki były bardzo bolesne, ale co cię nie zabije, to cię wzmocni. Początki zawsze są wyboiste, ale i tak bardzo szybko odnieśliśmy sukces komercyjny, który nie byłby możliwy, gdybyśmy byli częścią olbrzymiej struktury.

Tylko czy przypadkiem gigantyczny sukces piosenki „Takie tango” i albumu „Nic nie boli, tak jak życie” nie okazał się zarazem przekleństwem?

– W pewnym momencie należało do nas 15 procent polskiego rynku wydawniczego.

Do jednego zespołu?

– Tak. Kosmos, prawda? Logistyka nas nie przerosła, bo przez dobrych parę lat z dużym powodzeniem i w miłej atmosferze współpracowaliśmy z panem Krzysztofem Świątkowskim i jego firmą New Abra. Problemy pojawiły się gdzie indziej. Skonsultować sukces trzeba umieć, to znacznie trudniejsze niż odniesienie się do porażki. Na błędach można się uczyć, natomiast ludziom, którzy wchodzą w posiadanie pewnego majątku, ale nie są na to przygotowani, zdarza się tracić rozum. Pojawia się wirus w systemie, który potrafi rozłożyć wielki, dobrze funkcjonujący organizm. Takim wirusem na rynku fonograficznym jest jedno pytanie: „Dzięki komu odnieśliśmy ten sukces?”. Banalne, niby niewinne pytanie, a ma siłę niszczenia broni nuklearnej. „Dzięki komu to się stało?”. „Dzięki mnie!”, „Nieprawda, bo dzięki mnie!”, „Co wy pierdolicie? To ja!”. Nie ma zespołu, który byłby na to odporny.

Wasz najnowszy singel nosi tytuł „Licznik”, a w muzykę wkomponowaliście tykanie zegara. Słyszycie je na co dzień?

– Takie jest życie, nie mamy na to wpływu. Zegar tyka nam wszystkim, niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie. My też to tykanie słyszymy. W naszych uszach nie brzmi jednak złowrogo. Zdajemy sobie sprawę z tego, że powoli zaczynamy schodzić ze sceny, ale zamiast żałowego pożegnania nagraliśmy kolejną rockową piosenkę. Tacy jesteśmy i inni już nie będziemy. ●

Tomasz Jan Zeliszewski

• (ur. w 1955 r.) od 1975 r. perkusista Budki Suflera, także autor tekstów, kompozytor, menadżer. Od śmierci Romualda Lipki (w 2020 r.) lider zespołu.

BŁEKITNA
MASZYNA

Wszyscy żyjemy w cieniu oceanu, a bardzo mało o nim wiemy.
A ta wiedza jest nam nie tylko niezbędna do przetrwania, to także fascynująca i genialna historia
– mówi dr Helen Czerski, fizyczka i oceanografka z University College London.

PATRYCJA MACIEJEWICZ: Jak działa ocean i dlaczego to dla nas takie ważne?

Dr HELEN CZERSKI*: Najpierw zadajmy sobie pytanie, jak to się stało, że żyjąc tak długo na Błękitnej Planecie, nigdy tak naprawdę nie pytaliśmy o to, co to znaczy. Taką ją zobaczyli z kosmosu pierwsi astronauta, gdy na nią spojrzeli. Nazwaliśmy ją Błękitną, ale nie wnikalismy w ten błękit.

I nie chodzi tu o kolor. Chodzi o to, co to znaczy być otoczonym przez ciekłą wodę. Ona nie jest tylko wielką kałużą. Woda porusza się, krąży, przenosi ciepło i składniki odżywcze. I to, jak wygląda reszta planety – ląd, na którym żyjemy – zależy od tego, jak działa ocean.

Czyli tak naprawdę wszyscy żyjemy nad oceanem i nieważne, czy mamy do wybrzeża jeden kilometr czy tysiąc?

– Tak, żyjemy w jego cieniu. I bardzo mało jako mieszkańcy o nim wiemy. Nikt nigdy nie opowiedział nam tej historii. Naukowcy zajmujący się oceanami nie potrafią tego zrobić, bo nie widzą tego jako całości, jako systemu. Jest to w pewnym sensie porażka naszej dyscypliny, że nigdy nie spoglądaliśmy na ten problem filozoficznie – co to znaczy, że ocean działa?

Jestem fizyczką i w fizyce był taki okres, w latach 20. i 30. XX wieku, kiedy ludzie zmagali się z mechaniką kwantową i naturą rzeczywistości. Musieli zapytać, jak znajomość fizyki zmienia to, kim jesteśmy jako istoty ludzkie. Dorastałam w dyscyplinie z taką historią, więc pomyślałam, że wszystkie dyscypliny muszą to wiedzieć.

Oceanem zaczęłam się zajmować stosunkowo późno, miałam 26 lat. Tego dnia, kiedy koleczy z mojego laboratorium zanieśli do oceanu wielką kratownicę – ramę, na której zainstalowane były instrumenty pomiarowe. Włożyli ją do wody, a ja zdałam sobie sprawę z tego, że to była brama do innego świata.

Byłam zła, że przez lata, kiedy byłam kujonem i czytałam wszystkie potrzebne książki, nikt nie opowiedział mi o oceanie i o tym, co się w nim kryje. A on jest bijącym sercem naszego planetarnego systemu podtrzymywania życia. Jeśli chcemy żyć, to głupio byłoby nie chcieć tego wiedzieć, prawda? Wiedza o oceanach jest nie tylko niezbędna do przetrwania, to także fascynująca i genialna historia.

Nazywasz ocean błękitną maszyną. Czy teraz to już dobry moment, by odpowiedzieć: jak ona działa?

– Ocean wyznacza kontekst dla wszystkiego na Ziemi: gdzie i jak żyli ludzie, jak żyją zwierzęta, jak wyglądała nasza historia i handel. Jest cechą definiującą planetę Ziemia.

Ludzie mają aroganckie przekonanie, że kontrolują świat, że mogą podejmować decyzje. A okazuje się, że gramy w grę, do której ocean narysował nam planszę. I nie chodzi tylko o to, że fizyka, chemia i biologia są ze sobą splecione, ale o to, że razem tworzą fascynujący silnik. Jeśli chcesz zrozumieć, kim jesteśmy i dlaczego robimy to, co robimy, dlaczego świat jest taki, jaki jest – ocean jest początkiem tej historii.

Do tej globalnej błękitnej maszyny energia jest dostarczana ze Słońca. Są dwa podstawowe procesy, które sprawiają, że silnik oceanu się obraca.

Po pierwsze, wiatr wiejący po powierzchni, który popycha prądy poziome. Po drugie, Słońce ogrzewające powierzchnię warstwę. Gdy dodasz do tego zasolenie, to się okaże, że woda na powierzchni będzie bardziej gęsta, więc opadnie w głąb, a następnie będzie się poruszać wzdłuż dna. Energia cieplna na-

pędza ten trójwymiarowy ruch wody. A woda niesie w sobie energię.

Prosty dowód: w marcu tutaj, w Wielkiej Brytanii, na zewnątrz jest dość ciepło, ponad 10 st. C. Ale gdybyśmy pojechali do Halifax w Kanadzie, na tej samej szerokości geograficznej, ale po drugiej stronie Atlantyku, okaże się, że tam jest mroźnie, około 15 lub 20 st. chłodniej. To oceaniczny silnik dostarcza nam energii cieplnej razem z prądem morskim, a my korzystamy z tej energii.

Wytłumacz, jak ocean oddycha.

– Gazy cały czas przepływają poprzez powierzchnię oceanu, w obie strony. Najważniejszymi gazami są dwutlenek węgla i tlen. W pobliżu równika ocean wydycha więcej dwutlenku węgla do atmosfery, niż absorbuje. Bliżej biegunów więcej go wdycha, pochłania. Zależy to od pogody i temperatury oraz od szerokości geograficznej, na której się znajdujemy.

I tak samo z tlenem. W głębinach oceanu, dwa, trzy czy cztery kilometry pod powierzchnią, gdzie nie ma żadnych roślin ani glonów, nie ma więc fotosyntezy, żyją organizmy, które oddychają tlenem – wszystkie te dziwne głębinowe ryby i stworzenia z dużymi oczami, które żyją w ciemności. Dzięki temu, że tlen został wraz z wodą dostarczony na takie

głębokości, mamy w tym abisalu niesamowitą ilość życia. Stworzenia głębinowe oddychają tlenem, który być może 100, 200 lub 300 lat wcześniej był absorbowany na powierzchni oceanu.

Dlaczego jest to teraz ważne? Bo wprowadzamy dodatkowy dwutlenek węgla do atmosfery pochodzący ze spalania paliw kopalnych. I ocean pochłania (czyli wdycha) część tego dodatkowego gazu. Wyciąga go z atmosfery, przez co skutki gromadzenia się nadmiaru gazów cieplarnianych są łagodzone. Bez tego temperatura na Ziemi wzrosłaby jeszcze bardziej.

Do tego ocean pochłania olbrzymią część nadmiarowego ciepła, które zatrzymuje Ziemia.

Ale ma to również konsekwencje dla oceanu. Wpływa na życie organizmów, wpływa na chemię oceanu i nie robi mu żadnej przysługi.

Wszystkie te procesy fizyczne, chemiczne i biologiczne nakładają się na siebie, silnik się kręci, energia i gazy są przenoszone, światło dociera na różne głębokości. I nagle nie jest to już tylko woda. To scena dla tej niezwykle skomplikowanej gry, postacię przychodzą i odchodzą, poruszają się i wszystkie ich historie się splatają. To obraz najwspanialszej historii na Ziemi. Dlatego powinniśmy o tym rozmawiać.

Ludzie mają aroganckie przekonanie, że kontrolują świat, że mogą podejmować decyzje. A okazuje się, że gramy w grę, do której ocean narysował nam planszę

Zajmujesz się bąbelkami, czyli pęcherzykami powietrza w morzu. Co dokładnie starasz się zbadać?

– Bąbelki mają znaczenie dla procesów wymiany gazowej w oceanie. Działają jak płuca – zwiększają powierzchnię wymiany między tonią a atmosferą. Przy najwyższych prędkościach wiatru, podczas dużych sztormów na północnym Atlantyku, zwłaszcza zimą, ta wymiana może być dwa razy silniejsza.

Dlatego zimą byłam na pięcioletnim rejsie badawczym po Morzu Labradorским podczas ogromnych sztormów, kiedy prędkość wiatru to 30 metrów na sekundę, a średnia wysokość fal dochodzi do 10 m. W takich warunkach próbowałam zmierzyć pęcherzyki w górnych trzech metrach wód oceanu, a moi koledzy zajmowali się bezpośrednio wymianą zarówno dwutlenku węgla, jak i tlenu.

Nie wiemy dokładnie, ile gazu przemieszcza się w kolumnie wody w górę i w dół, a te burze są nieproporcjonalnie ważne. Podczas jednego sztormu do oceanu zostaje zassana ogromna ilość gazów. Szczególnie w przypadku tlenu ma to znaczenie, bo tam, gdzie byliśmy – między Grenlandią a Kanadą – jest to jedno z miejsc, w których woda z powierzchni zasila głębinę.

Różnica między tym, co wylicza model matematyczny, a rzeczywistością może wynosić 70 proc. – o tyle modele się mylą. Te fundamentalne mechanizmy – jeśli chcemy zrozumieć, jak głęboko ocean oddycha – nie są nam dobrze znane. Mieliśmy mało danych na ten temat. Teraz zebraliśmy pomiary bąbelków w rekordowych prędkościach wiatru.

Planeta Ziemia to bardziej ocean czy bardziej ląd? Żyjemy na lądzie, więc można przyjąć, że po prostu odrzuciliśmy tę pozostałą część, mimo że próbowaliśmy się tam dostać, aby zobaczyć, jak tam jest?

– Ocean jest dominującą cechą, ale to ląd sprawia, że ocean jest interesujący, bo staje na jego drodze. Planeta składająca się wyłącznie z oceanu byłaby o wie-

le nudniejsza. Ale my cały czas mówimy tylko o lądzie. Prawdopodobnie nadszedł czas, aby ocean otrzymał uznanie za to, jaki ma wpływ na świat. Żeby przestał być tylko „wodą tam głęboko”.

Przez większość historii ludzkości sprawy rozgrywały się lokalnie. Ale żyjemy w globalnym społeczeństwie i widzimy, jak społeczeństwo rozprzestrzenia się po całej planecie, i musimy widzieć globalny kontekst. Nie tylko dlatego, że go zmieniamy.

Ale faktycznie, myślenie o oceanie wymaga skoku wyobraźni. Musisz umieć wyobrazić sobie pingwina pływającego gdzieś, gdzie ty nigdy nie pływasz, albo małego węgorza, głębinę oceanu, których nigdy nie zobaczysz, albo to, co miało wpływ na cywilizację 4 tys. lat temu.

Żeby jednak naprawdę zajrzeć do oceanu, trzeba mieć bardzo pokorne i dojrzałe spojrzenie na to, czym jest eksploracja. Lecisz na Księżyc, wbijasz flagę i już, mamy osiągnięcie. Księżyc nie zmienił się od 2 mld lat, więc nie ma tam za wielu procesów do śledzenia.

Musimy odejść od naszej idei eksploracji polegającej na byciu pierwszym lub posiadaniu własności; potrzebujemy, aby eksploracja polegała na szacunku i ciekawości. A wtedy ocean jest o wiele bardziej kosmiczny i o wiele bardziej wart studiowania, bo to całe bogactwo czyni go systemem podtrzymywania życia dla nas.

Dla mnie najbardziej fascynujące jest to, że to system różnych równowag. Niewielka zmiana może zaburzyć ten stan i doprowadzić do katastrofy. Jeśli ta maszyna działa 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, to przecież cały czas ryzykujemy.

– Już w latach 60. i 70. ubiegłego wieku Roger Revelle, bardzo znany oceanograf, napisał artykuł, w którym stwierdził: przeprowadzamy gigantyczny eksperyment. Tylko on mówił o atmosferze i o wprowadzaniu do niej CO₂, a nawet on nigdy nie pomyślał, że ludzie mogą naruszyć równowagę oceanu.



***Dr Helen Czerski**

• jest fizyczką i oceanografką, pracuje na Wydziale Mechaniki Inżynierskiej University College London. Oprócz tego jest popularyzatorką nauki, gospodynią podcastów „Ocean Matters” i „Rare Earth” produkowanego dla BBC Radio 4. W zeszłym roku wydała książkę „The Blue Machine: How The Ocean Works”. W Polsce ukazała się jej wcześniejsza książka „Burza w szklance wody. Fizyka w życiu codziennym” (2017, wyd. Czarna Owca).

FOT. EMMA GIBSON

Zakładano, że atmosfera jest dość cienka, zmienia się dynamicznie, porusza się szybko wokół Ziemi, więc jest prawdopodobne, że nasza działalność na nią wpływa. A ocean jest tak duży, że ludzie nie będą w stanie zrobić nic, co by go w znaczący sposób zmieniło. Oczywiście teraz wiemy, że to nieprawda, a nasz wpływ na ocean pojawił się, zanim zaczęliśmy o tym myśleć.

Mam na to doskonały przykład. Zanim dowiedzieliśmy się, jak badać dźwięki rozchodzące się w wodzie, potrzebowaliśmy specjalnego urządzenia do emitowania dźwięku do wody, a zanim dowiedzieliśmy się jak to zrobić potrzebowaliśmy specjalnego mikrofonu.

Ale dużo wcześniej, niż rozwiązaliśmy te problemy, wtłaczaliśmy dźwięki do oceanu, na przykład z mechanicznych statków czy choćby podczas działań wojennych. A wpływ tego możemy zobaczyć w woskowinie usznej wielorybów.

W czym?

– Wieloryby mają woskowinę, ponieważ kiedyś były ssakami lądowymi. Ewolowały, aby zasiedlić oceany. I tu ciekawostka – nadal wytwarzają woskowinę uszną, ale jest ona w pewnym sensie uwięziona w środku, ponieważ ten kanał jest już zamknięty.

W tej woskowinie zapisane jest całe życie wieloryba. To jak biblioteka jego życia. Badając poziom hormonu stresu, widzimy, że wieloryby były wyjątkowo zestresowane podczas II wojny światowej. Nie dlatego, że były zabijane przez ludzi – ludzie byli zajęci zabijaniem siebie nawzajem – ale z powodu hałasu ze statków, torped i bomb, których używaliśmy. Więc zanim ludzie dowiedzieli się, że mogą mieć jakiegokolwiek wpływ na ocean, robili tyle hałasu podczas wojny, że dziś możemy zobaczyć to zapisane w woskowinie wielorybów, co samo w sobie jest dość niezwykle.

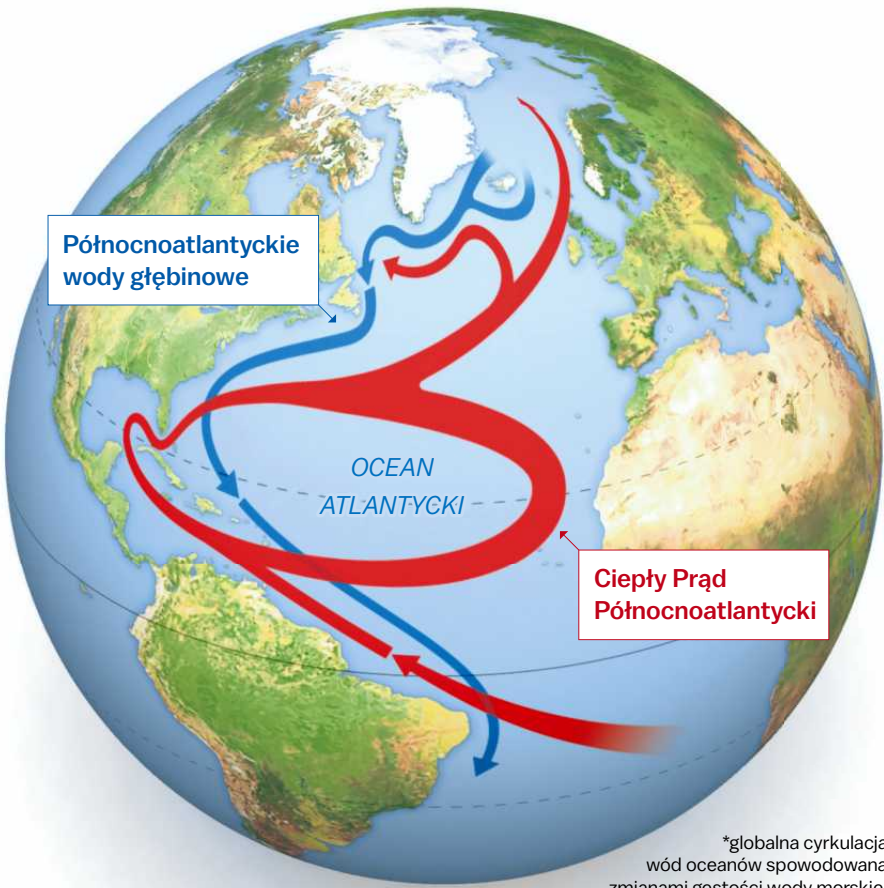
To, co robimy teraz, największy wpływ, jaki mamy na ocean, to nie plastik, śmieci, przełowienie ekosystemów czy podobne rzeczy. To fakt, że wprowadziliśmy do atmosfery tak dużo gazów cieplarnianych, że uwięziliśmy na Ziemi dodatkową energię, a 93 proc. tej energii trafia do oceanu. Ogrzewa ona głównie powierzchnię warstwę wód i to sprawiło, że nasz silnik zaczął się dławić.

Ta warstwa powierzchniowa jest bardziej wyporna, bo jest mniej słona przez dopływ słodkiej wody z topniejącego lodu, a więc jest bardziej prawdopodobne, że będzie się unosić i trudniej ją wymieszać. Procesy, które do tej pory napędzały krążenie wody w oceanie, dramatycznie słabną. A silnik spowalnia.

To dobry moment, by zapytać o górnictwo głębinowe. Transformacja energetyczna wymaga rozwoju technologii, do którego potrzebujemy kluczowych minerałów: litu, kobaltu, niklu, manganu. Na lądzie ich brakuje, są wydobywane bez poszanowania życia i zdrowia ludzi albo złoża są pod kontrolą reżimów. Tymczasem na dnie oceanu mamy rozległe równiny pokryte koncentracjami polimetalicznymi. Łatwe do wydobycia, łatwe do przerobienia. Zielone technologie czekają, ryzykować?

– Nie, jeszcze nie. Wkroczenie z przemysłem wydobywczym na głębiny morskie wiąże się z kilkoma rzeczami.

Cyrkulacja termohalinowa*



© GAZETA WYBORCZA

Po pierwsze, ingerencja w życie tam, gdzie o nim mało wiemy. To niezwykle ekosystem i ostatnie wielkie dzikie miejsce na Ziemi. Nie ma wątpliwości, że nie rozumiemy zbyt dobrze, co tam się dzieje. Oczywiście badamy to, ale za każdym razem, gdy tam płyniemy, odkrywamy nowe rzeczy, coś, o czym nie mieliśmy pojęcia. Więc nawet nie wiemy, co byśmy zniszczyli!

[Pod koniec lipca międzynarodowa grupa naukowców opublikowała w piśmie „Nature Geoscience” pracę, z której wynika, że koncentracje polimetaliczne na dnie oceanicznym biorą udział w wytwarzaniu „ciemnego tlenu”, która może być ważna dla życia w głębinach. Mechanizm ten, choć odnotowany, nie jest jeszcze dobrze zrozumiany].

Po drugie – minerały i to, czy rzeczywiście ich potrzebujemy do dekarbonizacji [zaprzestanie spalania kolejnych milionów ton węgla i gazu]. Największy argument za wydobyciem głębinowym pochodzi od ludzi, którzy mówią: „Cóż, potrzebujemy kobaltu, bo jest niezbędny do produkcji baterii”. Ale jeśli rozmawiasz z producenta-

mi baterii, co również zrobiłam, to okazuje się, że trwa intensywna praca, by wyeliminować z nich kobalt.

Ludzie w tych budynkach, w laboratoriach na dole [rozmawiamy na University College London] starają się zaprojektować takie baterie, które nie potrzebują żadnego z tych metali. Rozumieją, że trudno je wydobyc i są drogie, ale także dlatego, że ich recykling jest potwornie trudny, przez co bateria jest droższa.

A gdyby tak upowszechnić baterię sodowo-jonową? Sodu jest mnóstwo. Jest tani. A Tesla już powiedziała, że nie ma kobaltu w prawie 80 proc. swoich aut. Tak więc ten pierwiastek jest eliminowany w pierwszej kolejności. Nie jestem więc przekonana, czy naprawdę potrzebujemy tego wydobycia z dna morza.

Tym bardziej że mamy uzasadnione zastrzeżenia do sposobu wydobycia na lądzie i należy to robić lepiej. A jeśli wydobycie odbywa się na lądzie, to można te miejsca obserwować – choćby nawet z auta, z samolotu czy w końcu z satelity. To raczej nie byłoby możliwe w przypadku kopalni 4 tys. m pod powierzchnią morza.

Istnieje więc pewna społeczna kontrola, a mimo to wiemy, że w kopalniach dzieje się wiele zła. Czy w takim razie spółki wydobywcze będą się dobrze zachowywać w oceanie, gdzie nie ma żadnej odpowiedzialności, ponieważ sprawdzanie ich byłoby zbyt kosztowne?

Poza tym, czy serio myślisz, że taka pierwsza, dobrze kontrolowana kopalnia rozwiązałaby jakieś nasze problemy? Nie, ludzie w Indonezji nie zaprzestaną wydobycia tylko dlatego, że ktoś wydobywa w strefie Clarion-Clipperton na Pacyfiku [między Hawajami a zachodnim wybrzeżem Meksyku].

Myślę jednak, że w pewnym sensie ten proces już się zaczął. Niektóre kraje – zwłaszcza te małe, wyspiarskie – prą do tego, by zacząć na górnictwie głębokomorskim zarabiać.

– Tak, strefa Clarion-Clipperton jest poza jurysdykcją krajową, ale wyspy na Pacyfiku – Nauru czy Wyspy Cooka – w swoich granicach państwowych mają wody odpowiednio głębokie, by można było i tam wydobywać koncentracje polimetaliczne. A pierwsza zgody na wydobycie na głębinach wydała Norwegia. To będą przypadki testowe. Będziemy patrzeć, jak wielkie zniszczenia to powoduje w ekosystemach. Myślę jednak, że w tej chwili jest za wcześnie na podjęcie decyzji dotyczących wszystkich głębin.

Za pięć lat inżynierowie opracują sposoby na obejście się bez dużych ilości kobaltu i sporej części niklu. Okaze się, że nie jest to warte ogromnych wysiłków. Wydobywanie z głębin morskich jest bardzo trudne technologicznie, a jego strona prawna naprawdę jest skomplikowana.

Piecze nad głębinami sprawuje International Seabed Authority (ISA).

– Tylko że problem z ISA polega na tym, że instytucja ta nie została utworzona, aby powstrzymać kogokolwiek przed robobieniem czegokolwiek – została utworzona, aby umożliwić poszukiwania ropy naftowej. I tak naprawdę nie ma mechanizmów, które mogłyby zastopować eksplorację. Znajdujemy się w swego rodzaju proceduralnej pułapce. Mówi się o kilkuletniej karencji na wydobycie. Tyle tylko, że procesy na głębinach zachodzą dużo dłużej, więc jeśli chcesz ocenić szkody powstałe z powodu górnictwa dna morskiego, to po pięciu latach jeszcze niczego nie zobaczysz.

Słyszysz jednak coraz więcej o badaniach naukowych dna oceanicznego.

– Tak, to mnie napawa optymizmem. Być może będzie można stworzyć ranking najbardziej cennych przyrodniczo rejonów, które będą chronione. Ale Wyspy Cooka i Nauru już wtedy zaczną działać.

Interesujące, że w tej chwili badania są częściowo finansowane przez firmy takie jak The Metals Company [to firma najbardziej zaangażowana w rozpoczęcie wydobycia w strefie Clarion-Clipperton]. Oni chcą uzyskać konkretną odpowiedź z tych badań. A w tej chwili mogą pochwalić się społecznie odpowiedzialnymi działaniami. Jest to dla nich łatwe i nie są to też dla nich duże pieniądze, a mogą powiedzieć, że finansują naukę, pomagają, zachowują się odpowiedzialnie.

Ale co się stanie, gdy te badania albo dadzą neutralną odpowiedź, albo taką, która im się nie spodoba?

– Myślę, że w tym momencie kurek z pieniędzmi zostanie zakręcony, złota era badań się skończy.

Opowiem ci o pewnej sytuacji i cieszę się, że to może być na nagraniu. Byłam na konferencji oceanograficznej w Nowym Orleanie, byli tam niemal wszyscy naukowcy zajmujący się oceanami, 7-8 tys. osób. Część z nich prezentowała swoje badania na plakatach. Organizatorzy wyraźnie zaznaczyli, że części z tych plakatów nie będzie można fotografować, będą specjalnie oznaczone. Obejrzałam wszystkie 2 tys. plakatów i były do-



kładnie dwa z taką naklejką – w obu przypadkach dotyczyły głębin, a badania sponzorowała firma The Metals Company.

**Nie rozumiem – badania były prezen-
towane, ale nie można było wyników
zabrać ze sobą?**

– No właśnie – jaki jest cel takich badań, skoro nikt inny nie może z nich korzystać? Konferencje naukowe polegają na dzieleniu się wiedzą. Jeśli nie jesteś na to otwarty, to co próbujesz ukryć? Jeśli firmy takie jak The Metals Company mają naprawdę dobre intencje, to wszyscy powinni znać wyniki badań, za które płać. Nie powinny być ukrywane.

Dużo się też słyszy o wychwytywaniu dwutlenku węgla i składowaniu go pod powierzchnią oceanu. W ten sposób atmosfera miałaby być odciążona z jego nadmiaru.

- Wychwytywanie CO₂ odnosi się do jakiegoś znanego źródła, np. do fabryki z kominem, na który można założyć filtry, a to, co jest wyłapane, zostaje zdeponowane w jakimś miejscu.

Ale w ostatnich trzech latach pojawił się pomysł, że skoro ocean już naturalnie pobiera mnóstwo węgla z atmosfery poprzez procesy oddychania, to dlaczego nie mogłyby pobierać nieco więcej, gdybyśmy tylko jakoś go do tego skłonili. Stąd mówi się o „niebieskim węglu”, czyli takim, który jest zdeponowany w morzu.

Jak to zrobić?

– Jest wiele koncepcji, niektóre mówią o nasadzaniu trawy morskiej, wodorostów czy roślinności namorzynowej. Rośliny pochłaniają dwutlenek węgla, wbudowują go w swoje organizmy i w ten sposób miałyby być „uwięzione” pod wodą.

Będę jednak szczerą – jest wiele doskonałych powodów, by dbać o trawę morską czy namorzyny (zwiększanie bioróżnorodności, ochrona wybrzeży), ale węgiel nie jest jednym z nich.

I znowu – w tych ostatnich latach pojawił się dosłownie znikąd cały przemysł inwestujący w usuwanie węgla i deponowanie go. Podobnie jak z górnictwem głębokomorskim mamy tu do czynienia z olbrzymim ładunkiem pieniędzy, które naganiają ten temat. A na konferencji oceanograficznej, gdzie równolegle odbywa kilka paneli dyskusyjnych, ten temat pojawiał się co chwila. To było jak wirus – kilku naukowców, wiele

firm, wiele osób mówiących o tym, co może się wydarzyć. Mało rzeczywistej nauki, dużo szumu i dużo pieniędzy, dużo entuzjazmu.

Niesłusznie?

– Ci entuzjaści uważają, że jeśli będziemy manipulować węglem w oceanie, możemy zmniejszyć jego ilość w wodach powierzchniowych, a wtedy dodatkowy węgiel z atmosfery wejdzie w to miejsce i je wypelni. Jednak dopóki nie nastąpi prawie całkowita dekarbonizacja, takie działania będą bezcelowe.

Każdego roku wprowadzamy do atmosfery 40 mld ton dwutlenku węgla, a nawet najlepsze technologie mają usuwać z atmosfery 1 mln ton CO₂ rocznie, tyle że... jeszcze nie istnieją. Są założenia, że w ciągu czterech lat powstanie prototyp. „Milion” wydaje się dużą liczbą, ale zajmie ci około 22 min, by zrekomensować ten ubytek codzienna aktywności ludzi.

Dopóki nie przeprowadzimy głębokiej dekarbonizacji, będzie to nonsensem. A skalowanie tych instalacji to osobna kwestia. Wszystkie te technologie wymagają ogromnej ilości energii, która musi skądś pochodzić. Potrzebują materiałów. Potrzebują zasobów. Zasadniczo dekarbonizacja jest znacznie łatwiejsza.

Nie mamy narzędzi naukowych, aby wykazać, że cokolwiek z tego działa, dlatego że ocean się zmienia, jest dynamiczny. A by mieć pewność, że te metody działają, trzeba byłoby udowodnić efekt dodatkowości i trwałości. Wykazać, że faktycznie pochłaniają one pewną ilość dwutlenku węgla, która nie zostałaby pochłonięta w inny sposób.

Najprostszy przykład: hodujesz wodorosty tutaj i pochłaniają one pewną ilość dwutlenku węgla, ale gdybyś tego nie robiła, to same składniki odżywcze mogłyby przyczynić się do wyhodowania wodorostów kawałek dalej. I to nie jest dodatkowe usuwanie CO₂. Trzeba też udowodnić, że te procesy są trwałe, będą przebiegać niezmiennie przez wiele lat. Czy mamy pewność, że dwutlenek wtłoczony do wody, przeniesiony z falą dalej nie zostanie oddany z powrotem atmosferze?

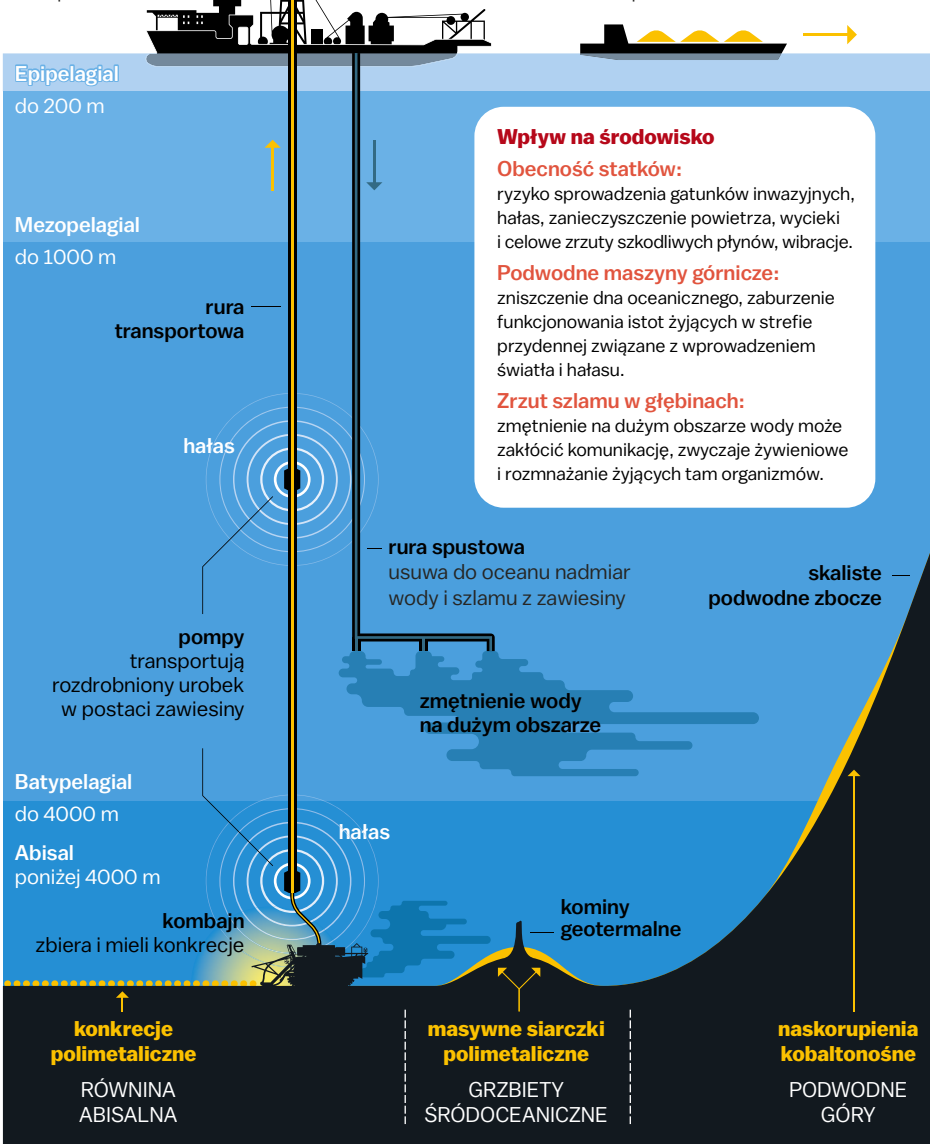
Oznacza to, że trzeba znać chemiczną i biologiczną oceanografię w niewiarygodnych szczegółach i śledzić te procesy przez 100 lat, aby sprawdzić, czy węgiel gdzieś zniknął. A my nie mamy ani wiedzy, ani czasu, by to zrobić.

Źródła finansowania tej eksplozji zainteresowania nie są przypadkowe. Stało się tak

Proces wydobywania głębinowego

Statek wydobywczy,
sterowanie kombajnami,
oczyszczenie urobku,
przeładunek na barki
transportowe

Barka transportowa
transport do masowca



© GAZETA WYBORCZA/WAWRZYNIEC ŚWIECICKI

ŹRÓDŁO: UNEP.ORG/GEAS

z powodu finansowania przez duże firmy jak Meta czy Google. A one są zainteresowane możliwością robienia dalej tego, co robią, i twierdzenia, że są neutralne klimatycznie.

Jeden z dużych koncernów naftowych w USA właśnie kupił jeden ze start-upów zajmujących się morskim dwutlenkiem węgla, oferując wycenę około 1 mld dolarów. To szalone, wszyscy na świecie patrzą i mówią: „Nie ma mowy, żeby to było tyle warte”. Ale koncern naftowy nie kupuje dla dobra ludzkości. Kupuje po to, aby móc twierdzić, że może nadal spalać ropę i jest neutralnym pod względem emisji dwutlenku węgla.

Czyli klasyczny greenwashing. Bardzo to deprymujące. Co w takim razie trzeba zrobić teraz, aby realnie osłabiać katastrofę klimatyczną?

– **Po pierwsze**, dekarbonizacja – przestać spalać ropę i gaz.

Po drugie, myśleć o tym, ile jakich zasobów zużywamy, ile śmieci produkujemy, jak łatwo nam to przychodzi.

Po trzecie, zastanowić się, jakie ryby jemy i skąd. Polowy przemysłowe to katastrofa, która eksploatuje ocean, a akwakultury, czyli hodowle na wielką skalę, też niczego dobrego nie przynoszą.

Myślę, że powodem, dla którego tak wiele złych rzeczy zrobiliśmy z oceanem, jest to,

że traktowaliśmy go jak coś odrębnego, poza naszym zasięgiem i zainteresowaniem. Jakby był tylko na końcu jakiejś rury, którą ludzie stworzyli, wkładając do niej wszystkie te rzeczy: dźwięk i światło, zanieczyszczenia, dodatkowy dwutlenek węgla i ciepło, sieci rybackie i wszystkie tego rodzaju rzeczy.

Żyjemy na jednej planecie, wszystko jest ze sobą połączone. Nie ma miejsca, które można by nazwać oddalonym, wszystko w jakiś sposób powraca. Ale kiedy zrozumiesz, co się dzieje, kiedy troszczysz się o ocean jako miejsce, kiedy troszczysz się, bo wiesz, że ci pomaga, wtedy zaczynasz rozumieć, że ocean po prostu istnieje.

I następnym razem, gdy ktoś od niechcienia mówi o zrzuceniu czegoś do oceanu lub zrobieniu czegoś w oceanie, być może zadasz pytanie, jak on funkcjonuje w tym miejscu – bo nie jest to tylko wielka kałuża.

I nie chodzi o to, że nie powinniśmy budować morskich turbin wiatrowych, są one świetne, ale o to, żeby za każdym razem ze świadomością wszystkich procesów odbywających się w toni czy na dnie sprawdzić, czy nie ma lepszej opcji.

Kiedy już myślisz o świecie inaczej, myślisz o oceanie inaczej, zależy ci na nim, łatwiej jest podejmować długoterminowe decyzje, które zapewnią, że ta błękitna maszyna będzie funkcjonować sprawnie i długo.



- Platforma wiertnicza na Oceanie Spokojnym u wybrzeży Kalifornii.

Eksploracja oceanów kojarzyła się do tej pory z wydobywaniem ropy, ale są tu też złoża np. litu i kabałtu

Dedykowane Jerzemu Jarzębskiemu

KAŻDY SZUKA
SWEGO DROHOBYCZA

Powrót do ziemi obiecanej to nie powrót do geograficznego Izraela, ale do stanu sprawiedliwości i wolności

Karen Underhill*

Porównując się z kolegami, którzy mają długie i głębokie związki z Jurkiem Jarzębskim, zdaję sobie sprawę ze swojego statusu outsidera, a przynajmniej kogoś, kto znał Jurka i jego twórczość z pewnego dystansu: z pozycji czytelnika, czasami tłumaczki, a na pewno wielbiciela. [Jerzy Jarzębski – zmarły w lutym historyk literatury].

A jednak może właśnie ten status obcokrajowca i outsidera daje mi prawo, by mówić o pewnych cechach, które definiowały osobowość prof. Jarzębskiego i jego pracę: o jego otwartości na innych, wielkoduszności i gościnności.

Pamiętam, jak podczas drugiej edycji festiwalu Schulzowskiego w 2006 r. to właśnie on wprowadził nas w „tekst Drohobycza” – nas, przybyłych tutaj po raz pierwszy z Francji i Belgii, Japonii i ze Stanów, z Austrii, Australii, z Serbii i z Wielkiej Brytanii – otwierając przed nami Schulzowskie miejsca, ulice i zakątki. Jurek robił to z rozbijającą łatwością i całkowicie bezpretensjonalnie, z niemal dziecięcym zaintrygowaniem zapraszając do przygody.

Zamiast, by tak rzec, strzec swego terytorium – trudnego terytorium polskiego modernizmu – z rzadką u badaczy przystępnością zapraszał przybyszy do krainy, której tajemnice i zaułki sam tak dobrze znał. Przede wszystkim zapraszał nas do wspólnoty „czytelników” tego miejsca: Drohobycza.

Tych z nas, którzy uczestniczyli w festiwalu tamtego roku, ten spacer z Jurkiem włączył w sieć Schulzowskiej energii i rezonansów i uczynił z nas wspólnotę współspiskowców. Przyjaźnie wtedy nawiązane trwają już dziesięciolecia. Taka była siła jego gościnności i jego miłości do Schulza i do tego miejsca.

Przyjmując zaproszenie do rozmowy o miejscu – o Drohobyczu, domu Schulza, ale także o domu i ojczyźnie w szerszym ujęciu – pragnę się skupić na idei golusa. W języku jidysz słowo „go-

lus” ma dwa znaczenia – diaspora i wygnanie.

Zatem podobnie jak wiele słów w poetyckim słowniku Schulza „golus” jest figurą o dwóch obliczach, dwóch aspektach. Można powiedzieć, że pierwszy jest pozytywny (diaspora), a drugi bardziej negatywny (wygnanie). W ten sposób obraz golusa funkcjonuje – by użyć określenia Schulza – jako tzw. obraz-zagadka lub obraz-talizman, czyli figura, która zawiera w sobie nierozwiązywalne napięcie lub pytanie.

Czy miejsce golusowej egzystencji jest domem, czy miejscem wygnania? Kiedy jest domem, a co sprawia, że nagle czujemy się na wygnaniu, nawet nie zmieniając miejsca? Czy golus jest stanem geograficznym lub politycznym, który można zmodyfikować? A może jest to stan ontologiczny, w którym cała materia i wszystkie języki mówione istnieją rozproszone w świecie materialnym, w swoich potocznych i przemijających formach, na historycznym torze czasu?

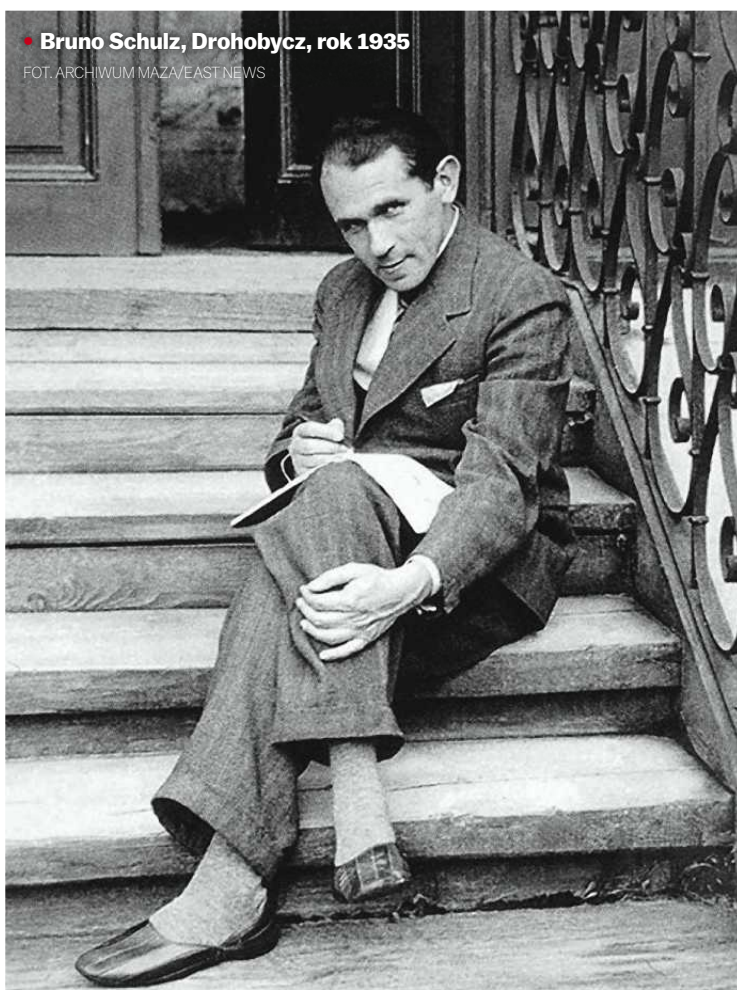
Dla filozofa Waltera Benjamina, współczesnego Schulzowi, taką figurą, następstwem Schulzowskiego obrazu-zagadki, był obraz dialektyczny: nierozwiązywalna figura, jak jego anioł historii, która zawierała w sobie wgląd w kondycję nowoczesną: daje świadectwo katastrofy, a jednocześnie zaprasza do egzegezy i pokłada wiarę w egzegezie.

Wracając do dwulicowej postaci golusa: można powiedzieć, że jedno z jej obliczy, diaspora, ma pozytywną wartość: żyć w diasporze to żyć jako obywatel świata – żyć z innymi i wśród innych; tworzyć i cenić pluralizm.

Jednak golus oznacza również wygnanie: bycie nie na miejscu; z dala od ojczyzny pamięci lub ojczyzny marzeń; lub inaczej – bycie jeszcze nie w domu, jeszcze nie w takim świecie, jakim powinien on być.

W świecie, ale też politycznym dyskursie żydowskim XX wieku ta druga, metaforyczna koncepcja powrotu z wygnania do ziemi obiecanej była równie silna jak pierwsza. Idea czasów mesjańskich oznaczała dla wielu powrót nie do geograficznego Erec Israel lub Palestyny, ale do stanu sprawiedliwości i wolności. Dziś moglibyśmy powiedzieć: powrót do kresu wojny i do czasu pokoju.

Tak więc nawet ten pozorny „negatywny” aspekt golusa – jego oblicze rozumiane jako stan zagrożenia i niepewności – nie oznaczało i nie oznacza rezygnacji. Zakłada bowiem orientację na przyszły, sprawiedliwy świat. Oznacza też budowanie miejsc azylu i schronienia; budowanie wspólnoty w oczekiwaniu na tę lepszą erę. W tym sensie



golus znowu oznacza dom: miejsce komfortu, miłości i wspólnego języka.

Schulz nie używał słowa „golus” w prozie czy krytyce literackiej. Kluczową strategią jego „poetyki przekładu” było celowe uniwersalizowanie treści i zwrotów związanych z kulturą żydowską; znajdowanie polskich i europejskich odpowiedników dla pojęć i terminów zaczerpniętych z żydowskiej wyobraźni kulturowej.

W wyniku tej strategii translatorskiej Schulza zaczerpnięte z jidysz słowo „golus” objawiło się nam dopiero w 2015 r., kiedy Piotr Sitkiewicz i Bohdan Łazorak odkryli esej Schulza z 1937 r. o drohobyckim artyście Efraimie Mojżeszowi Lilienie. W eseju opublikowanym w „Przeglądzie Podkarpacia” Schulz pisał o twórczości Liliena – a także o własnej – jako o „tworze zrodzonym z golusowej tęsknoty”.

Poprzez tę frazę i ten esej Schulz brał udział w rozmowie z kolegami po piórze na temat golusowej egzystencji – polsko-żydowskiego bytowania w międzywojennej Polsce, gdzie narastał antysemityzm i wykluczający nacjonalizm. Do 1937 r. wiele osób z polskich społeczności żydowskich postanowiło opuścić Polskę i wyjechać do Palestyny, jedynej miejsc, które nadal stało przed nimi otworem.

Koledzy i przyjaciele Schulza z żydowskiego środowiska literackiego we Lwowie, m.in. Rachela

Auerbach, Rachela Korn i Melech Rawicz, uznali, że jako żydowscy pisarze zaangażowani w kontynuację kultury żydowskiej muszą porzucić język polski, swój język ojczysty, na rzecz jidysz lub hebrajskiego. Historia wznosiła nowe mury językowe i etniczne, wytyczała nowe granice, a oni musieli dokonać wyboru.

W eseju o Lilienie, będącym w pewnym stopniu żalobną apologią, Schulz podkreślał, że nie mógł i nie chciał dokonywać takiego wyboru i że golus – tu, w Drohobyczu, i także w języku polskim – był jego jedyną ojczyzną. Austriackie i galicyjskie marzenie o pluralistycznym współistnieniu było źródłem jego artystycznej inspiracji i uniwersalnej przenikliwości. Tylko tu i tylko w tym miejscu – miejscu diaspory i wygnania – w tym diasporycznym polsko-żydowskim języku mogła powstać jego poezja „zrodzona z golusowej tęsknoty”.

Podobnie jak Józef z opowiadania „Wiosna”, „chciałem wytrwać na posterunku, na którym mnie los mój postawił, chciałem do końca spełnić mój program”. Tak więc sens i głębość, trwały wkład poezji Schulza jest ściśle związany z nierozwiązywalnym obrazem-zagadką golusa.

Jak wiemy, Schulz nie wybrał między diasporą a wygnaniem. Udało mu się za to aktywnie wykorzystać obraz-zagadkę golusa, żeby stworzyć literaturę, która mogłaby zawrzeć w so-

bie to nierozwiązywalne napięcie między dwiema tymczasowościami: pomiędzy linearnym i bezlitosnym czasem historii i czasem poezji – czasem tekstu transhistorycznego.

To było napięcie definiujące dla życia żydowskiego pisarza w Europie państw narodowych po I wojnie światowej. Trwałym dokonaniem Schulza było otwarcie tego specyficznego żydowskiego doświadczenia na Obcego i na Innego, czyli na nas wszystkich.

Rozumiem przez to, że Schulz celowo i starannie uniwersalizował doświadczenie golusa – swoje i swojego pokolenia – tworząc polskie słownictwo i zestaw obrazów, które przedstawiały golusa jako kondycję nie tylko jednostki pochodzenia żydowskiego, ale także istoty ludzkiej; języka i materii. Może to jest jego gest bezwarunkowej gościnności, którym nas zaprasza ponownie do tego miejsca?

Jurek Jarzębski nie sięgał po terminy żydowskie, by mówić o Schulzowskiej poetyce, a jednak w tekstach o nim uchwycił etyczny rdzeń Schulzowskiej estetyki golusa. Rdzeń ten miał trzy aspekty.

Była to, po pierwsze, otwartość na innych – brak lub przepuszczalność granic; po drugie, antycypacja – orientacja na świat, jaki powinien być i jaki będzie; po trzecie, schronienie – budowanie sanktuarium lub azylu, a w nim wspólnoty poetów i czytelników, zanim ów antycypowany świat nadejdzie.

Ta potrójna intuicja gościnności, antycypacji i schronienia nadal realizuje się w miejscu, w którym się narodziła – tutaj, w Drohobyczu, na tym festiwalu i w twórczości zgromadzonych tu poetów i pisarzy.

Ten oparty na zaufaniu instynkt był czymś, co tak wdzięcznie modelował dla nas Jurek Jarzębski i co – wierzę gorąco – nadal będzie nam dodawało siły i solidarności, a przede wszystkim nadziei w trudnych czasach, które nas czekają.●

*Karen Underhill

● amerykańska badaczka historii i kultury Europy Środkowej. Zajmuje się m.in. twórczością Brunona Schulza, stosunkami polsko-żydowskimi i pluralistycznym krajobrazem językowym i kulturalnym Polski.

Tekst wygłoszony podczas sesji „Czytanie miejsca”, poświęconej Jerzemu Jarzębskiemu części programu XI Międzynarodowego Festiwalu Brunona Schulza (SchulzFest '24), który odbył się w Drohobyczu 7-13 lipca 2024 r.

Janusz Palikot*

Ludzkość zna alkohol od tysięcy lat; na pewno od 6 tys., a może nawet 20 tys. lat. Piliśmy w Mezopotamii, Egipcie, Grecji, Rzymie, Watykanie i całej współczesnej Europie. Spożywaliśmy lekko sfermentowane zboże zwane piwem lub owoce zwane winem doprawiane ziołami i sokami.

Picie alkoholu przez tysiące lat było bezpieczniejsze niż picie wody, szczególnie w średniowieczu.

Był on podstawą w medycynie jako najlepszy przewodnik ziół i ich właściwości. Nic się w tej sprawie nie zmieniło, choć zmieniło się wszystko. Jak to zawsze z ludźmi.

Dawne wina czy piwa w smaku bardziej przypominały coś w rodzaju wermutu czy sangrii. Na dokładkę miały małą zawartość alkoholu, w granicach jedynie 2 proc. Dopiero w XIX wieku dzięki odkryciom Ludwika Pasteura zrozumieliśmy fermentację i to, że jej proces, oprócz alkoholu i dwutlenku węgla, wytwarza też ocet i mleko. To właśnie te efekty uboczne miały przykryć zioła i różne dodatki do sfermentowanych zbóż, a potem winogron i innych owoców.

Do czasu tego wielkiego odkrycia proces fermentacji miał charakter boski; przypisywano go różnym bogom, m.in. Bachusowi. Do dziś jeszcze funkcjonuje w kościołach cień tamtego mitu w postaci eucharystii.

Oczywiście, jak zawsze na zasadzie wyjątku, bywali mistrzowie fermentacji „niezrozumialej”, którzy przez uogólnianie praktyk domowych i przekazu płynącego z tradycji potrafili robić świetne wina, jakich i dziś byśmy się z chęcią napili.

Dopiero pod koniec XIX wieku powstało piwo dolnej fermentacji, wymyślone w laboratorium Carlsberga, czyli pils i lager, które stanowią obecnie 90 proc. światowej konsumpcji.

Pierwszy wytrawny alkohol pojawił się na początku XX wieku i było to wino. Ludzkość przez wieki piła trunki słodkie jak Dorato, Cin&Cin czy Martini, z małymi wyjątkami. Alkohol był też produktem luksusowym i niedemokratycznym, dopiero średniowiecze, a potem nowoczesność spowodowały, że mogą go spróbować wszyscy. Wcześniej w miarę powszechnie dostępny bywał jedynie w chwilach uniesień religijnych czy na uroczystościach świętowania zwycięstwa.

Słodkie wino pili Sokrates, Kleopatra, Cezar, Chrystus, Kant, Marks, Lenin i Hitler. Dopiero my, ludzie współcześni, mamy możliwość spożywania o wiele zdrowszych wytrawnych win i piw. To my wymyśliliśmy alkohol bez alkoholu, dealkoholizację win, piw, a nawet dżinu. I to my wymyśliliśmy m.in. Piccolo, czyli produkty bezalkoholowe dla niepełnoletnich. Dzieci rzymskie czy greckie skazane były na picie alkoholu. Taka jest potęga postępu i nauki.

Wiele oczywistych dziś cech różnych alkoholi to wynik zmian w zaledwie ostatnich kilkuset latach, a często w ostatnich stu. Chmiel chociażby stał się po-



• **Bachus**
– obraz stworzony
w 1596 roku
przez włoskiego
artystę barokowego
Caravaggia

Pić czy nie pić?

ALKOHOL TO DAR RADOŚCI

I ryzyko smutku.

Nic się w tej sprawie nie zmieniło,
choć zmieniło się wszystko

wszechnym dodatkiem do piwa w XVII wieku, wcześniej zastępował go rozmaryn i jałowiec. Alkohol mocny, z małymi wyjątkami wśród Arabów, to dopiero XIX wiek. Myśląc o tym oszałamiającym postępie, wyobraźcie sobie Lenina pijącego wermut czy Chrystusa pijącego sangrię. Jesteśmy dziś w zupełnie innym świecie. Wszystko to zawdzięczamy nauce.

David Nutt, brytyjski profesor, zasłynął przewrotnym twierdzeniem, że najgorszym ze wszyst-

kich narkotyków jest alkohol, przy którym dolegliwości wynikające z używania marihuany są jak picie coca-coli zamiast wody niegazowanej. Można by się więc spodziewać, że będzie zawziętym zwolennikiem prohibicji, wojującym feministą czystości alkoholowej lub islamistą niepicia. Nic z tych rzeczy. Może gdyby nie był Anglikiem, to miałby taki stosunek do alkoholu, ale na szczęście zwyciężył w nim brytyjski zdrowy rozsądek. Chwała angielskim filozofom.

A jako że zdrowemu rozsądkowi zazwyczaj towarzyszy duch przekory i ironii, to książka profesora „Pić czy nie pić” jest pełna intrygujących sugestii i twierdzeń.

Zatem na tytułowe pytanie Nutt odpowiada: jeśli już pić, to dobry alkohol. Jeśli jakiś alkohol, to czystą wódkę. Nie ma nic gorszego wśród alkoholi niż czerwone wino, które daje największego kaca. Jeśli pić, to degustować. Jeśli pić, to w towarzystwie. Nie jeść do alkoholu, bo to wzmacnia pragnienie. Whisky czy wód-

**Słodkie wino pili
Sokrates, Kleopatra,
Cezar, Chrystus,
Kant, Marks,
Lenin i Hitler.
Dopiero my,
ludzie współcześni,
mamy możliwość
spożywania
o wiele zdrowszych
wytrawnych
win i piw**

ka? Oczywiście wódka. Wszystko to prawda.

Z jednym tylko twierdzeniem Nutta się nie zgadzam, bo ze wszystkimi powyższymi jestem za pan brat, a mianowicie: aby popijać alkohol wodą. Owszem, przed konsumpcją alkoholu woda jest wskazana, po konsumpcji (ale najwcześniej godzinę po) też. Natomiast w trakcie – nie. Ilekroć popijałem wodę w trakcie, zawsze wypijałem więcej alkoholu i czułem się gorzej. Nic nie poradzę. Jak w sądzie zeznać – woda w trakcie szkodzi.

I nawet jeśli argumenty Davida Nutta są czasem po prostu przewrotne (im droższy alkohol pijesz, tym mniej go wypijesz – kłania się krakowski respekt dla go-tówki), to tezy są prawdziwe. Nie chlej – degustuj.

Jednak najciekawszą sugestią profesora, wielkiego specjalisty od uzależnień, jest ta oto: Notuj, ile pijesz, myśl, co to znaczy, interpretuj. Nie traktuj alkoholu jak obcego, ale jak ziomala, z którym rozmawiasz, spierasz się i któremu wyjaśniasz. Stawiaj też granice picia, jak w wychowaniu dzieci. Alkohol bowiem to dar radości i ryzyko smutku. ●

*Janusz Palikot

• ur. w 1964 r. w Biłgoraju, przedsiębiorca, polityk. Poseł na Sejm w latach 2005-15 (z list PO, potem z list założonego przez siebie Ruchu Palikota, późniejszego Twojego Ruchu). Był m.in. współwłaścicielem wydawnictwa słowo/obraz terytoria. Z wykształcenia filozof.



David Nutt, „Pić czy nie pić. Co nauka mówi o wpływie alkoholu na zdrowie”, przeł. Maciej Lorenc. Książka dostępna na stronie Krytyki Politycznej, w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



• Niemieccy żołnierze 1 września 1939 roku wyłamują szlaban graniczny na drodze Gdynia-Sopot-Gdańsk

FOT. DOMENA PUBLICZNA

WRZESIEŃ '39

MIELIŚMY SIĘ STAĆ na wozem DZIEJÓW

Żołnierze niemieccy byli dobrze ubrani, a w sklepach za wszystko płacili. Widząc czerwonoarmistów, ludzie się dziwili: „Jak taka hałastrą mogła zająć Polskę?”.

Z PROF. **ANDRZEJEM CHWALBĄ** ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

PIOTR GLUCHOWSKI: Gdzie i jak zaczęła się II wojna światowa?
PROF. ANDRZEJ CHWALBA: Nie na Westerplatte ani nie od bombardowania Wielunia, jak wcześniej sądzono, tylko prawdopodobnie w Rybniku, gdzie 1 września o 3.14 nad ranem na przedmieścia wjechały czołgi niemieckiej 5. Dywizji Pancерnej. Co jednak nie zmienia faktu, że symbolem początku całego nieszczęścia wciąż jest Westerplatte i tak zapewne zostanie.

Pisze pan, że Francuzi i Brytyjczycy nie tylko realnie nam wówczas nie pomogli, lecz wręcz zaszkadzili.
– W południe 29 sierpnia polskie władze zdecydowały o jawnej i powszechnej mobilizacji. Wtedy ambasadorzy Francji i Wielkiej Brytanii zaprotestowali, przekonując, że Niemcy uznają mobilizację za sprowokowanie wojny. I Polska uległa alianckiej presji. Odroczono mobilizację o cenne 24 godziny, co doprowadziło do organizacyjnego bałaganu – tym bardziej że działania i tak były spóźnione co najmniej o kilka dni. 1 września rano polskie pułki, a nawet dywizje stały często jeszcze na dworcach albo w koszarach.

Brzmi to jak sabotaż.
– Sprawa jest bardziej skomplikowana. Brytyjczycy, zawiązując sojusz militarny z Polską, nigdy nie wyobrażali sobie lądowania swej armii w Gdyni. Oni tym sojuszem dawali Berlinowi sygnał ostrzegawczy – nie ruszajcie Polski. Liczyli na to, że Hitler się przestraszy i nie zaatakuje. Dlatego, gdy się dowiedzieli o pełnej mobilizacji, uznali, że Polacy samobójczo manifestują gotowość do wojny. I protestowali: „Nie dawajcie Niemcom argumentów do zaatakowania!”.

Ewakuacja polskich urzędów, policji i straży pożarnej na wschód zaczęła się już 1 września. Nasze plany zakładały strategiczny odwrót za Wisłę?
– Praktyka ewakuacji urzędów miejskich i państwowych nie była niczym dziwnym. W poprzedniej Wielkiej Wojnie Francuzi, Austriacy i Rosjanie też ewakuowali swój aparat, by nie wpadł w ręce wroga. U nas to jednak wywołało panikę – od początku września kilka milionów ludzi ruszyło w bezładzie za policją i strażą. Przerażeni obywatele podążali za uciekającym państwem.

Pisze pan: „Szybkie działania Niemców oraz brak rozeznania co do kierunku ich ataku powodowały, że uciekinierzy nagle zmieniali kierunek marszu. Powracali do domów lub też, zamiast iść na wschód, nagle ruszali na północ [...] W Poznaniu obywatele komentowali, że sanacja zostawiła miasto samemu sobie. Nie miał kto gasić pożarów, które wzniecali nie tylko niemieccy lotnicy, ale i dywersanci”. Dużo było tych dywersantów?
– Niemcy szykowali atak od kilkunastu miesięcy. Przygotowali grupy dywersyjne z zadaniem siania paniki, która utrudnia obronę. Pojęcie piątej kolumny sięga wojny hiszpańskiej – generał Franco skorzystał z pomocy ukrytych zwolenników, kiedy zajmował Madryt. Hitlerowcy też tego chcieli. Już przed wrześniem odbywały się w Polsce procesy Niemców gromadzących broń.

Najsłynniejsza dywersja to Bydgoszcz, która przeżyła dwie „krwawe niedziele”.
– W tym mieście mieszkało około 10 proc. Niemców. Gdy 3 września pobite polskie wojsko wycofywało się tamtędy z korytarza pomorskiego, przedstawiciele mniejszości niemieckiej zaczęli strzelać do żołnierzy z okien. Na co Polacy odpowiedzieli serią samosądów. A potem zwycięscy Niemcy zgotowali zemstę: w Bydgoszczy, w Toruniu, w Chojnicach i na Kaszubach zamordowano kilkadziesiąt tysięcy polskich cywilów.

W gazetach z pierwszych tygodni września wygrzywalismy wojnę. Cytuje pan nagłówki: „Ofensywa niemiecka na Polskę załamana”; „Bijemy Niemców na

łądzie i na morzu”; „Zajęliśmy Gdańsk”; „Wojsko polskie maszeruje na Królewiec, Prusy Wschodnie będą nasze”.
– To prawa propagandy wojennej i psychiki ludzi, którzy oczekiwali pokrzepienia serc. Zgodnie z przedwojennym, oficjalnym obrazem Niemcy nie byli zagrożeniem, mieli tekturowe samoloty i czołgi... wojna miała potwierdzić te wyobrażenia.

Choć faktycznie zdarzały się wypadki polskich wojsk na tereny wroga, zbombardowaliśmy nawet jakieś cele na niemieckim Śląsku opolskim.
– To były incydenty. Ale rzeczywiście: wkroczenie do Rzeszy w okolicach Wschowy wywołało po stronie niemieckiej panikę. Tak samo było w Prusach Wschodnich, gdzie w pewnym momencie wjechali polscy kawalerzyści. Początkowo nastroje w naszym wojsku były zresztą wielce optymistyczne. Oficerowie, żegnając się przed wyjazdem na front, zapraszali kompanów na partyjkę brydża w Berlinie. Zakładali się o to, który pułk będzie pierwszy defilował po berlińskiej Unter den Linden.

Nie wiedzieli, że Niemcy są jednym z najbardziej rozwiniętych państw świata? Przecież wywiad, dzięki złamaniu Enigmy, miał informacje o ich potencjale.
– Oficerowie nie byli głupi, tyle że karmiono ich fałszywymi wyobrażeniami na temat polskiej potęgi, siły naszych sojuszy i słabości Niemiec.

Pisze pan, że trwająca od 9 do 22 września bitwa nad Bzurą stanowiła „szansę na przejęcie strategicznej inicjatywy”. Mielśmy w ogóle jakieś możliwości odwrócenia losu kampanii wrześniowej?
– Bitwa pod Kutnem zmniejszyła siłę bombardowań Warszawy, Wehrmacht się chwilowo zatrzymał. Dowódca armii „Poznań” gen. Tadeusz Kutrzeba liczył na to, że polska kontrofensywa skłoni Francję i Anglię do rozpoczęcia działań. Bo premierzy tych krajów na spotkaniu 12 września uznali, że Polska przepadła – a tu się okazuje, że jednak walczymy! Sam zaniepokojony Hitler przyleciał samolotem nad Bzurę, by dodać zapału walczącym w tym rejonie jednostkom. Przez chwilę mogło się wydawać, że Polacy faktycznie rozpoczną kontrnatarcie. Kutrzeba miał nadzieję na pomoc nowej armii formowanej w Warszawie i Modlinie. Niestety, główne dowództwo zawiodło. Największą słabość polskiej armii stanowił jej wódz. Edward Śmigły-Rydz zdecydował się dowodzić wszystkimi armiami jednocześnie, i to nie z Warszawy, ale z Brześcia, gdzie nie miał do tego infrastruktury. To przyniosło liczne złe decyzje, spóźnione lub nietrafione, prowadzące do pogłębienia chaosu i ostatecznej klęski.

Do tego doszła rebelia na południowym wschodzie. Dezercje żołnierzy pochodzenia ukraińskiego, „pogrzeby pańskiej Polski” połączone z niszczeniem jej symboli i mordowaniem jej przedstawicieli...
– Dla wielu Ukraińców Rzeczpospolita nie była ojczyzną, tylko krajem, który 20 lat wcześniej zabrał im niepodległość. Więc teraz trzeba to złe państwo dobić. Dywersanci ukraińscy w grupach nawet kilkudziesięciuosobowych, wyposażeni w broń od Abwehry, wyszkoleni w hitlerowskiej już Austrii, strzelali do wycofujących się polskich wojsk. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów jeszcze przed wojną zaoferowała Rzeszy gotowość do antypolskiego powstania, które miałoby wybuchnąć na tyłach frontu, kiedy Niemcy ruszą. Ale Hitler nie chciał się dzielić owocami swego nieuchronnego zwycięstwa.

Tymczasem na kresy włali się już Sowieci. Czy przywiązanie do bolszewickiego czołgu 13-letniego harcerza Tadzia Jasińskiego jako żywej tarczy było czymś typowym dla Armii Czerwonej?
– Z tego, co wiemy, to raczej był ewenement. Zresztą sama obrona Grodna była jedynym znaczącym ogniskiem oporu z udziałem

polskich cywilów – nic takiego nie zdarzyło się choćby w Wilnie, które padło 19 września.

W tym czasie polski rząd już zmykał przez most w Kutach, choć większość Polaków sądzi, że przez Zaleszczyki.
– Zaleszczyki, znany kurort międzywojenny, miejsce odpoczynku sanacyjnej elity, lepiej odpowiadały potrzebie czarnej propagandy, którą pamiętamy choćby z lat PRL. Dziś każdy historyk ocenia tę „ucieczkę sanacji” inaczej. Faktem jest, że rząd i skarb musiały się ewakuować, bo alternatywą była sowiecka niewola. Śmigły-Rydz liczył na to, że na tzw. przedmościu rumuńskim będziemy się jeszcze bronić, przez Rumunię przyjdzie brytyjsko-francuska pomoc i zaczniemy odbijać tereny. Co było mrzonką. Polscy ludowcy, narodowcy i socjaliści od razu ocenili ewakuację rządu bardzo negatywnie.

Cytuje pan profesora Kazimierza Vetulaniego, ówczesnie kaprała, który musiał w Kutach „bezsilnie patrzeć, jak w rowach piętrzyły się masy oddawanego Rumunom sprzętu wojennego, który często ani razu nie został użyty w boju”.
– Wiele polskich sił – jak choćby batalion francuskich czołgów R-35 – nie zostało wykorzystanych w kampanii wrześniowej. Liczne duże oddziały w ogóle nie walczyły! Śmigły-Rydz zarządził na przykład, by lotnicza brygada pościgowa oraz większość polskiego sprzętu przeciwlotniczego wycofała się z bronionej Warszawy. Nie walczyło również wiele jednostek zapasowych, nie wykorzystano potężnego arsenału w Stawach pod Dęblinem, który wpadł w ręce Niemców.

Zaczęła się okupacja. Cytuje pan wspomnienia o „kulturalnych” Niemcach: „Mówili, że oni ludziom oczy wydłubują, a tymczasem dostałem cukierki”. Pojawiła się nawet irytacja polskiem inteligencji wywołana przyjaznym witaniem nowych panów przez doły społeczne. „W ogóle zupełny brak ambicji i wstydu u znacznej części motłochu”.
– Niemcy byli dobrze ubrani, w sklepach za wszystko płacili, zupełnie coś innego niż Armia Czerwona, w przypadku której ludzie się dziwowali: „Jak taka hałastra mogła zająć Polskę?”.

W TOTALIZMIE SOWIECKIM CIERPIAŁ KAŻDY

Mielśmy nie tylko okupację sowiecką i niemiecką, ale też słowacką, właściwie nam nieznaną: łagodną dla Polaków, choć już nie dla Żydów.
– Władze Słowacji, której wojska wkroczyły we wrześniu na polski Spisz i Orawę, uznawały tamtejszych górali za swoich, za Słowaków. Wymieniono więc urzędników w gminach i zaczął się proces słowakizacji – to wszystko. Natomiast Żydów reżim księdza Jozefa Tiso traktował tak samo jak reżim Hitlera. Słowacy do dziś się z tego nie rozliczyli.

Pomówmy zatem o sławetnym „zażydzeniu” okupacji sowieckiej. Pisze pan: „Żydzi stosunkowo często byli zatrudniani w aparacie partyjnym Związku Sowieckiego, w służbach bezpieczeństwa, w administracji i w spółdzielczości. Stanowili z reguły większość wśród prokuratorów, sędziów i adwokatów. Najczęściej byli rekrutowani z sowieckiej Rosji, Ukrainy i Białorusi, gdyż uchodzili za pewnych pod względem ideologicznym”.
– Przekonanie o wszechobecności Żydów we władzach, jakie Sowieci zainstalowali po wrześniu na wschodnich ziemiach RP, wynikało z faktu, że przeciętny Polak, ale też i Ukraińiec nie widział przed wojną urzędnika i policjanta – Żyda. Więc to szokowało. Choć prawdą jest też to, że np. w NKWD Żydzi byli silnie nadreprezentowani. Co tylko ugruntowywało stereotyp: bolszewik równa

się Żyd. Tymczasem procentowo sowieckie represje najbardziej przetrzebiły właśnie społeczność żydowską: tracono i wywożono na Wschód właścicieli warsztatów i sklepów, rabinów, chasydów, syjonistów...

Zetknięcie z bolszewikami musiało być bardziej szokujące niż z hitlerowcami. „W miejscowości Sianki w Bieszczadach enkawudziści wyciągnęli zabalsamowane zwłoki córki Strońskich, właścicieli folwarku, i powiesili na ogrodzeniu kaplicy, a następnie do nich strzelali, aby – jak powiadali – pomścić krzywdy ludu”.
– Polacy byli przerażeni tym, co zobaczyli. To był przeciwnik nienormalny, inny niż dotychczasowi. Chce zabrać nie tylko kraj, ale pozbawić ludzi majątków, ziemi uprawnej, religii... choć te cele stały się jasne nie od razu. Sowieci dawkowali represje i robili to cicho, NKWD pracowało nocą.

Tak samo postępowali Niemcy wobec Żydów: pogarszali ich sytuację bez zbędnego rozgłosu z miesiąca na miesiąc. Różnicę widzę gdzie indziej. Pod okupacją niemiecką, jeżeli ktoś nie był Żydem i nie konspirował, zasadniczo mógł żyć w spokoju. Pod sowiecką bali się – i słusznie – wszyscy. Nawet komuniści.
– To prawda: w totalizmie sowieckim cierpiał każdy. W Rzeszy to przyszło później, gdy Niemcy już przegrywali wojnę i zaczęło się dokręcanie śruby własnemu narodowi. Traktowanie społeczeństw instrumentalnie było cechą wspólną. Człowiek był tylko nawozem dziejów.

Sowieci próbowali część Polaków kupić. Zacytuje: „Najwyżej cenieni polscy uczeni [...] bawili w 1940 roku w Moskwie na zaproszenie Wszechrzwiązkowego Komitetu ds. Nauki ZSRR. Byli wspaniale goszczeni, żywieni w dobrych lokalach i mieszkali w hotelach dla wysokiej rangi gości. Ich fotografie pojawiły się w prasie, a informacje o ich pobycie podawano w radiu”. Wanda Wasilewska miała nawet numer telefonu do Stalina. Nie do pomyślenia, by pod niemiecką okupacją jakikolwiek Polak miał numer do Hitlera.
– Oczywiście, bo dla Niemców Polacy ze względu na niski status rasowy nie mogli być partnerami do rozmów. Mogli być tylko niewolnikami. Natomiast dla Sowietów akceptacja systemu oznaczała kooptację do grona zwycięzców. Reżim z nawróconych na komunizm artystów i naukowców czynił celebrytów. Mieli pokazywać ludowi, że tą drogą trzeba iść. A w zamian przywileje, osobne sklepy, samochody...

I dlatego tak licznie poszli na współpracę?
– Na pewno nie było jednej motywacji. Jedni ze strachu, inni dla wymienionych już korzyści, ale byli i tacy jak wspomniana Wasilewska – córka pilsudczyka – która jeszcze przed wojną pisała, że jej ojczyzną jest Związek Sowiecki.

Dlaczego do dzisiaj ruska okupacja jest tą mniej ważną? Bo Niemcy robili z nas bohaterów, a Sowieci – świnie?
– Po pierwsze, trwała krócej. Po drugie, dotknęła mieszkańców ziem, które dzisiaj w większości nie należą do Polski. Najważniejsze ośrodki polskiego oporu znajdowały się w Generalnym Gubernatorstwie. Stamtąd mamy najwięcej relacji. Myśląc o okupacji, widzimy zniewoloną Warszawę, Kraków czy Lublin. A było też Wilno, Lwów, Stanisławów... jednak ci, którzy mogliby później opowiadać, co się tam zdarzyło, zostali po złej stronie. Albo wyszli z armią Andersa na Zachód.

Wielu się jednak repatriowało – tyle że przez pół wieku nie wolno było mówić o 17 września. Tymczasem na obszarze okupacji sowieckiej było to święto hucznie obchodzone...





– ...nawet w całym państwie: jako dzień przywrócenia Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi do Kraju Rad. Wszystko się zmieniło wraz z napaścią Hitlera na ZSRS. Odtąd święto stało się niebyłym, bo drażniło i przypominało o wstydlivej współpracy Berlina i Moskwy przed 1941 rokiem.

Niesamowitą cechą, którą narzucali Sowietci, była promocja brudu, bałaganu, śmiecenia... coś niespotykanego od pradziejów. Czytam u pana relację: „Dla okupantów nasz dom jest stanowczo zbyt »burżujski«. Trzeba go przecharakteryzować na chama. Wynosimy na strych meble, lustra, świeczniki, obrazy. Zwijamy dywany i chodniki w hallu. Zasłania się starymi gazetami szyby bibliotek, nie czyści się podłóg, nie myje okien”.

– Oficerów przeznaczonych na rzeź wykrywano po czystych i zadbanych dłoniach. Bycie brudnym było zatem pożądane. Im kto był bardziej zaniedbany, im więcej śmiecił i bardziej śmierdział, tym lepsze teraz miał mieć perspektywę. Deklaratywnie upośledzone masy ludowe – biedota, bezdomni, bezrobotni, bezrolni – były wszak przeznaczone do awansu. Więc ludzie chcieli się w te masy wtopić, dostosować do szarego tłumu dla swego bezpieczeństwa. Szarość była najlepszym kolorem.

Pisze pan o okupacyjnych początkach: „W pierwszej kolejności należało aresztować lub zamordować członków polskiej klasy politycznej. Do tego przygotowywano się przed wojną, opracowując listy proskrypcyjne. Po jej wybuchu w ślad za oddziałami armii postępowały formacje z gotowymi listami osób przewidzianych do eliminacji”. To zdanie jest prawdziwe dla obu okupacji.

– Bo też cele nazistów i bolszewików były w 1939 roku takie same. Zlikwidować bękartą traktatu wersalskiego, zabić jego elity, poskromić społeczeństwo i wykorzystać podbitych, jak się tylko da.

Iwan Sierow, ludowy komisarz spraw wewnętrznych sowieckiej Ukrainy, jeden ze współodpowiedzialnych za zbrodnię katyńską, osobiście przesłuchiwał i torturował więźniów. Himmler tego nie robił.

– Wierchuszka SS i gestapo w aktach zbrodni osobiście nie uczestniczyła. Dlaczego bolszewicy działali inaczej? Może musieli w ten sposób udowadniać lojalność i zdecydowanie? A może ten przykładowy Sierow chciał osobiście posłuchać polskich oficerów, aby zrozumieć, co myślą?

Opis sowieckiego więzienia: „Dwie doby siedziałem na jednej nóżce odwróconego taboretu. Pięć dób stałem odwrócony twarzą do kąta tuż przy ścianie [...]. Nie było podłogi, tylko ziemia. Zakrywając nos i usta fragmentami postrzępionej koszuli, zorientowałem się, że ten odór nie do wytrzymania pochodzi ze stosu ludzkich odchodów, wymiocin i moczu, które pokrywały praktycznie całe dno piwnicy”. Czy w Generalnym Gubernatorstwie były takie miejsca?

– Nielatwo byłoby je znaleźć. To kolejna różnica pomiędzy Rzeszą a Związkiem sowieckim. Niemcy mieli regulaminy więzienne – warunki były tam określone jasnymi przepisami. U Sowietów szczegółowych przepisów nie było, a jeśli były, to nie musiały być przestrzegane – po co wiązać ręce NKWD? Z tego wynika również niespójność zachowań. Są relacje o enkawudzystach, którzy po aresztowaniu pomagali Polakom przetrwać podróż na Wschód, nawet zdobyć jedzenie. Wiele zależało od konkretnego człowieka. W Niemczech – od przepisów. Inaczej traktowano Polaków w Rzeszy, gdzie na przykład nie mogli kupować zabawek dla dzieci czy grać na instrumentach, a inaczej w Generalnej Guberni czy też w Komisariacie Ukraina.

Pierwszy rok okupacji sowieckiej był piekłem: „Kacapy wywożą całe wsie w głąb Rosji. Zamarznęte dzieci leżą wzdłuż toru wyrzucane z pociągu”. Do czerwca 1941 roku deportowano 330-350 tys. Polaków. Drugi rok – jak pan pisze – był lżejszy.

– Z jednej strony Sowietci zobaczyli, że represje nie złamały polskiego biernego oporu. Z drugiej zaktywizowali się antysowieccy Ukraińcy. Od wiosny 1941 r. zaczęli atakować bolszewicką władzę, więc ta musiała zwrócić się ku Polakom. Niektórych dopuszczono do stanowisk w administracji, śrubę nieco poluzowano...

Ale nie na tyle, aby Polacy mogli konspirować. Pańska książka potwierdza: w odróżnieniu od okupacji niemieckiej w Sowietach opór był natychmiast wykrywany przez NKWD. We wrześniu 1940 roku w meldunku do Londynu komendant główny ZWZ Stefan „Grot” Rowecki pisał: „Okupacja sowiecka jest w tej chwili główną moją troską. Skupienia wojskowe, które na tamtym terenie pozostały, nie reprezentują nic poważnego”.

– Zdecydowanie łatwiej było konspirować przeciw Niemcom, bo NKWD było i lepiej zorganizowane, i bardziej skuteczne od gestapo. Sowietci łatwiej wnikalі w społeczeństwo. Także dlatego, że dla Niemców wrogiem byli Polacy jako naród, a dla bolszewików „jedynie” obszarnicy, kulacy, sędziowie, policjanci... Czerwona bezpieka łatwo pozyskiwała stróżów, włóczęgów, służące, prostytutki. Konspiratorzy nie wiedzieli, kto wokół sprzyja Sowietom. Poza tym masowe deportacje uszczupliły bazę oporu – deportowano ludzi wykształconych, księży, leśników, strażaków, osadników z Polski centralnej... potencjalnych konspiratorów wywieziono na Wschód, zanim

jak choćby słynne ściąganie rękawiczek „z białych rączek”, czyli zdzieranie żywcem skóry z dłoni. Latem 1941 r. doszła do tego wściekłość bolszewików spowodowana „zdradziecką” napaścią Niemiec i postawą ludności witającej Wehrmacht kwiatami, co odsłoniło porażkę sowietyzacji. „Cieszy się, że Niemcy idą? No to my wam zaraz damy radość!”. Trzeba też pamiętać o liczącej wieki wschodniej kulturze okrutnego zabijania wrogów.

Zrozumiałe w tej sytuacji, że bramy powitalne dla Niemców stawiali w byłych województwach wschodnich RP Polacy, Ukraińcy i Białorusini. Zaczęła się zemsta na Żydach.

– Doszło do co najmniej 200 pogromów – mścili się Litwini, Łotysze, Polacy, Ukraińcy, Moldawianie, Rumuni. Szef SD Reinhard Heydrich przesłał esesmanom na wschodzie sugestie: „Nie należy stawiać przeszkód dążeniom samooczyszczania występującym w antykomunistycznych i antyżydowskich kręgach na nowo zajętych obszarach. Przeciwnie, należy je wywoływać, nie pozostawiając śladów, intensyfikować, jeśli jest to potrzebne, i kierować na odpowiednie tory”.

We Lwowie inicjatorami mordów byli ukraińscy bojówkarze, w Kownie prowodyrami stali się tamtejsi Litwini. Wszystkie naroody wcześniej poddane sowieckiej okupacji były przekonane, że Żydzi i komuniści to jedno. Żydokomuna nie jest pojęciem polskim, lecz europejskim. W społecznościach od Bałtyku po Morze Czarne panowała zgoda, że za współpracę z Sowietami Żydzi muszą zapłacić.

Co typowe, na czele skrzykniętych bojówek niejednokrotnie szli na Żydów byli agenci NKWD, dla których aktywny udział w pogromach stał się rodzajem rytuału samooczyszczającego.

Początkowo nastroje w wojsku były optymistyczne.

Oficerowie przed wyjazdem na front zapraszali kompanów na partyjkę brydża w Berlinie.

Zakładali się o to, który pułk będzie pierwszy defilował po Unter den Linden

zaczęli konspirować. „Ogólnie można stwierdzić, że działalność gestapo w porównaniu z działalnością NKWD jest dziecinną igraszką” – wspominał Leopold Okulicki, komendant główny ZWZ dla terenów pod okupacją sowiecką.

Mimo to nieliczni polscy partyzanci walczyli z Sowietami nad Biebrzą, w rejonie Łomży, Jedwabnego, Kolna...

– Jakaś konspiracja zdarzała się tam, gdzie mieszkała ludność wyłącznie polska; potomkowie drobnej, zaściankowej szlachty. Pomagała wysoka religijność i tradycje insurrekcyjne sięgające powstania styczniowego, a jednocześnie dookoła rozciągały się bagna, mokradła i lasy.

Po niemieckim ataku na ZSRS Sowietci zagrali ostatni – na razie – akord: „W czerwcu i lipcu 1941 w więzieniach zachodniej Ukrainy i Białorusi oraz Litwy znajdowało się około 40 tys. osób, Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Żydów. [...] 24 czerwca Beria zarządził, aby zamordować więźniów, którzy nie zostaną ewakuowani z braku pociągów. Tak też uczyniono [...] Kobiety i dziewczęta gwałcono i okaleczano. Mężczyzn zamurowywano żywcem, palono, wrzucano do sztolni górniczych”. Skąd brał się ten wymyślny sowiecki sadizm?

– Rewolucja bolszewicka wypracowała cały wachlarz najwymyślniejszych tortur,

fotograficznych, z instrumentów muzycznych dozwolone były tylko organki.

W województwach przyłączonych do Rzeszy Polak miał być takim wyobrażeniowym niewolnikiem: mieszkać w dzielnicy dla cudzoziemskich robotników, grać na grzebieniu i kłaniać się swoim niemieckim panom, od których dzielił go niewidoczny mur. Żeby przez nielegalne kontakty nie doszło do skalania niemieckiej krwi.

Pewne rejony Polski były germanizowane szczególnie intensywnie. Żywiecczyzna, Zamojszczyzna – dlaczego?

– To się wiąże z niemieckim Generalnym Planem Wschodnim, który miał różne warianty i oczywiście ostatecznie upadł, ale wcześniej państwo SS zaczęło eksperymenty z wyspowym zasiedlaniem niektórych ziem aż po Krym. To miały być załączki nowej cywilizacji na niemieckim Wschodzie. Zamojszczyznę wybrano ze względu na dobre grunty, żywieckie – bo blisko Rzeszy.

Poszukiwano również krwi niemieckiej. Powiat zamojski było krótko w zaborze austriackim i w XVIII wieku sprowadzono tam niemieckich osadników, podobnie jak w okolicy Chełma. SS chciało tę krew „odyskać” dla Rzeszy. Nowe osadnictwo miało wzmocnić starą niemiecką kolonię.

Jak się pan zapatruje na tezę, że nie było polskiego Quislinga, bo Niemcy go nie chcieli?

– Coś w tym jest. Zdaniem okupanta polscy podludzie nie zasługiwali na żadną formę państwowości. Dlatego nie proponowano im państwowej formy kolaboracji. Zresztą Ukraińcom też nie zezwolono na fasadową choćby państwowość. Podobnie jak Litwinom i Łotyszom. Niemiecki naród panów nie może przecież układać się z narodem niewolników.

Czesi mieli własny rząd z całą administracją, a nawet ograniczone wojsko.

– Zgodnie z niemiecką doktryną rasową były narody słowiańskie wyżej i niżej notowane. Polacy są zażydzeni, Ukraińcy lepsi – bo nie miesza się z Żydami, w związku z czym w Krakowie i we Lwowie mogli jeździć tramwajami dla Niemców. Czesi i Słowacy stali jeszcze wyżej, bo przez wielowiekowy kontakt z kulturą niemiecką stali wyżej pod względem cywilizacyjnym. Byli to „Słowianie kultury niemieckiej” równi Francuzom i Włochom.

Generalplan Ost przewidywał inwestycje w ramach „odbudowy Wschodu”. Powstała m.in. linia elektryczna z Warszawy do Łowicza i Kutna...

– ...oraz sporo innych regionalnych linii kolejowych szczególnie z zachodu na wschód – dla transportu wojska. Do tego dużo nowych dróg w miastach. W Krakowie – nowa dzielnica mieszkaniowa, pod Oświęcimiem – olbrzymie zakłady chemiczne, dzisiaj Synthos SA. I jeszcze wiadukty, węzły drogowe, węzły kolejowe.

W Łodzi i w okręgu pojawiły się Telefunken, BMW, Steyer, Krupp... W Poznaniu Zakłady Cegielskiego weszły w okres rozkwitu. W Bydgoszczy zbudowano zakłady Zachem, które działają do dzisiaj, podobnie jak te oświęcimskie.

– Trzeba jednak pamiętać, że Posen, Bromberg i Litzmannstadt to już była Rzesza,

więc inwestycje w tych miastach lokowano niezależnie od „podźwigania” Wschodu. Ale i w Generalnym Gubernatorstwie Hans Frank miał się czym szczyścić. Znikło bezrobocie. Folwarki otrzymały wsparcie – buhaje z Niemiec, dobre ziarno siewne, nowe gatunki zbóż. GG miało być zapleczem żywnościowym najpierw frontu wschodniego, a potem Wielkich Niemiec.

Zadłużeni przed wojną polscy rolnicy „za Niemca” zdołali w większości spłacić pożyczki i rozwinąć produkcję. Lata 1940–42 były dla wsi korzystne. W miastach obowiązywał system kartkowy, więc pojawił się olbrzymi czarny rynek, na którym chłopci sprzedawali mąkę, mięso, samogon. Doszło do tego, że niektórzy rolnicy kazali sobie płacić dolarami albo brytyjskimi funtami.

Zaszły też korzystne zmiany w rzemiośle: Niemcy małe przedsiębiorstwa łączyli w większe, sprowadzali maszyny z Rzeszy, by produkować taniej. Frank zapraszał inwestorów z Zachodu, pokazywał na wykresach, jak rośnie zamożność Polaków – bo faktycznie, przynajmniej niektórych i okresowo rosła.

Na terenie GG nie wprowadzono Niemieckiej Listy Narodowościowej, ale i tak byli chętni.

– Na Ziemiach Zachodnich większość mieszkańców się na tę listę wpisała, na Śląsku niemal wszyscy, najmniej w Kraju Warty. W Gubernatorstwie również część obywateli dowodziła swoich niemieckich korzeni, by zdobyć tzw. niemieckie kenkarty. 31 grudnia 1942 r. w Warszawie mieszkało, nie licząc wojska, 21 tys. Niemców, z tego 10 tys. folksdojczów. Rok później było zameldowanych ponad 33 tys. Niemców oraz przeszło 14 tys. osób z kenkartą.

Obywatel GG, chcąc taką zdobyć, musiał przede wszystkim dowieść, że w rodzinie nie było Żyda. Dopiero potem wykazać się jakimś niemieckim przodkiem. Albo przekupić niemieckiego urzędnika. Bo korupcja kwitła – Niemcy musieli rozbudować więzienia dla własnych urzędników, co również odróżniało obie okupacje, bo w sowieckiej kradzież była przynależna statusowi funkcjonariusza – na podobitym terenie on miał prawo kraść.

Lenin przeciwkażal „grabić zagrabione”. Porozmawiamy o Goralenvolk?

– Czułem, że pan o to pyta. Już przed wybuchem wojny badania etnograficzne i archeologiczne wskazywały, że na Podhalu przed wiekami osiedlali się germańscy Goci. Dlatego m.in. region uzyskał status odrębnej jednostki organizacyjnej. W jej ramach szczególny charakter miało Zakopane – terytorium zamknięte i niemiecki kurort. Mieszkańcy Podhala mieli możliwość otrzymania kartek żywnościowych „G” zawierających znacznie większy przydział żywności i artykułów przemysłowych od tych z literą „P”. Pojawia się nowa nacja: Górale pisani dużą literą. Ale z niemieckiej oferty skorzystała tylko mniejszość mieszkańców.

Pisze pan, że zarówno w GG, jak i w Reichu uroczyscie świętowano 1 maja, który był Narodowym Świętem Pracy. „Narodowi socjaliści podkreślali swoje lewicowe i proletariackie korzenie, stąd nie było przypadkiem, że członkowie NSDAP zwracali się do siebie per towarzyszu partyjny”. Naziści byli prawicą czy lewicą?

– Byli ultralewicą i ultraprawicą w jednym. Klasyczne kategorie są tu niestosowne.

Końcówka okupacji niemieckiej to znów poluzowanie śrubby. W 1943 r. podczas „dożynek krakowskich” z udziałem polskich wójtów i soł-

tysów Frank powiedział: „Polska ludność GG otrzyma możliwość spokojnego rozwoju wynikającego z podstaw jej własnej kultury...”.

– Prasa gadzinowa bębniła o planowanych zmianach, polskim samorządzie, o powołaniu rad gminnych i miejskich, o udziale Polaków w wyższej administracji okupacyjnej, o liberalizacji polityki kulturalnej, otwarciu szkół średnich, a nawet wyższych. Otwarto z wielkim hukiem kilka kantyn dla polskich urzędników, podwyższono racje żywnościowe oraz przydziały papierosów, otwarto nowe szkoły powszechne, w których na ścianach obok portretu Franka zawisł portret Piłsudskiego. Niemieccy urzędnicy zaczęli napomynkać o „polsko-niemieckiej wspólnocie kulturowej”.

Nazywano Polaków Europejczykami, którzy wraz z Niemcami muszą bronić europejskich wartości przed bolszewickimi hordami. Wezwano do walki z „żydostwem komunistycznym” i ze „śmiertelnymi wrogami chrześcijaństwa”. Straszono Armią Czerwoną, kolchozami, łagrami, walką z religią. Stale przypomniano zbrodnię katyńską, którą Niemcy nazywali „smoleńską”.

W kwietniu 1943 r. Niemcy na swój koszt przewieźli do Katynia polską delegację, w tym osoby z PCK i Rady Głównej Opiekuńczej – by goście przekonali się na własne oczy, że to zbrodnia sowiecka, a nie – jak głosiła stugębna plotka – dzieło hitlerowców.

Nadejście nowej koniunktury wynikało z prostego faktu: ludność polska stała się potrzebna do kopania Wału Wschodniego, czyli szaniec przed nadciągającymi bolszewikami, oraz do ochotniczych formacji kolaboracyjnych. Ale Polacy pamiętali, co działo się przez cztery lata, więc zabrakło odzewu.

W październiku 1944 r. Niemcy poszli dalej – chcieli powołania polskiej Ligi Antybolszewickiej. Bezszykutecznie naklaniali Wincentego Witosą do wydania odezwy wzywającej chłopów do walki z sowieckim najazdem. Wydaństwu nakazano druk polskich plakatów z czasów wojny 1919–20. Mało tego – Abwehra, gestapo i SD różnymi drogami próbowały dotrzeć do oficerów Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych i Batalionów Chłopskich, aby stanęli do walki u boku Wehrmachtu.

W tym samym czasie Hitler kazał zburzyć Warszawę, a ludność eksterminować.

– Niemcy od dawna mieli problem z polską stolicą. Według Generalnego Planu Wschodniego miało wyrosnąć na jej miejscu stutysięczne niemieckie miasteczko. Powstanie dało pretekst do realizacji tej wizji. Oczywiście likwidacja Warszawy miała też wymiar kary. ●

Prof. dr hab. Andrzej Chwalba – historyk związany z Uniwersytetem Jagiellońskim, specjalizuje się w historii XIX i XX w., dziejach Krakowa. Napisał kilkadziesiąt książek, m.in. „Samobójstwo Europy. Wielka Wojna 1914–1918”, „Legiony Polskie 1914–1918”, „Przegrane zwycięstwo. Wojna polsko-bolszewicka 1918–1920”, „Historia Polski 1795–1918”, „Okupacyjny Kraków”, „Festung Krakau”.

KSIAŻKA

Andrzej Chwalba



Polska krwawi, Polska walczy. Jak żyło się pod okupacją 1939–1945

Wydawnictwo Literackie

Historia krzepi

Co ma Błaszczak do Września '39

Odtajniając w kampanii wyborczej plany obronne Polski, był szef MON obsadził się w roli współczesnego Śmigłego-Rydza.



85. rocznica agresji niemieckiej na Polskę jest dobrą okazją do przypomnienia tego niezwykle ważnego wydarzenia. Mimo heroicznego oporu symbolizowanego bohaterską obroną Westerplatte czy reduty nad Wizną polska armia doznała dojmującej klęski, militarnie najdotkliwszej w całym XX wieku.

Szok był tym większy, że w opinii społeczeństwa i ekspertów uchodziła za jedną z najsilniejszych i najbardziej bitnych armii europejskich. Liczebnością lokowała się w europejskiej czołówce, składała się z 30 dywizji piechoty i 11 brygad kawalerii. Opromieniało ją zwycięstwo nad sowiecką Rosją w 1920 roku. Była znakomicie wyszkolona, co na manewrach imponowało zagranicznym obserwatorom.

Francuski generał Louis Maurin, członek Najwyższej Rady Wojennej, napisał w 1936 roku:

„Żołnierz polski jest pierwszorzędnym, wytrzymałym, obdarzony pewnym zmysłem inicjatywy, którego nie można odnaleźć ani u żołnierza rosyjskiego, ani niemieckiego”.

Wśród przyczyn klęski wrześniowej ważne miejsce zajmował polski plan prowadzenia wojny. Naczelny wódz marszałek Edward Śmigły-Rydz chciał bronić każdej piędzi kraju i walczyć na całej, liczącej prawie 2 tys. km granicy z Niemcami.

Wyglądała ona zupełnie inaczej niż dzisiaj. Zachodnie i centralne województwa, tj. białostockie, warszawskie, pomorskie, poznańskie, łódzkie, kieleckie, śląskie i krakowskie, otoczone były od północy, zachodu i południa przez terytoria niemieckie.

Na zachodzie, z Międzyzochodu do Warszawy było aż 400 km, ale z Górnego Śląska już 300 km, a z północnej granicy z Prusami Wschodnimi niewiele więcej jak 100 km. Zachodnia i centralna Polska przypominała półwysep otoczony niemieckim morzem.

Ten arcytrudny do obrony kształt granicy wykorzystali Niemcy, planując wielki manewr oskrzydłający, mający okrążyć i zniszczyć główne siły polskie na lewym brzegu Wisły. Cęgi niemieckie miały się zacisnąć na Warszawie. Ich krótsze, północne ramie stanowiło mocne uderzenie od strony Prus Wschodnich. Ramieniem

południowym była wielka ofensywa z Górnego Śląska prąca na Warszawę wzdłuż strategicznej drogi zwanej wtedy szosą piotrkowską.

Polskie dowództwo znało ten plan. Chcąc go storpedować, spora część sztabowców proponowała zorganizowanie głównej linii obrony dopiero na linii rzek: Narew, Wisła i San, co z militarnego punktu widzenia było rozwiązaniem najbezpieczniejszym. Jednak naczelny wódz zdecydował inaczej i bronił całej granicy z Niemcami.

Przesądziły o tym względy polityczne i propagandowe. Obóz rządzący, zwany sanacją, żywił się wielkomocarstwową propagandą. W 1939 r. rozgrzana była ona do czerwoności i pełna sloganów w rodzaju: „silni – zwarczi – gotowi”, „nie oddamy ani guzika od płaszcza”.

W grę wchodziły też bardziej racjonalne motywy. Śmigłego-Rydza przekonano, że do prowadzenia wojny niezbędny był potencjał ludnościowy i gospodarczy zlokalizowany właśnie na zachód od Wisły.

Niemcy, atakując Polskę 1 września 1939 roku, mieli więc ułatwione zadanie. Szybko przełamali polską obronę na południu i na północy i ruszyli na Warszawę, do której ich pierwszy pancerny zagon dotarł szosą piotrkowską już 8 września. Chcąc uniknąć okrążenia na lewym brzegu Wisły, Rydz wydał 6 września rozkaz nakazujący wycofanie wszystkich sił za Wisłę, aby tam zorganizować obronę i stoczyć walkę bitwę.

Na to było już jednak za późno. Bardziej ruchliwe, pancerne i zmotoryzowane jednostki niemieckie oparowały bowiem nową polską rubież obrony, zanim była ona gotowa do walki. Kampania była przegrana, choć walki toczyły się jeszcze przez kilka tygodni, od 17 września także z kolejnym agresorem – Związkiem Sowieckim.

Tragiczne doświadczenie września '39 jest świetnie znane polskiemu wojskowemu i historykom. Także PiS-owskiemu ministrowi obrony Mariuszowi Błaszczakowi, dobrze wykształconemu na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. W tym gorszym świetle stawa to jego decyzję podjętą na użytek wyborów o odtajnieniu polskiego planu prowadzenia wojny i o demagogicznym skrytykowaniu wykorzystania Wisły jako głównej linii obrony.

W ten oto sposób minister Błaszczak – zaczadżony partyjną polityką – obsadził się w roli współczesnego Śmigłego-Rydza, zapominając, do czego doprowadziły decyzje marszałka we wrześniu '39 i w jakiej niesławie odszedł on z tego świata. ●

MOŻE LEPIEJ, GDYBY NAS W SIERPNIU

stłukli

Nie słyszałem, by Trzaskowski na Campus Polska Przyszłości zaprosił Zbyszka Bujaka czy Bogdana Lisa, aby opowiedzieli, jak się wygrywa powstanie bez przemocy.

Z **WŁADYSŁAWEM FRASYNIUKIEM**
ROZMAWIA **BEATA MACIEJEWSKA**

BEATA MACIEJEWSKA: Boję się tej rozmowy. Nie wiem, jak zacząć, żeby czytelnicy się zainteresowali. Jeśli napiszę na początku, że to wywiad w rocznicę Sierpnia, stopnieją jak śnieg w maju. **WŁADYSŁAW FRASYNIUK:** Bo to dziaderski wywiad z solidaruchem? Nie będzie klików?

Małe zainteresowanie wydarzeniami, które przez młodszych czytelników jest odbierane jak powstanie styczniowe. – Nie zgadzam się. Gdyby to było odbierane jak powstanie styczniowe, pani by rozmawiała ze mną z większą nadzieją na sukces. Bo my, Polacy, uwielbiamy wspominać i świętować porażki. Im nas mocniej stłukli, tym wyżej umieszczamy to na sztandarze. Nasze masakry, nasze ofiary, które pozwalają pielęgnować niechęć do dawnych zaborców, do mocarstw zachodnich, do Niemców. Zdradzili, poniżyli, zostawili samotnie walczących przeciwko znacznie potężniejszym wrogom. Ale celebrowanie pamięci krzywd nie jest dobrym fundamentem pojednania i transformacji.

Czy pan nie przesadza?

– Nie. Premier Donald Tusk ogłosił, że rząd da 100 mln zł na rozbudowę Muzeum Powstania Warszawskiego. Powstania, o którego bezsensie chyba nie musimy się przekonywać, doprowadziło do zagłady miasta i śmierci 150-200 tys. cywilów.

Mam szacunek dla ludzi, którzy odpowiedzieli na wezwanie polityków i stanęli z bronią, oraz dla mieszkańców Warszawy, którzy w powstanie zostali wciągnięci bez pytania o zgodę. Ale decyzja Tuska to nie kwestia szacunku, ale polityki historycznej.

Pieniądze obiecał Morawiecki, ale nie dał. Tusk okazał się hojniejszy. Pan uważa, że nie powinien dawać?

– A kto bogatemu zabroni? Mamy kasę na inwestycje w CPK, budujemy najsilniejszą i najnowocześniejszą armię w Unii Europejskiej, chcemy zorganizować igrzyska olimpijskie, będziemy dopłacać do rowerów i samochodów elektrycznych, więc premier może lekką ręką rzucić 100 mln na rozbudowę muzeum. W tej sytuacji będzie chyba musiał 31 sierpnia zaoferować Europejskiemu Centrum Solidarności miliard. W końcu to muzeum jedyne go zwycięskiego powstania w naszych dziejach.

Historycy zwykle wskazują cztery.

– Jedyne, które miało nie tylko zasięg ogólnopolski i wciągnęło ogromną rzeszę Polaków – w szczytowym okresie należało do związku 10 mln obywateli, 80 proc. pracowników państwowych przedsiębiorstw i instytucji – ale wpłynęło również na sytuację międzynarodową. Zapoczątkowało demontaż systemu jałtańskiego, pokazało drogę do wolności innym państwom bloku wschodniego.

Premier Tusk prezent dla MPW opatrzył uzasadnieniem: „Skoro tak trudno w naszej historii znaleźć te momenty, te postacie, o których wszyscy możemy powiedzieć: »Tak, to są nasi bohaterowie«, nasze, wszystkich Polaków, wielkie wydarzenia historyczne”, to tym bardziej musimy o nie dbać”.

– Fenomen „Solidarności” polegał m.in. na tym, że wszyscy się nawzajem wspierali. Nie stworzyliśmy związków branżowych. Kierowcy popierali pielęgniarki, a górnicy nauczycieli. Jedni strajkowali za drugich lub z drugimi, utrudniając władzy stosowanie zasady „dziel i rządź”. Poczuliśmy, że możemy być razem i możemy się porozumieć. Wyprostować karki, pozbyć strachu i zamienić w społeczeństwo, które może ustanowić porządek demokratyczny.

W trakcie Sierpnia zniknęły podziały klasowe, czyli coś, co było elementem konstrukcyjnym komunistycznego państwa. Nigdy nie zapomnę profesora Mieczysława Złata, historyka sztuki. Budził szacunek, respekt u robotników. Powiedział ważne zdanie: że my się tu od siebie nawzajem uczymy. To właśnie było nasze, wszystkich Polaków, wielkie wydarzenie historyczne. To jest to, co nas powinno łączyć.

Może chodzi o to, że nie możemy wskazać wspólnych bohaterów? Gdy kiedyś Mateusz Morawiecki z Andrzejem Dudą składali wieńce pod bramą Stocznii, działacze obecnej „S” ściągali portret Lecha Wałęsy, który wisiał obok wizerunku Anny Walentynowicz.

– Mamy szacunek dla przywódców powstania warszawskiego, którzy podjęli błędną decyzję, a Lech Wałęsa, jeden z najsłynniejszych Polaków, człowiek, który przeprowadził nas z Europy Wschodniej do Zachodniej i od komunizmu do demokracji, wciąż jest opluwany: „Bo to »Bolek«”. Ludzie nie są aniołami, mają w biografii różne zakręty, ale trzeba ważyć całość.

Wałęsa nie tylko wygrał powstanie i zrealizował hasło: „Za naszą i waszą wolność”,

ale przyczynił się do tego, że suwerenność odzyskała cała Europa Środkowo-Wschodnia. Przewrócił mur berliński, spowodował, że UE stała się większa, a nasze gwarancje silniejsze, bo jesteśmy w NATO. A u nas to najpierw „Bolek”. Reszta przywódców podziemnej „Solidarności” też jest podejrzana, tylko jeszcze nie znaleźli na nich teczek.

Czuje się pan niedoceniony?

– To nie o mnie chodzi. Ja jestem człowiekiem szczęśliwym i spełnionym, choć obecny kształt Polski i polityki trudno uznać za ziszczenie marzeń ludzi „Solidarności”.

Chodzi o brak pamięci i szacunku dla sukcesu „Solidarności”. Rafał Trzaskowski organizuje bardzo fajne spotkania z młodymi osobami: Campus Polska Przyszłości. Nie słyszałem, żeby tam zaproszono na przykład Zbyszka Bujaka czy Bogdana Lisa, aby opowiedzieli, jak się wygrywa powstanie bez przemocy. Jak się buduje ruch godnościowy nastawiony na wartości wspólnotowe.

Bo to jest Campus Polska Przyszłości. Może jesteście przeszłością? Tam są ci, którzy mają władzę – ministrowie, parlamentarzyści, influencerzy. Zamiast Bujaka jest Czarzasty, zamiast Lisa Tusk, Hołownia i Kosiniak-Kamysz.

– Pani uważa, że przyszłość można budować bez fundamentów położonych w przeszłości? W polskiej polityce wciąż brakuje wartości, o które wtedy walczyliśmy. To był czas otwartości, tolerancji, przyzwoitości i życzliwości. Na Campusie dyskutuje się o tolerancji, a w Sierpniu uważaliśmy za oczywiste, że każdy ma prawo do własnych poglądów. Różniliśmy się, byli w „Solidarności” katolicy, socjaliści, narodowcy. Ale rozmawialiśmy, uczuliśmy się odpowiedzialności za słowo i słuchania siebie,

Na Campusie politycy objaśniają rzeczywistość, a nie pytają uczestników, co im w tej rzeczywistości zgrzyta. Jakie są ich cele, ambicje, gdzie widzą swoje miejsce w wolnym kraju. Donald Tusk przeprasza, że nie zliberalizuje ustawy aborcyjnej, gdyż nie ma większości w parlamencie, a za PRL ta wolność była akurat dla kobiet oczywista. Warto więc byłoby sobie najpierw powiedzieć, czy ta współczesna Polska jest rzeczywiście tak nowoczesna i czy nie ma nic z przeszłości, o czym moglibyśmy dyskutować z młodymi.

Sierpień '80 to był czas gorączki, a w gorączce nie da się ciągle żyć. Pan nie jest zbyt idealistyczny?



• **Władysław Frasyniuk w gdańskiej hali Olivia podczas drugiego zjazdu „Solidarności” w 1990 roku** FOT.TOMASZ WIERZEJSKI/

AGENCJA WYBORCZA.PL

– Bo w polityce trzeba być pragmatycznym? Nieprawda, polityka musi być oparta na wartościach i zasadach, inaczej się nie da zbudować silnej demokracji. Sierpień '80 był niezwykłym doświadczeniem. Nie strajkowałem z powodu pieniędzy, świetnie zarabiałem. Kierowcy to była elita finansowa. Moja średnia pensja wynosiła wtedy 18,5 tys. zł, górnik dostawał o 1 tys. mniej.

W postulatach gdańskich urzekły mnie dwa punkty: wolne związki zawodowe (cierpiałem, że w negocjacjach słowo „wolne” zmieniono na „niezależne”) i postulat wprowadzenia zasady „doboru kadry kierowniczej na zasadach kwalifikacji, a nie przynależności partyjnej”.

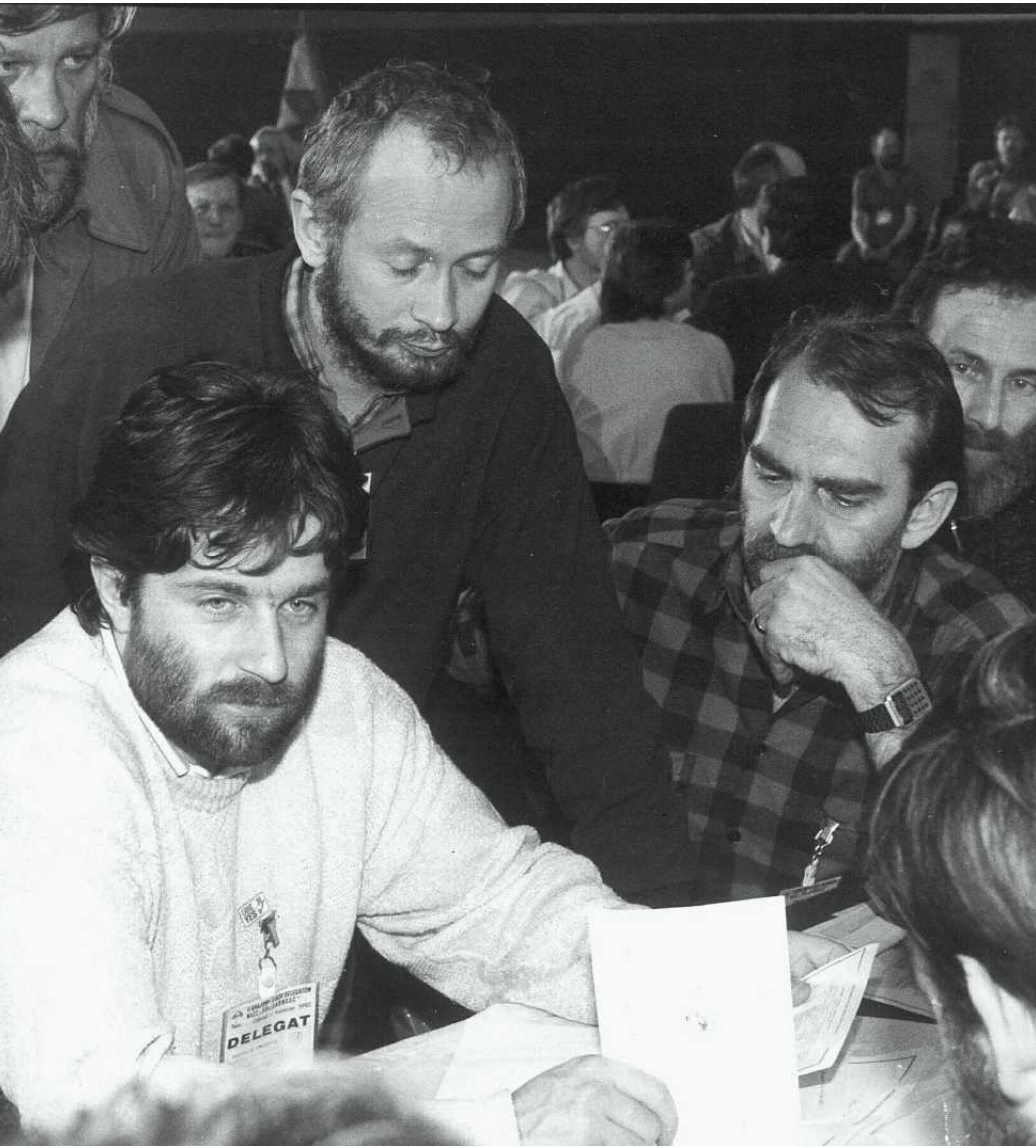
Punkt 13., w który nikt dziś już nie wierzy.

– Bo rządy PiS uczyniły z partyjniactwa cnotę kardynalną. Wystarczyło być wiernym i zdyscyplinowanym członkiem partii, żeby znalazło się miejsce w zarządzie, radzie nadzorczej jakiejś spółki skarbu państwa. I niestety, Koalicja 15 października nie może się oprzeć pokusie wejścia w buty poprzedników.

Na szczęście działa punkt trzeci postulatów gdańskich, czyli mamy wolne media, i nie mam wątpliwości, że dziennikarze takie patologie ujawniają, a wyborcy podejmą właściwe decyzje. Państwo musi działać w oparciu o wartości i zasady, niezależnie od tego, kto rządzi. To jest dziedzictwo „Solidarności”, prosty robotnik pani to mówi.

Z tym prostym robotnikiem pan przesadził.

– Oficer SB, który mnie przesłuchiwał, też stwierdził, że z tym robotnikiem to kamuflaż. „Mamy was, kurwa, Frasyniuk. Rozszyfrowaliśmy was, wy nie jesteście robotnikiem. Wy jesteście inteligentem, bo macie maturę” – usłyszałem. Byłem wysoko wykwalifikowanym robotnikiem. Może nietypowym, bo zmieniłem cztery firmy,



Ludzie, którzy powinni być traktowani jak bohaterowie, żyją w strachu, że coś na nich znajdą. Boją się, że może ktoś z IPN wyciągnie kartkę: a tu podpisał. Znaczy, nie taki znów bohater

a ludzie zwykle do emerytury trzymali się jednego zakładu, jak mój ojciec. Skoro mnie jednak nie szanowali i słabo płacili, to szukałem innej roboty. Casy „Solidarności” pokazują, że nawet robotnik ma szansę na edukację i awans społeczny, pod warunkiem że szacunek i godność pozostają częścią oferty politycznej.

Rozmawiam z dojrzałym człowiekiem, legendarnym przywódcą robotników, komentatorem i ta opowieść o wartościach brzmi wiarygodnie. Ale w sierpniu 1980 miał pan 26 lat i polityką się wcześniej nie zajmował. Rodzina, dwoje dzieci, przytłaczająca rzeczywistość PRL i nagle: „Będę walczył o wartości”?
– Nie, nie zamierzałem walczyć. Chciałem uczciwie pracować. Po zakończeniu strajku wsiadłem do autobusu, który miał mnie zawieźć do zajezdni na ul. Krakowską, bo chciałem wrócić do pracy. A tu wpada Oleś Labuda [prof. Aleksander Labuda, romanista, działacz opozycji demokratycznej] i z obłędem w oczach i woła: „Chłopaki, wygraliście! Związek trzeba zakładać!”. „Jaki związek, Oleś?! Ja się, kurwa, na tym nie znam! Ja za chwilę będę tirem jeździł”, powiedziałem, bo już złożyłem papiery do pracy na międzynarodowych trasach. „Daj spokój, ja mam być działaczem związkowym?”. A Oleś targa mnie za koszulkę do wyjścia. „Ktoś musi wziąć za to odpowiedzialność”, powtarza. Wyciągnął mnie z tego autobusu. Już nie pojechałem na zajezdnię. Myślałem: „Boże,

wyrzucą mnie z pracy”. A Oleś udzielał instrukcji, co trzeba zrobić. Najpierw założyć jakieś biuro (jak usłyszałem „biuro”, to uznałem, że trzeba spadać). Ale Labuda powiedział: „Zebrałiście pieniądze. To są publiczne pieniądze! Nie możecie zawieść społecznego zaufania”.

I już, to wystarczyło?
– Wystarczyło. Gdy zostałem wybrany przewodniczącym Zarządu Regionu Dolny Śląsk, Olek Labuda mi powtarzał: „Pamiętaj, jesteś człowiekiem, którego pierwszy raz od pół wieku wybrano w demokratycznych wyborach. Ludzie zdeponowali w tobie swoje marzenia. Musisz ten mandat wysoko nieść”.
Tak to we mnie utkwilo, że po 13 grudnia byłem gotów do końca życia biegać z więzienia na wolność i z powrotem do więzienia, aby tylko nie pozwolić odebrać sobie godności.

Wygląda na to, że profesor Labuda wysłał pana do więzienia.
– Przeciwnie, pomógł mi więzienie przetrwać. Tak, wiem, że snuję barwne opowieści kryminalne, ale to zwykle relacje o pierwszych kilkunastu sekundach nawalanki z klawiszami. O tym, co było potem, jak wpadali do celi w dziesięciu, już nie opowiadałem, bo nie chcę martyrologii.
Nie opowiadałem też o kosztach, które ponosiła rodzina. Trudno byłoby to wytrzymać, gdyby nie trzymała mnie w pionie

odpowiedzialność za ludzi, którzy mnie wybrali. Oni się mogli bać, mieli do tego prawo. Ja nie mogłem.
Gdyby nie te wartości, nie wróciłbym drugi raz do więzienia, tylko wziąłbym paszport. Ale powodowały one, że mieliśmy siłę. Żartuję, że więzienia w Łęczycy i Barczewie były zapleczem socjalnym PRL, ale nikomu nie życzyłbym, żeby tam trafił.

W sondażu IBRiS dla „Rzeczypospolitej” wśród wydarzeń, które są powodami do dumy najwyżej znalazło się odzyskanie niepodległości 1918 roku (30,6 proc. badanych), wybór Karola Wojtyły na papieża (19,7 proc.), wejście Polski do UE i NATO (16,2 proc.), transformacja po 1989 roku (12,2 proc.), powstanie „Solidarności”, w tym Porozumienia Sierpniowe (7,9 proc.), bitwa pod Grunwaldem 1410 roku (5,7 proc.). Jedynie 3,3 proc. wskazało powstanie warszawskie.
– Przedziwne badanie, bo transformacja ustrojowa, a w konsekwencji wejście do NATO i UE to efekt powstania „Solidarności”. Ale nie mam wątpliwości, że to w dużej części efekt polityki historycznej i hucznych obchodów stulecia odzyskania niepodległości. Ja święto niepodległości obchodzę 4 czerwca, bo wtedy stałem się wolnym człowiekiem. Nawet komuniści wiedzieli, że to koniec systemu, że idzie duża zmiana.
A co do rankingu naszych powodów do dumy – jest taki, jakim go ustawili politycy. Obawiam się, że będę musiał dożyć setki, jeśli chcę usłyszeć: to uczestnik powstania, które przyniosło nam wolność. Gdyby prezydent, premier zapraszali z rocznicowych okazji ludzi pierwszej „Solidarności”, gdyby powiedzieli: „Wam zawdzięczamy”, ten ranking inaczej by wyglądał. Żeby nie było wątpliwości – mam takie same pretensje do Bronisława Komorowskiego, jak i Andrzeja Dudy.

A gdzie pan będzie w tym roku świętował 31 sierpnia?
– Nigdzie. Byłem ostatnio na kilku pogrzebach ludzi, którzy powinni przejść do historii swoich miast i miasteczek. Zwykle tylko przypadek sprawiał, że dowiadywałem się o ich śmierci, bo z podziemia znałem tylko pseudonimy. Żle to znoszę, nie umiem przemawiać, patrząc na zapłakane rodziny.
Ale dopiero wtedy, gdy stawałem za trumną, bliscy się dowiadywali, że ich ojciec lub dziadek był faktycznie bohaterem. Nie widziałem nikogo z Urzędu ds. Kombatanów ani od wojewody lub od władz miasta. To są często ludzie, których ta walka psychicznie i fizycznie niszczyła, a nie doczekali się uznania nawet po śmierci.
W tym miesiącu pochowaliśmy Jerzego Luźniaka, barwnego zadymiarza ulicznego, żołnierza podziemnej „Solidarności” z Wrocławia, współorganizatora strajków w zakładach pracy. Piękna uroczystość, oprawę zapewnił Polski Związek Łowiczy, bo okazało się, że Jurek był myśliwym i autorytetem z dziedziny trofeistyki. Ale chyba ważniejsze jest to, co zrobił dla Polski. Żegnano jednak przede wszystkim myśliwego, a nie bohatera.

Ma pan poczucie krzywdy?
– Nie, ja nie mam, ale mam poczucie krzywdy wielu razem ze mną walczących. Uważam, że to wielki przywilej uczestniczyć w walce o niepodległość, i nie narzekam, że siedziałem w więzieniu. Dowiedziałem się, że nie mogę być w Radzie ds. Kombatanów i Osób Represjonowanych, bo nie mam statusu osoby pokrzywdzonej. Trzeba o to wystąpić. Powiedziałem, że nie czuję się pokrzywdzony, bo odniosłem sukces. Po drugie, nie ja mam dług wdzięczności wobec państwa, tylko państwo wobec mnie. Żyję za własne pieniądze. Ale budzę się każdego dnia, odpalam internet i dowiaduję się, że odszedł któryś z moich kolegów, którym nikt nie podziękował.
Mam pretensje, że demonstrujemy szacunek dla tych, co przegrali, a nie dla tych, co odnieśli sukces. Nie słyszę: zwyciężyli. Słyszę: solidarych, ten Wałęsa to szemrany „Bolek”, a Frasyniuk ukradł 80 mln i kupił ciężar-

rówki. A ja mam dług wdzięczności wobec wszystkich ludzi podziemnej „Solidarności”.

Zawsze znajdują się tacy, którzy będą cierpieć na kompleks nieobecności. Może za bardzo się pan przejmuję?
– Rozmowę zaczęliśmy od polityki historycznej, wróć do niej. Nie w tym rzecz, że mamy dookoła ludzi z kompleksami, którzy chcą wykreować swoją własną historię. Tak się działo za czasów PiS, tak dzieje się również w epoce Tuska. Problem polega na tym, iż tę prawdę historyczną można młodym ludziom skutecznie pokazywać, póki bohaterowie tamtej rzeczywistości żyją.
Czasem to jest trudne, znajdziemy przykład innych „Lechów Wałęsów” wśród bohaterów tamtych czasów. Na przykład bombiarze z Lubina. Śledztwo było tak brutalne, że w wyniku pobić i tortur wszyscy z przesłuchiowanych zostali inwalidami. Pytałem: dlaczego nie dochodzicie sprawiedliwości? „Tak nas bili, że sami nie wiemy, co podpisaliśmy” – usłyszałem. Ludzie, którzy powinni być traktowani jak bohaterowie, żyją w strachu, że coś na nich znajdą. Bali się, gdy otwierały się drzwi celi, i wiedzieli, że będą bici. Boją się, że może ktoś z IPN wyciągnie kartkę: a tu podpisał. A skoro podpisał, znaczy, że nie taki znów bohater.

Dla pana to nie ma znaczenia?
– Nigdy nie mieliśmy pretensji do tych, co wzięli paszporty, zamiast iść siedzieć. Nie mówiliśmy źle o ludziach, którzy się załamałi w śledztwie albo w więzieniu. W roli sędziów występują teraz ludzie, którzy palcem nie kiwnęli, nie mieli okazji, żeby się sprawdzić. Albo zabrakło im odwagi.

Ma pan nadzieję na zmianę klimatu?
– Tu nie chodzi o moją nadzieję, tylko o odpowiedź na pytanie, jakie są fundamenty wolnej Polski. Mogę zaapelować do Ministerstwa Edukacji, aby zamiast przedmiotu HiT zorganizowali cykl spotkań „żywych bibliotek” i dali możliwość młodym ludziom zwyczajnego pogadania z uczestnikami rewolucji „Solidarności”. Czytam, że chcą organizować wycieczki patriotyczne, których autorstwem pochwalili się Władysław Kosiniak-Kamysz jako projektem ustawy o wychowaniu patriotycznym. Ja bym wolał, aby mój syn w szkole zamiast wychowania patriotycznego organizowanego przez ministra z kolejnej prawicowej partii mógł porozmawiać z uczestnikami tamtych czasów, co zrobić, aby pozostać wiernym wartościom. Jakie cechy charakteru trzeba mieć, aby się nie złamać. To byłoby prawdziwe wychowanie patriotyczne.

Kosiniak-Kamysz zaznaczył, że projekt „nie jest przeciwko komuś”, ale wynika z tego, że „PSL ma prawo zaakcentowania tego, co mu w duszy gra”.
– Tego, co w duszy gra PSL-owi, boję się nie tylko ja, również polskie kobiety i wiele innych osób szukających w Polsce wolności.
Dlatego apeluję, aby pokazywać młodym ludziom, że warto być częścią społeczeństwa obywatelskiego, liberalnego i otwartego, gdyż tylko otwarte i liberalne społeczeństwa są gotowe na współpracę i wolności demokratyczne. Tylko tak budowana polityka historyczna sprawi, iż kolejny Donald Tusk nie będzie musiał w przyszłości przeproszać za kolegów z koalicji, którzy okazali się zaściankowymi moralistami. Jedynie polityka historyczna budowana w oparciu o takie wartości jak odwaga, współpraca i wolność są w stanie sprawić, aby przyszłe pokolenia Polaków były dumne ze swojej historii. Dlatego wciąż liczę na to, iż rządzący politycy 31 sierpnia, 13 grudnia i 4 czerwca będą organizowali wielkie spotkania z ludźmi, którzy sprawili, że staliśmy się demokratycznym krajem. ●
Rozmawiała Beata Maciejewska

Władysław Frasyniuk (ur. 1954 r.), lider strajków we Wrocławiu w Sierpniu '80, działacz pierwszej „Solidarności”, odsiedział prawie cztery lata w więzieniu.

ZŁOWIESZCZY LAMENT ZACHARA PRILEPINA

Kursk, do którego z zajętej przez Ukraińców zachodniej części obwodu uciekają właśnie setki tysięcy mieszkańców, jest starszy od Moskwy o ponad sto lat.

Grzegorz Przebinda

Półmilionowy Kursk w zachodniej Rosji leży w połowie drogi między Kijowem a Moskwą oddalonych od siebie o tysiąc kilometrów. Dzisiejsza stolica Rosji wspomniana została po raz pierwszy w latopisie dopiero pod rokiem 1147, w czasach Jurija Dołgorukiego, Kursk pojawił się w źródłach już w roku 1036, jeszcze w latach panowania w Kijowie wielkiego księcia Jarosława Mądrego (pradziada Dołgorukiego).

Stolica samodzielnego księstwa Jarosław Kijowski – syn Włodzimierza Wielkiego, chrzciciela Rusi Kijowskiej – uzyskał właśnie w 1036 roku, po śmierci brata Mścisława, prawo do panowania także nad ziemiami po lewej, czyli wschodniej, stronie Dniepru. Poleciał zarazem jednemu ze sług, aby ten przeprowadził się z żoną i małym synem właśnie do Kurska, należącego wtedy do księstwa czernihowskiego, drugiego pod względem ważności po kijowskim.

Sługą tym był ojciec św. Teodozego – późniejszego przeora monasteru kijowsko-peczerskiego, a zarazem patriarchy monastycyzmu wspólnotowego na Rusi Kijowskiej.

W „Powieści lat minionych” – najstarszym latopisie kijowskim – pierwszą i jedyłą wzmiankę o Kursku odnajdujemy pod rokiem 1095, gdy wzrosły w siłę gród był już od paru lat stolicą samodzielnego księstwa kurskiego. Przy czym jako jego pierwszy władca wspomniany tam został Iziasław, syn Włodzimierza Monomacha i księżniczki angielskiej Gythy of Wessex.

WYPRAWA „BU-TURA” DO PUTYWŁA

Wertując dalej karty dzieł literatury staroruskiej, napotykamy Kursk w „Słowie o wyprawie Igora”.

Stamtąd właśnie wyprawił się w roku 1185 do pobliskiego Putywła – dla pomocy Igorowi Światosławowiczowi w wyprawie na stepowych Połowców – jego brat Wsiewołod, nazwany w poemacie walecznym „buj-turem”. Wersy przytaczam w niepowtarzalnym przekładzie Juliana Tuwima: *W Putywlu chorągwie stoją;*

*Czeka Igor z drużyną swoją
Na miłego brata Wsiewołoda.
Rzecz buj-tur Wsiewołod do brata:
„Jednoś ty mi jasne słońce świata
I Światosławicy myśmy oba.*



• Rosyjski pisarz-nacjonalista Zachar Prilepin w 2017 roku w okupowanym przez rosyjską armię Doniecku FOT.YAN MORVAN/SIPA

*Każ ty siodłać rącze konie bułane,
Moje w Kursku osiodłane,
Znasz wiciądzów kurskich – woje krzepcy!
Pod trąbami bojowymi chowani,
Pod szłomami ukołysani,
Ostrzem włóczni karmieni w kolebce
Znają oni jary, drogi kręte,
Prężne łuki mają naciągnięte,
Szable ostre i pełne kołczany.
Sami, jako wilcy, w polu skaczą
Kniaziom sławy, sobie chwały patrzą,
– Z nimi pójdziem gromić Połowczany”.*

JAROSŁAWNA PŁACZE NAD IGOREM...

Obecny obwód kurski w Federacji Rosyjskiej zajmuje jedynie wschodnią część tego przedmongolskiego księstwa kurskiego, bo jego część zachodnią – ze wspomnianym Putywłem nad rzeką Sejm – znajduje się obecnie w granicach Ukrainy.

W „Słowie o wyprawie Igora” zachwyt wzbudza wzruszający opis płaczu księżnej Jarosławny na murach Putywła – w istocie jest to rytualny lament żony, trzykrotnie powtórzony, z zachowaniem paralelizmów składniowych (co typowe dla literatury przekazywanej ustnie).

Bląga ona żywioły, w tym i Dniepr, o przywrócenie utraconego męża Igora:

*Na Putywlu murach przed zaraniem
Jarosławna zawodzi żałośnie:
„Dnieprze mój, Sławuto! Na swej wodzie,
Co przebiła połowieckie skały,
Hołubiłeś Światosława łodzie,
Gdy Kobiaka hordy umykały,
Ty mi męża przyhołub na łodzi,
Bym na morze lez nie słała za nim”.*

Tu odwołam się do własnych wspomnień. W czerwcu 2009 roku wybrałem się koleją z Kijowa, najpierw do ukraińskiego Nowogrodu Siewierskiego, a stamtąd marszrutką do pobliskiego Putywła. Chciałem tam zobaczyć nie tylko współczesność historycznego miasteczka północno-wschodniej Ukrainy, ale także ślady jego dawnej przeszłości. Sfotografowałem pomnik lamentującej Jarosławny, a zarazem malowniczą rzekę Sejm – na której dziś brońący się przed Rosją Ukraińcy wysadzają kolejne mosty.

Ukraiński Putywł nie zapomniał o ofiarach mongolskiej nawałnicy pod koniec 1239 roku, tj. rok przed zajęciem Kijowa, a półtora – przed Legnicą. A mnie – mającemu w pamięci wydarzenia o prawie 400 lat późniejsze – musiał się rzucić w oczy wspaniałe zachowany żeński klasztor Narodzin Świętej Bogarodzicy, gdzie jesienią 1604 roku chronił się po klęsce zadanej mu pod Dobryniczami przez wojska cara Gudunowa Dymitr Samozwaniec.

ZACHAR PRILEPIN: CO ONI Z NAMI ZROBILI W ’91

Oglądając pamiątki odległej przeszłości, nie mogłem przypuszczać, że w tej okolicy rozgrywać się będzie istotna część batalii wojennej Ukrainy walczącej o przetrwanie pod naporem Rosji. A już do głowy by mi nie przyszło – ani wtedy, ani teraz – że ta dawna, godna upamiętnienia historia stać się może dla kogoś powodem do pretensji terytorialnych.

A jednak znany rosyjski pisarz militarysta Zachar Prilepin opublikował w związku z obecnymi wydarzeniami na Kurszczyźnie tekst „Słowo o obcym pułku zagranicznego księcia i o jego żonie cudzoziemce”.

Czytam tu z podszytym grozą zdumieniem:

„Wiecie, skąd tam ten nieprzemijający gorzki smutek? Stąd, że Igor to książę Nowogrodu Siewierskiego. Było takie księstwo, na którego terytorium żyli Kurszczanie. A Nowogród Siewierski to teraz miasto w obwodzie czernihowskim Ukrainy. Wychodzi na to, że książę ów nie nasz! To cudzoziemiec! A pamiętacie, gdzie płacze Jarosławna? W Putywlu przeciw płacze! W obwodzie sumskim [Ukrainy]. Poza granicami Rosji! Zatem nasz główny epos, który leży u podstaw kultury narodowej, no pomyślcie tylko – on traktuje o innym kraju. O innym! Jego akcja dzieje się na terytorium, którego my w ostatnich czasach nie uważamy nawet za potencjalnie rosyjskie. Ale Boże mój! I ty dziecię czasów przyszłych, jeżeli wszystko pozostawimy tak, jak jest i jeśli nasze dzieci nie oduczą się myśleć (choć pracujemy nad tym usilnie), to nieuchronnie będziemy sobie łamać głowę, dlaczego przeszłość naszego kraju znajduje się w kraju innym. No dlaczego?! Oto, co z nami zrobili w roku 1991. Odebrali nam nie tylko ziemię, ale i przeszłość. [...] O dobry kniaziu, tyś znowu w niewoli. O księżno, w jakim języku ty teraz rozmawiasz, duszyczko moja?”.

ŻYCZYŁ MI „CIEPŁA, DOBRA I POKOJU”

„Oto, co z nami zrobili w roku 1991” – to oczywiście aluzja do bolesnego dla Prilepina rozwiązania Związku Radzieckiego, po którym Ukraina – obejmująca także tę graniczącą z Rosją historyczną północno-wschodnią Ukrainę Siewierską z tamtejszym Nowogrodem i Putywłem – uzyskała po stuleciach walki swoją pełną niepodległość.

A za tymi pozornie zabawnymi linijkami Prilepina kryją się zarówno ów putinowski „Kijów zdobyty w ciągu trzech dni”, jak i zrównanie z ziemią Mariupola, straszliwe zbrodnie w Buczy, a ostatnio zbombardowanie szpitala dziecięcego w Kijowie.

Spotkałem Zacharkę w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim w październiku 2009 roku i nawet dostałem odeń wtedy książkę z sentymentalną, jak to zawsze u niego, dedykacją: „Ciepła, dobra i pokój!”. Po tym jednak, ile on sam uczynił już po 2014 roku na ideowym i militarnym froncie antyukraińskim dla „wartości” zgola przeciwnych, życzę mu teraz tylko, aby po przegranej wojnie odpokutował swoje winy – niczym tamten Dymitr Samozwaniec – w jakimś monasterze w Rosji. Zgodnie zresztą z tytułem jego znanej powieści „Klasztor”. ●

Antypolityka historyczna

„W cieniu jutra”

Johan Huizinga już w latach 30. zauważył, że coraz więcej ludzi atakowanych bodźcami nie potrafi skoncentrować uwagi.

Janowski



Czytanie dawnych książek futurologicznych to lekko perwersyjna przyjemność. Można tanim kosztem poczuć się mądrzejszym od wielu ludzi, którzy tak naprawdę byli o wiele mądrzejsi ode mnie, ale czegoś trafnie nie przewidzieli. Wybitni historycy są szczególnie predestynowani do takich błędnych prognoz. Zacząłem sobie nawet kiedyś spisywać prywatną antologię przewidywań przeszłości, które wyszły spod pióra sławnych historyków i nie sprawdziły się w sposób bardzo spektakularny.

Ale teraz chciałem mówić o zjawisku odwrotnym – o książce „W cieniu jutra” (1935), napisanej przez wielkiego historyka eseju futurologicznym, który nadal uderza pesymistyczną trafnością spostrzeżeń. Johan Huizinga (1872-1945) był kimś więcej niż po prostu wielkim historykiem. Myślę, że być może był jednym z dwóch oprócz Jacoba Burckhardta (1818-97) największych historyków kiedykolwiek. Zarówno Huizinga, jak i Burckhardt byli historykami kultury. Nie interesowała ich historia polityczna, „wydarzeniowa”.

Obaj sądzili (słusznie!), że kultura tworzy pewien wzorzec widzenia świata, że ludzie żyjący w danej epoce postrzegają świat za pośrednictwem owego wzorca, a nie bezpośrednio. Burckhardt badał renesans, a Huizinga w swojej najsłynniejszej książce – „Jesień średniowiecza” – zajął się kulturą burgundzką późnego gotyku. Ludzie, zdaje się sądzić Huizinga, nie postępują racjonalnie, w zgodzie z własnym interesem. Są miotani emocjami, które w dużym stopniu zależą od norm kulturowych danej epoki – norm, których ci ludzie często nawet nie zauważają, ale one w istocie kierują ich zachowaniami.

Drugą główną pracą Huizingi – jedną z najważniejszych książek XX-wiecznej humanistyki – jest niewielka rozprawa „Homo ludens”, czyli „człowiek bawiący się”. Jej podtytuł brzmi „Zabawa jako źródło kultury”. Zabawa, a właściwie gra i emocje z nią związane jest dla Huizingi jedną z najważniejszych motywacji działań ludzkich. Owym emocjom gry można na przykład przypisać niektóre decyzje o rozpoczęciu wojen podjęte bez jakichkolwiek racjonalnych pobudek.

Również obserwując własne czasy, Huizinga raczej w kulturze niż w polityce dopatrywał się zwiastunów przyszłych wydarzeń. Nic optymistycznego nie widział. Uderzyły mnie zwłaszcza trzy kwestie przenikliwie przezeń dostrzeżone już w latach 30. XX wieku.

Po pierwsze, coraz więcej ludzi atakowanych bodźcami nie potrafi skoncentrować uwagi. O tym pisało wiele w naszych czasach, zastanawiano się, jak wprowadzenie pilotów do telewizora w latach 80. i 90. wpłynęło na to, że przekaz stał się coraz bardziej skrótowy, emocjonalny i powierzchowny. Nie muszę już wstać z kanapy i podejść do odbiornika, żeby zmienić program, tylko klikam pilotem co kilkadziesiąt sekund. Huizinga nie wiedział jeszcze o telewizorach i pilotach, ale widział, jak ludzie słuchają radia, kręcąc galką odbiornika i przeskakując ze stacji na stację – niczego nie wysłuchując do końca, wychwytyując tylko najbardziej emocjonalne sformułowania.

Po drugie, kult bohaterów. Huizinga z przerażeniem obserwował rozwój hitleryzmu, a dzięki swojemu treningowi jako badacza kultury dostrzegał bardziej niż inni ów leżący u podstaw propagandy hitleryzmu ponury pseudoromantyzm połączony z kultem śmierci. Kult śmierci bohaterów prowadzi do wojny, pisał.

Nelson przed bitwą pod Trafalgarem (1805) w swoim sławnym sygnale kodem chorągiewkowym nie napisał: „England excepts that every man will be a hero”, tylko „England excepts that every man will do his duty”. To wystarczy, nie trzeba heroizmu.

Wreszcie, Huizinga wprowadza pojęcie „puerylizm”, czyli chłopackowatość, a więc po prostu niedojrzałość. Nie chodzi tu tylko o totalitarny kult młodości, lecz o coś głębszego: traktowanie świata, jakby był zabawą (*Homo ludens* się kłania), bez umiejętności refleksji. Przejawy owego puerylizmu Huizinga widzi zarówno w rzeczach codziennych, jak i w polityce. Zarówno w uleganiu presji reklamy, jak i w nazywaniu starych miast imionami współczesnych (Gorki, Stalingrad), co jest przejawem naiwnej wiary, że da się wykasować przeszłość i żyć tak, jakby jej nie było.

Nie znam drugiej książki sprzed niemal stu lat, która w tak przerażający sposób odnosi się również do niektórych złowrogich elementów naszej kultury; która pokazuje długie trwanie zjawisk często odbieranych przez nas jako wyjątkowe cechy naszej współczesności. ●

Jasne strony dziejów

Senat potępia, Senat popiera

Wyłoniiony 35 lat temu Senat RP zrodził się w czasie negocjacji władzy z opozycją. Nie istniał od 1939 roku, więc senatorowie musieli wymyślić dla siebie rolę. I wymyślili.

Brzeziecki

Ojcem wybranego w 1989 roku Senatu był poniekąd Aleksander Kwaśniewski – to on rzucił propozycję, by senatorowie, inaczej niż posłowie, wybrani zostali w pełni demokratycznych wyborach. Dzięki temu pomysłowi, niekonsultowanemu z wierchuszką PZPR, buksujące wiosną 1989 roku negocjacje komunistów z „Solidarnością” ruszyły do przodu. Opozycja rzuciła do tych wyborów kwiat polskiej inteligencji. Oczywiście, trafiło się też trochę polityków, ale jeszcze wtedy to nie oni nadawali ton.

Wśród senatorów I kadencji znaleźli się ludzie, których do polityki nie pchało nic ponad chęcią budowania demokratycznej Polski. Raczej poświęcali zawodowe kariery, niż budowali polityczne. Wystarczy wymienić tylko kilka postaci: Gustaw Holubek, Jerzy Kłoczowski, Krzysztof Kozłowski, Zofia Kuratowska, Jan J. Lipski, Karol Modzelewski, Anna Radziwiłł, Andrzej Stelmachowski, Stanisław Stomma, Andrzej Wajda, Andrzej Wielowieyski...

Kłopot był taki, że wówczas mało kto pamiętał, jak funkcjonował przedwojenny senat. Ba, izba wyższa była wówczas bezdomna – obradowała więc w sali kolumnowej sejmu. Z tym że latem 1989 roku niezbyt było nad czym obradować. Senat RP ma się zajmować przyjętymi przez Sejm ustawami – ale rząd Tadeusza Mazowieckiego powstał dopiero 12 września 1989 roku i Sejm nie przesłał jeszcze żadnych projektów ustaw do rozpatrywania i zgłaszania w nich poprawek. Te lawinowo spłynąć miały dopiero na przełomie lat 1989-1990.

Senatorowie więc zaczęli debatować na różne tematy i przyjmować uchwały oraz wydawać oświadczenia. Nie miały one mocy ustaw, ale tworzyły wizerunek nowej Polski. Liczyło się to zwłaszcza w relacjach z naszymi sąsiadami. Senatorowie poniekąd współtworzyli politykę zagraniczną, przywracali blask Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

11 sierpnia 1989 roku Senat odniósł się, przy okazji zbliżającej się 21. rocznicy, do interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, w której udział wzięli także polscy żołnierze. Senatorowie stwierdzali w oświadczeniu, że zdławienie Praskiej Wiosny by-

ło „naruszeniem niezbywalnego prawa każdego narodu do samostanowienia i naturalnego dążenia do demokracji, wolności oraz respektowania praw człowieka”.

Autorzy uchwały życzyli przy okazji sukcesu ruchowi demokratycznemu w Czechosłowacji, a jej narodom „wolności i suwerenności w ramach w pełni demokratycznego państwa”.

Rok później, w sierpniu 1990 roku, senatorowie przyjęli uchwałę potępiającą komunistyczną akcję „Wisła” z 1947 roku. W tekście uchwały zwrócono uwagę na przymusowy charakter przesiedleń oraz właściwą dla systemów totalitarnych zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Zadeklarowano także starania na rzecz naprawienia wy rządzonych w wyniku przesiedleń krzywd. Warto może kierownictwu IPN, które niedawno uznało akcję „Wisła” za działania całkiem w porządku, przypomnieć, że senatorami byli wówczas bracia Lech i Jarosław Kaczyński oraz Zbigniew Romaszewski.

Senatorowie nie tylko próbowali rozliczyć się z najnowszą historią Polski, ale także kładli fundamenty pod przyszłą współpracę z państwami Europy Wschodniej. Spotykali się z liderami niepodległościowych ruchów, sami jeździli na Wschód.

W 1990 roku Związek Radziecki wciąż istniał, polski rząd, uwikłany w problem zachodniej granicy, zjednoczenia Niemiec, relacji z Kremlen, który wciąż miał nad Wisłą swoje wojska, nie mógł machać szabelką. Jak mówił Bronisław Geremek, wtedy szef Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, nie chciano ciągnąć starego tygrysa za wąsy, by przekonać się, czy jest jeszcze gotowy skoczyć do ataku, czy już zupełnie skapcał. Zrazem tenże Geremek nie blokował inicjatyw zdominowanego przez OKP Senatu, które wspierały niepodległościowe dążenia Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Od samego początku Izba Wyższa dbała o relacje z żyjącymi poza granicami kraju Polakami.

Świetność tamtego Senatu brała się stąd, że zasiadała w nim ludzie myślący samodzielnie, którzy nie musieli kalkulować, czy uda im się znaleźć na listach wyborczych w kolejnym rozdaniu. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz publicysta

weekendówka
118

TAXI!

W 1891 roku niemiecki wynalazca i naukowiec, Friedrich Wilhelm Gustav Bruhn opracował w Berlinie taksometr (od niemieckiego *Taxe* – opłata) – przyrząd pomiarowy, służący do wyliczania należności za przebytą przez pojazd w ów taksometr wyposażony drogę, względnie za czas wynajęcia tego pojazdu.

Wkrótce potem, bo już w 1897 roku nieco sławniejszy rodak Bruhna, Gottlieb Daimler, inżynier, konstruktor i przedsiębiorca, skonstruował pierwszą w świecie taksówkę wyposażoną w taksometr – Daimler Victorię. Auto z silnikiem benzynowym zostało zamówione przez pewnego mieszkańca Stuttgartu, Friedricha Greinera, który umyślił sobie, że będzie woził ludzi z fasonem, samochodem, a nie jakąś tam dorożką.

Greiner dostał pierwszą na świecie taksówkę w maju 1897 roku – taksometr zainstalowany był na zewnątrz pojazdu, a pasażerowie mogli czuć się w Victorii naprawdę komfortowo. Pojazd wyposażono bowiem w ogrzewanie (to była absolutna nowość!) – ale tylko w kabinie, kierowca siedział na zewnątrz i kiedy było zimno – marzł. Na życzenie pasażerów można było także zdjąć dach albo zdemontować drzwi. Taksówka mogła dziennie przejechać 70 km.

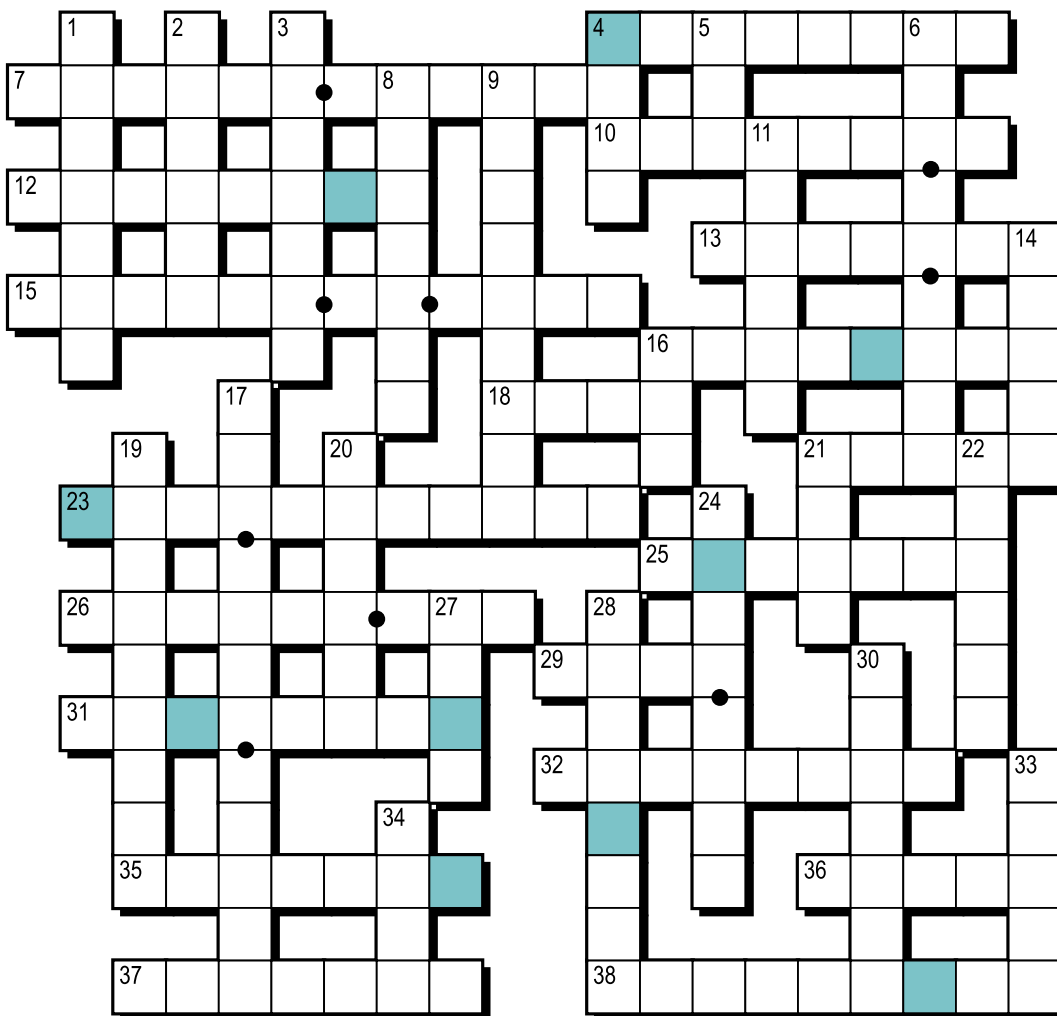
Greinerowi interes szedł nieźle, dlatego założył pierwszą w świecie korporację taksówkową, która siedzibę miała w Stuttgarcie, na Thürlen Nr 00.1 – dziś to Mercedesstrasse, a pod tym adresem mieści się siedziba Mercedesa.

Taksówki szybko przekroczyły granice Niemiec i zaczęły pojawiać się w innych miastach. W 1899 napędzane silnikami benzynowymi taksówki wyjechały na ulice Paryża, w 1903 Londynu, a w 1907 roku Nowego Jorku. Za ocean sprowadził je z Europy Harry N. Allen, młody biznesmen, oburzony stawkami, jakie stosowali powożący konnymi taksówkami (za przejechanie dystansu niewiele ponad kilometra skasowano go na 5 dolarów) sprowadził z Francji auta z silnikami benzynowymi (wcześniej w „Wielkim Jabłku” przez pewien czas jeździły też taksówki elektryczne). To Allen też wymyślił, że w jego przedsiębiorstwie samochody pomalowane będą na żółto, by się wyróżniać w ruchu miejskim.

Zresztą malowanie taksówek na konkretne kolory to nie tylko zwyczaj nowojorski. Londyńskie taksówki są czarne, w Niemczech – kremowe (w kolorze kości słoniowej lub jak kto woli – budyniu), w Tokio – białe, W Egipcie – zielone i żółte, w Hongkongu – czerwone, a w Bangkoku żółto-zielone.

W Polsce panuje w tej kwestii dowolność, ale za to święto rodzimi taksówkarze określili już dokładnie – Dzień Taksówkarza przypada 30 sierpnia. I z tej okazji właśnie zapraszamy wszystkich – nie tylko taksówkarzy – to krzyżówkę taksjarskiej. No to jedziemy!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 117
z 24.08:

Pozio: 4) Sixteen,
7) Cotopaxi, 8) skała,
11) Filipiny, 12) porfir,
13) opary, 14) gazy,
16) Wenus, 19) Erebus,
20) snopy, 22) Peru,
23) lawa, 24) kraina,
27) Mały, Książę,
29) Republika, 31) pumeks,
33) Kaczmarek, 35) dramat,
38) Tintoretto, 39) obłok,
40) krater, 41) tuffy.

Pionowo: 1) Dolina,
2) kominy, 3) taniec, 4) siły,
5) Elbrus, 6) Martynika,
8) Stromboli, 9) Atlantyda,
10) opony, 15) ziele,
16) wyspa, 17) Wezuwiusz,
18) Ostrzyca, 21) magma,
25) Krakatau, 26) Pierce,
28) Sopka, 30) widok,
32) Komory, 34) młot,
36) Adam, 37) tort.

HASŁO:
WULKAN SEMERU

TAKSÓWKI

Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** zezwolenie na wykonywanie określonej działalności; licencja
- 7)** film z Melem Gibsonem w roli taksówkarza cierpiącego na stany lękowe
- 10)** wystawiony za przejazd
- 12)** Daria, nagrała piosenkę „Żółta taksówka”
- 13)** „Piąty ...”, z Bruce'em Willisem w roli taksówkarza
- 15)** zagrał tytułową rolę w „Taksówkarzu” Martina Scorsese
- 16)** dyspozytornia
- 18)** raper, który razem z Koniecznym i Krupą nagrał album „Taxi”
- 21)** z wydzielonym buspasem, którym mogą jeździć taksówki
- 23)** wsiedli do taksówki

25) film taki jak „Kiler”

26) film z Andrzejem Pieczyńskim w roli Jurka – taksówkarza hazardzisty
29) „... Driver”, film o młodym kierowcy zmuszanym do „podwożenia” gangsterów
31) francuskie miasto, w którym toczy się akcja cyklu filmów „Taxi”
32) Milla, zagrała w filmie z określenia 13 poziomu
35) imię wykonawcy piosenki „Wieczór nad rzeką zdarzeń”, w której „taksówki coraz dłużej drzemią na postojach”
36) ojczyzna Prabu – taksówkarza z powieści „Shantaram”
37) ... Paradis, nagrała przebój z określenia 6 pionowo
38) taksówkarz z czasów Stanisława Wokulskiego, Sherlocka Holmesa,

Pionowo:

- 1)** cykl, którego częścią jest „Krótki film o zabijaniu” (z motywem zabójstwa taksówkarza)
- 2)** Tom, w filmie „Zakładnik” gra zabójcę korzystającego z taksówki
- 3)** należność za przejazd
- 4)** daleki, może trafić się taryfiarzowi
- 5)** „... na Ziemi”, film Jima Jarmuscha, którego bohaterami są taksówkarze i pasażerowie
- 6)** największy przebój artystki z określenia 37 poziomu
- 8)** „Liliowa taksówka” Michela Déona
- 9)** imię reżysera serialu „Zmiennicy” (w roli głównej taksówka 1313)
- 11)** imię wykonawczyni piosenki „Papierowy księżyc” („Znow taksówką sama jadę w świąt...”)

14) droga do przebycia
16) yellow ..., taksówka w 24 pionowo
17) zespół, który nagrał piosenkę „Taksówka nr 5”
19) ... samochodowa, wspomóż kierowcę w wyborze optymalnej trasy przejazdu
20) np. „Taxi”, w którym zagrał Judd Hirsch i Danny DeVito
21) firma nie lubiana przez „tradycyjnych” taksówkarzy
22) Harry, amerykański piosenkarz („Taxi”)
24) miasto żółtych taksówek
27) ... D-19 (postój taksówek)
28) taksówka
30) taksówkarzowi bliższy niż mianownik
33) o taksówce – Formacji Chatelet
34) mitologiczne imię taksówkarza z filmu „Szklana pułapka 3” (rola Samuela L. Jacksona)

Leszek Rydz